



Selma Lagerlöf
CUDOWNNA PODRÓŻ

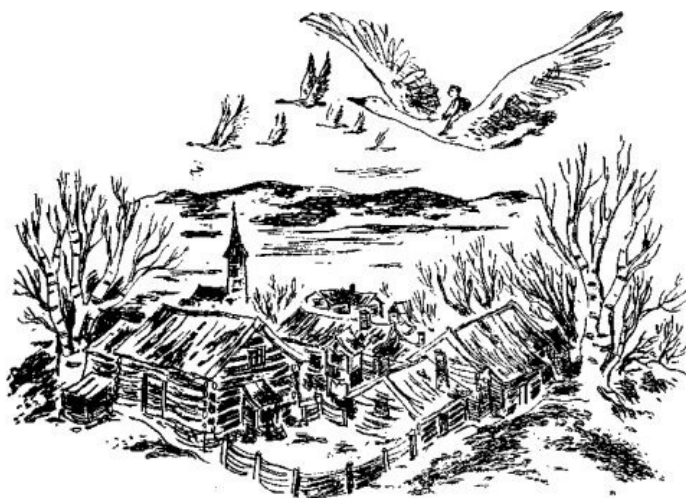
> NASZA KSIĘGARNIA <

Selma Lagerlöf

CUDOWNA PODRÓŻ

TOM II

SOBÓTKI



Sobota, 30 kwietnia

Jest dzień w roku, którym dzieci w Dalarna już naprzód się cieszą, podobnie jak Wigilią Bożego Narodzenia. Tym dniem są sobótki, kiedy im wolno w całej okolicy palić ognie.

Ną wiele tygodni przedtem chłopcy i dziewczęta myślą tylko o tym, żeby nazbierać jak najwięcej drzewa na stos. Idą do lasu, zbierają chrust i szyszki, przynoszą wióry od stolarza, a korę, sęki i drzazgi — od drwala. Codziennie chodzą do kupca i wypraszają stare skrzynie, a gdy któreś wydostanie skądś starą beczkę od dziegiu, chowa ją jak największy skarb i ośmiela się wydobyć ją dopiero w ostatniej chwili przed zapaleniem ognia. Tyczki, podpierające fasolę i groch, są w wielkim niebezpieczeństwie, tak samo jak i wszystkie stare kołki powyrywane z płotów, wszelkie połamane sprzęty drewniane i zapomniane w polu narzędzia.

Kiedy wreszcie nastąpi uroczysty wieczór, dzieci z każdej wsi układają na wzgórzu lub na brzegu jeziora olbrzymi stos z suchych gałęzi, chrustu i z tego wszystkiego, co udało im się zebrać. W niektórych miejscowościach zapalają nawet dwa albo trzy ogniska.

Stosy bywają zazwyczaj gotowe zaraz po południu. Wszystkie dzieci ze wsi zbierają się wokoło nich z pudełkami zapalek w kieszeniach i czekają z niecierpliwością na nadejście ciemności.

O tej porze roku w Dalarna dzień ciągnie się tak strasznie długo!

O ósmej wieczorem zaczyna się zaledwie zmierzchać. Na dworze zimno i wilgotno, bo zima daje się jeszcze we znaki, i czas dłuży się dzieciom bardzo. Na otwartych miejscach i na polach śnieg stopniał już od dawna i w dzień, kiedy słońce stoi wysoko na niebie, czuć w powietrzu ciepło. Ale w lasach leżą jeszcze wielkie zaspy śnieżne, jeziora pokrywa lód, a w nocy termometr spada często o kilka stopni poniżej zera. Dlatego też tu i owdzie zapalają dzieci ogień, zanim jeszcze nastąpią prawdziwe ciemności. Ale tylko najmniejsze i najniecierpliwsze dzieci przyśpieszają tę chwilę. Starsze czekają, póki noc nie zapadnie, aby ogień wyglądał wspanialej.

Nareszcie właściwa godzina nadeszła. Wszystkie dzieci, nawet te, które najmniejszą gałązkę przyrzuciły do stosu, są obecne. Oto najstarszy chłopiec zapala wiecheć słomy i podkłada pod stos. Ogień ogarnia go natychmiast. Chrust trzaska, dym kłębi się czarny i groźny, aż w końcu z wierzchołka stosu wybuchają płomienie. Jasne i jaskrawe, wznoszą się w górę na wysokość kilku metrów, tak że stają

się widoczne w całej okolicy.

Kiedy dzieci zapaliły już swój stos, zaczynają rozglądać się wokoło. Oto tam płonie ogień i tam drugi! Teraz zajaśniał jeden na przeciwległym wzgórzu, a drugi — wysoko na górze! Wszystkie dzieci sądzą, że ich stos będzie największy i najjaśniejszy, i tak się lękają, że inne dzieci mogą je prześcignąć, iż w ostatniej jeszcze chwili biegną do rodziców, aby wyprosić kilka desek albo trochę drzewa opałowego.

Gdy już ogień rozпали się na dobre, przychodzą mu się przyjrzeć również i dorośli. Ale ogień jest nie tylko piękny i jasny, roztacza także miłe i przyjemne ciepło i zachęca widzów do usadowienia się wokoło na kamieniach i na wzgórkach. Siedzą oto i patrzą w płomienie, aż komuś przychodzi na myśl, że byłoby jeszcze przyjemniej, gdyby można było pokrzepić się filiżanką kawy. I podczas tego, gdy gotująca się kawa szumi na ogniu, opowiada ten i ów jakąś historię, a gdy jeden kończy, inny zaczyna natychmiast swoją.

Dorośli myślą przeważnie o kawie i o tych różnych historiach, dzieci jednak starają się jak najdłużej podsycać ogień. Tak bardzo trudno było wiośnie topić śnieg i lód; jakaż by to była przyjemność, gdyby tym ogniem udało się jej pomóc! Inaczej wszak nie zdąży we właściwym czasie wyzwolić ziemi od lodu, aby drzewa i zioła mogły rozwinąć się w porę.

Dzikie gęsi siadły na noc na łodzie pokrywającym jezioro Siljan, a ponieważ dął strasznie zimny wiatr północny, więc Nils musiał się schronić pod skrzydło białego gąsiora. Niedługo tam leżał, kiedy wstrząsnął nim odgłos wystrzału. Szybko wysunął się spod skrzydła i z przerażeniem począł się rozglądać.

Na łodzie, gdzie gęsi spoczywały, panowała zupełna cisza, badawczy wzrok chłopca nie wykrył ani śladu myśliwych. Dopiero gdy Nils spojrzał w stronę lądu, zobaczył dziwne zjawisko. Początkowo zdawało mu się, że jest to jakieś widzenie czarodziejskie, coś w rodzaju miasta Vinety albo ogrodu Djulö.

Zanim dzikie gęsi obrały sobie po południu odpowiednie miejsce na nocleg, obleciały kilka razy jezioro. Przy tej sposobności pokazywały chłopcu wielkie kościoły i wsie położone na brzegach jeziora. Zobaczył więc Leksand, Rättvik, Mora i Sollerö. Wsie kościelne były bardzo wielkie, wyglądały jak miasta i chłopiec dziwił się niezmiernie, że tutaj na północy kraj jest tak gęsto zaludniony. Wydawał mu się on o wiele miłszy i słoneczniejszy, niż przypuszczał. Nie było tu widać nic podejrzanego lub niepokojącego.

Tymczasem wśród ciemnej nocy ujrzał nagle wielki wieniec jasnych ogni płonących na brzegach. Płoneły wszędzie: w Mora, na północnym krańcu jeziora, na brzegu Sollerö i Vikarby, na wyżynie wznoszącej się nad wsią Sjurberg, na placu przed kościołem, na przylądku Rättvik, na górze Lerldalberg i dalej na wszystkich przylądkach i wzgórzach aż po Leksand. Malec naliczył więcej niż sto ognisk. Nie mógł tylko pojąć, skąd się wzięły, i sądził, że to sprawa czarów i duchów.

Wystrzał zbudził i dzikie gęsi, lecz zaledwie Akka rzuciła okiem na wybrzeże, rzekła: „Ludziska zabawiają się po swojemu!” Po czym dzikie gęsi pochowały głowy pod skrzydła i zasnęły natychmiast.

Chłopiec jednak wpatrywał się w ognie, które stroiły całe wybrzeże niby długi łańcuch złotych klejnotów, a ciepło i światło pociągały go, jak ćmę, z neodpartą siłą. Chętnie podszedłby bliżej, ale nie był pewny, czy bezpiecznie będzie oddalać się od gęsi. Odgłosy wystrzałów stale dochodziły do niego, a ponieważ wiedział, że wystrzały te nie były groźne, więc i one miały dla niego urok.

Ludzie skupieni przy ogniskach byli tak zadowoleni, że śmiechy i okrzyki nie wystarczały im już, i trzeba im było radosnych wiwatów. Przy jednym z ognisk, płonącym na górze, zaczęto puszczać rakiety. Ognisko samo przez się przedstawiało wspaniały widok, lecz ludzi to nie zadowalało widocznie i chcieli je uczynić jeszcze piękniejszym. Niechaj wysoko, het, aż pod obłokami widać będzie, jak oni się radują!

Nieznacznie chłopiec zbliżył się do brzegu; nagle doleciały do niego dźwięki pieśni. Teraz nic go już

powstrzymać nie mogło, musiał tam być! I pobiegł w stronę wybrzeża.

Z głębi zatoki Rättvik prowadzi ponad wodą niezwykle długi pomost służący za przystań. Na krańcu tego pomostu stali śpiewacy, a dźwięki ich pieśni rozlegały się w ciszy nocnej nad jeziorem. Sądziła chyba, iż wiosna śpi tak jak dzikie gęsi na jeziorze Siljan, i oni muszą ją zbudzić.

Śpiewacy rozpoczęli pieśnią: „Znam ja krainę daleko na północy!” Potem nastąpiła pieśń: „W lecie, ach, w lecie, gdy ziemia rozkwitnie, w dolinie, nad rzeką, nad wielką”. Potem „Marsz, marsz do Tuny”. Dalej „Wolni, wielcy, mężni ludzie!” A na zakończenie: „W Dalarna byli, w Dalarna żyły”. Same pieśni o Dalarna. Na pomoście nie było ognia i śpiewacy nie widzieli nic wokół siebie, ale dźwięki pieśni wywoływały przed nimi i przed wszystkimi, którzy pieśni tych słuchali, obraz ich kraju rodzinnego — piękniejszy i ponętniejszy od tego, jaki oglądali przy świetle dziennym. Zdawało się, jak gdyby pieśni te wdały błagalnie do wiosny: „Patrz, taki oto kraj czeka na ciebie! Czy nie chcesz go wyswobodzić? Czy jeszcze długo pozwolisz zimie uciskać tę prześliczną krainę?”

Nils Holgerson słuchał śpiewu, nieruchomy aż do końca, i dopiero kiedy pieśni zamilkły, pobiegł na ląd. W głębi zatoki lód już stopniał, było tu jednak tyle piasku, że chłopiec mógł się łatwo przedostać do jednego z ognisk rozpalonych tuż na brzegu. Ostrożnie, ostrożnie podkładał się coraz bliżej miejsca, skąd mógł widzieć ludzi siedzących i stojących wokół ogniska, a nawet słyszeć, co mówili.

I znów ogarnęło go zdziwienie i wątpliwości, czy nie widzi czarów przed sobą. Nigdy jeszcze nie spotykał ludzi w takich strojach. Kobiety miały na głowach czarne, spiczaste czapeczki, krótkie, białe kożuszki, różowe chustki na szyjach, zielone, jedwabne gorseciki, czarne spódnice i fartuchy w białe, czerwone, zielone i czarne paski. Mężczyźni mieli okrągłe kapelusze z niskimi denkami, granatowe surduty z czerwonymi wypustkami i żółte, skórzane, sięgające do kolan, spodnie, podtrzymywane czerwonymi podwiązkami z chwaścikami.

Chłopiec nie był pewny, czy to z powodu tych ubiorów, ale ludzie ci wydawali mu się zupełnie odmienni od mieszkańców innych okolic: daleko okazalsi i wytworniejsi. Słyszał, że rozmawiają z sobą, a jednak nie mógł zrozumieć ani słowa. Wtem przypomniały mu się piękne stroje, które matka przechowywała w swej skrzyni i których już od dawna nikt nie chciał nosić, i pytał siebie, czy nie widzi tu ludzi z dawnych czasów, którzy już od lat przestali chodzić po świecie.

Była to jednak tylko myśl przelotna — przemknęła mu przez głowę i natychmiast zniknęła, widział bowiem, że ludzie ci byli istotami żyjącymi. A wywołało ją to, że istotnie mieszkańcy okolic nad jeziorem Siljan zachowali w ubiorach swych, mowie i obyczajach o wiele więcej z dawnych czasów niż mieszkańcy jakichkolwiek innych okolic Szwecji.

Wkrótce chłopiec zrozumiał także, że ludzie przy ognisku rozmawiają o dawnych czasach. Opowiadali, jak im się wiodło w młodych latach, kiedy musieli wywędrować w dalekie strony kraju, aby pracą swą zdobyć dla swoich w domu chleb powszedni. Chłopiec słyszał różne historie, ale później najdokładniej przypominał sobie to, co pewna bardzo stara kobieta opowiadała o swoim życiu.

HISTORIA KRYSTYNY Z MOORE

— Rodzice moi posiadali ubogą zagrodę w Ostbjörke — zaczęła staruszka. — Było nas jednak dużo rodzeństwa i czasy były bardzo ciężkie, dlatego też już w szesnastym roku życia musiałam wyruszyć w świat. Opuściliśmy rodzinne strony całą gromadą, około dwadzieścioro dziewcząt i chłopców. Czternastego kwietnia 1845 roku przywędrowałam pierwszy raz do Sztokholmu. Moje całe zapasy podróżne składały się z chleba, kawałka mięsa i sera. Cały mój majątek stanowiło dwadzieścia cztery öry ¹. Resztę rzeczy, które mi dano z domu, zapakowałam w torbę podróżną i wysłałam wraz z ubraniem

codziennym naprzód do Sztokholmu.

Wszyscy, jak nas było dwadzieścia osób, skierowaliśmy się drogą przez Falun. Przebywaliśmy dziennie od trzech do czterech mil i siódmego dnia dotarliśmy do Sztokholmu. Nie tak to było jak dziś, kiedy dziewczęta wsiadają do wagonu kolejowego i wygodnie w osiem czy dziewięć godzin przybywają na miejsce.

Kiedyśmy wchodzili do Sztokholmu, ludzie wołali: „Patrzcie, oto idzie pułk z Dalarna”. I wyglądało to istotnie tak, jak gdyby przechodził cały pułk, tak bowiem dudniły o bruk nasze buty na wysokich obcasach, w które szewc powbijał co najmniej po piętnaście wielkich gwoździ. Że zaś nogi nasze nie chodziły jeszcze po ostrych kamieniach, więc raz po raz któreś stąpnęło niefortunnie i padało na ziemię.

Zaszyliśmy do gospody „Pod Białym Koniem”, gdzie zwykle zatrzymywali się ludzie z Dalarna. Na tej samej ulicy mieszkali ludzie z Moore w gospodzie „Pod Koroną”. Trzeba było od razu starać się na gwałt o zarobek, bo z owych dwudziestu czterech örów, które dostałam z domu, zostało mi tylko osiemnaście. Jedna dziewczyna poradziła mi, abym się udała po robotę do rotmistrza, mieszkającego przy ulicy Hornstull. Zgodzono mnie tam na cztery dni, które spędziłam na kopaniu i pieleniu w ogrodzie. Zapłata wynosiła dwadzieścia cztery öry bez utrzymania, toteż nie mogłam sobie pozwolić na dobre odżywianie. Lecz córeczki mego pana spostrzegły, iż bywam często głodna, biegały więc do kuchni i znosiły mi jedzenie, tak że nie zaznałam jednak głodu.

Następnie dostałam się do pewnej kobiety przy ulicy Norrland. Tam musiałam sypiać w bardzo nędznej komorze, myszy podziurawiły mi ubranie i wygryzły dziurę w torbie podróżnej. W tym domu miałam robotę tylko na dwa tygodnie.

Potem musiałam znów ruszać w drogę, mając dwie korony w kieszeni. Obrałam tym razem drogę przez Leksand i zatrzymałam się przez kilka dni we wsi zwanej Ronnas. Przypominam sobie, że ludzie gotowali tam kaszę owsianą, pomieszaną z plewami i z otrębami. Nic innego nie mieli i w dniach głodowych radzi byli i z takiego pożywienia.

Tak, w owym roku nieświeźnie mi się wiodło, lecz następny był jeszcze gorszy.

Widzicie, musiałam znów wywędrować z domu, gdyż inaczej dla wszystkich nie starczyłoby chleba w chacie. Tym razem przyłączyłam się do dwóch innych dziewcząt i udałyśmy się do miejscowości Hundiksvall, odległej o dwadzieścia pięć mil. Całą drogę musiałyśmy nieść worki na plecach, nie nadarzył się bowiem nam tym razem wózek chłopski, który by je mógł zabrać.

Liczyłyśmy na to, że zgodzimy się do robót w ogrodzie, ale kiedyśmy tam zaszły, śnieg leżał jeszcze wszędzie i o robotach w ogrodzie nie było mowy. Chodziłam więc po dworach okolicznych i błagałam o jakąkolwiek pracę. Ach, moi drodzy, jakże byłam zmęczona i głodna, dopóki nie znalazłam gospodarzy, którzy przyjęli mnie do skubania wełny za osiem orów na dzień. W końcu znalazłam pracę w ogrodach miejskich i zostałam tam do lipca. Później jednak ogarnęła mnie tęsknota z taką siłą, że udałam się w drogę do Ostbjörke. Miałam wszak dopiero lat siedemnaście. Buty moje były zdarte i musiałam dwadzieścia cztery mile przejść boso. Ale było mi lekko i wesoło na sercu, gdyż zaoszczędziłam sobie piętnaście koron, a dla drobnego rodzeństwa miałam kilka starych bułek i torebkę zaoszczędzonego cukru. Ile razy dostawałam dwa kawałki cukru do kawy, odkładałam jeden do torebki.

Tak, tak, siedzicie tu oto, dziewczęta, i nie wiecie wcale, jak bardzo powinnyście dziękować Panu Bogu, że wam dał lepsze czasy. Wówczas bowiem jeden rok głodowy następował po drugim — cała młodzież z Dalarna musiała szukać zarobków na obczyźnie.

W roku 1847 wywędrowałam znów do Sztokholmu i pracowałam tam w wielkim Hornbergowskim ogrodzie. Prócz mnie było tam jeszcze kilka dziewcząt. Otrzymywałyśmy cokolwiek większe wynagrodzenie, musiałyśmy jednak żyć bardzo oszczędnie. Zbierałyśmy stare gwoździe i kości i sprzedawałyśmy gałganiarzom. Za te pieniądze kupowałyśmy sobie potem twarde jak kamień suchary,

wypiekane dla żołnierzy.

W końcu lipca powróciłam znów do domu, aby pomagać przy żniwach. Tym razem zaoszczędziłam sobie trzydzieści koron.

Następnego roku także musiałam wywędrować na zarobek. Dostałam miejsce u pułkownika, który mieszkał pod Sztokholmem. W owym roku odbywały się manewry w Lagardsgardet i kucharz wysłał mnie do pilnowania kuchni polowej, którą urządzono w wielkim furgonie. Gdybym sto lat żyła, nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy musiałam stanąć w obozie przed królem Oskarem i dać w róg. Król w nagrodę przysłał mi potem całą duńską koronę.

Później służyłam przez kilka lat z rzędu za przewoźniczkę pod Brunswik — przewoziłam ludzi z Albano do Haga. Były to moje najlepsze czasy. Miałyśmy z sobą w łodzi nasze rogi i zdarzało się, że podróżni odbierali nam wiosła, abyśmy mogły zagrać na rogu. Kiedy z jesienią przewóz ustawał, ruszałam w górę Upplandii i pomagałam trzem chłopom przy młocce.

W owe czasy około Bożego Narodzenia wracałam co rok do domu z setką koron w kieszeni. Prócz tego, robiąc przy młocce, dostawałam sporo ziarna na siew. Ojciec przyjeżdżał po nie, skoro sanna tak się ustaliła, że mógł wyruszyć saniami.

Tak, tak, widzicie, gdybyśmy z rodzeństwem nie wracali do domu z zebrany groszem, nie mogliby się nasi wyżywić, gdyż chleb z własnego zbioru był już około Bożego Narodzenia na wyczerpaniu, a wówczas nie uprawiano jeszcze tak wiele kartofli. Musiano więc kupować zboże u kupca. Gdy jednak beczka żyta kosztowała czterdzieści koron, a owies — dwadzieścia cztery, należało być oszczędnym. W owym czasie mieszano u nas mąkę z cieniutko siekaną słomą. Takiego chleba ze słomą nie jadło się łatwo, zapewniam was, trzeba go było porządnie popijać wodą, zanim się w ogóle dał przełknąć.

Tak wędrowałam rok w rok tu i ówdzie, póki nie wyszłam za mąż, a było to w roku 1856. Z Jonem zaprzyjaźniłam się w Sztokholmie. Lecz co rok, kiedy wracałam do domu, niepokoiłam się nieco, żeby mi go dziewczęta w Sztokholmie nie zabrały. Nazywały go pięknym Jonem. Ale w jego sercu nie było fałszu i kiedy zaoszczędził sobie dość grosza, wyprawiliśmy wesele.

Podczas następnych lat panowała u nas radość, nie mieliśmy zmartwień ani trosk, ale nie trwało to długo. W 1863 roku Jon umarł, zostałam sama na świecie z pięciorgiem dzieci. Nie było nam tak bardzo źle, bo w Dalarna nastały lepsze czasy. Mieliśmy kartofli i zboża pod dostatkiem. Gospodarowałam na małym polu, które odziedziczyłam, i miałam własny domek. Tak mijał rok za rokiem, dzieci dorastały i te, które zostały przy życiu, są teraz zamożnymi ludźmi i nie potrafią sobie nawet wyobrazić, jak ciężko bywało ludziom w Dalarna za czasów młodości ich matki.

Na tym staruszka zakończyła opowiadanie. Tymczasem ogień wygasł. Wszyscy powstawali mówiąc, że już czas udać się do domu. Chłopiec wrócił na łód do swoich towarzyszy. Ale kiedy tak biegł sam przez łód, dźwięczała mu wciąż jeszcze w uszach pieśń, którą śpiewali ludzie na moście: „W Dalarna były, w Dalarna żyły, mimo biedy, wierność i cześć...” Potem następowało kilka wierszy, których sobie nie mógł przypomnieć, ale zakończenie pamiętał dobrze: „Mieszali z korą często swój chleb, lecz nawet panom na pomoc szli — ubodzy ludzie z Dalarna”.

Chłopiec nie zapomniął jeszcze wszystkiego, co mu opowiadano w szkole o mężach z rodu Sture i o Gustawie Wazie, i dziwił się zawsze, dlaczego mieli oni szukać pomocy u mieszkańców Dalarna. A teraz zrozumiał: w kraju, gdzie były takie kobiety jak owa staruszka, która opowiadała historię swego życia, mężczyźni musieli być niezłomni.

U WRÓT KOŚCIELNYCH

Kiedy nazajutrz chłopiec obudził się i zsunął na lód, mimo woli musiał się roześmiać w głos. W nocy padał śnieg, padał jeszcze i teraz i w powietrzu unosiły się białe płatki, które spadając wydawały się skrzydełkami zmarzniętych motyli. Na jeziorze leżał śnieg głęboki na kilka centymetrów, brzegi były zupełnie białe, a dzikie gęsi wyglądały jak małe pagórki śnieżne, tak śnieg przysypał im grzbiety.

Kiedy niekiedy Akka, Yksi lub Kaksi poruszały się nieco, widząc jednak, że śnieg wciąż jeszcze pada, chowały znów czym prędzej głowy pod skrzydła. Myślały zapewne, że w taką pogodę nie mogą uczynić nic lepszego, jak spać, a chłopiec przyznawał im zupełną słuszość. Po kilku godzinach zbudziły go dźwięki dzwonów kościelnych, zwołujące na nabożeństwo w Rättviku. Śnieg przestał padać, ale dał silny wiatr północny i na lodzie było przeraźliwie zimno. Chłopiec był rad, kiedy gęsi otrząsnęły się nareszcie ze śniegu i pofrunęły na ląd, aby sobie zdobyć coś do jedzenia.

Tego dnia w Rättviku odbywała się konfirmacja² i konfirmani, którzy przybyli wcześniej do kościoła, stali w kilku małych grupach pod murem cmentarnym. Wszyscy byli w strojach świątecznych, a odzież ich była tak nowa i barwna, że byli widoczni z daleka.

— Kochana matko Akko, zwolnij nieco lotu tutaj, abym się mógł przyjrzeć tym dzieciom! — zawołał chłopiec.

Stara gęś uważała widocznie to życzenie za zupełnie naturalne, gdyż zniżyła lot jak najbardziej i obleciała trzy razy dokoła kościoła.

Trudno osądzić, jak dzieci te wyglądały w rzeczywistości, lecz Nilsowi, spoglądającemu na tych chłopców i dziewczęta z góry, wydawało się, że nigdy jeszcze nie widział tylu pięknych, młodych istot ludzkich razem zgromadzonych.

— Myślę, że chyba w zamku królewskim nie ma piękniejszych królewiczów i królewien — powiedział do siebie.

Lecące gęsi dopiero teraz widziały, jak obfity spadł śnieg. W Rättviku pokryte nim były wszystkie pola i Akka nigdzie nie mogła znaleźć dogodnego miejsca na spoczynek dla swojej gromady. Nie namyślając się długo, poleciała na południe, w stronę Leksandu.

Z Leksandu, jak zwykle, cała młodzież wyruszyła na robotę. Pozostali więc przeważnie ludzie starzy i właśnie, kiedy dzikie gęsi nadleciały, długi szereg samych starych kobiet kroczył piękną aleją brzozową, prowadzącą do kościoła. Szły białą drogą wśród białych pni brzoź, w śnieżnobiałych płaszczach, w białych kozuchach baranich, w fartuchach żółtych lub w czarne i białe pasy i białych czepcach, okalających ich białe włosy.

— Kochana matko Akko, zwolnij tu nieco lotu, abym się mógł przyjrzeć tym staruszkom! — zawołał chłopiec.

I to życzenie wydało się zapewne starej przodownicy naturalne, gdyż opuściła się jak najniżej nad ziemią i przeleciała trzy razy nad aleją brzozową. Chłopcu wydawało się, że nigdy jeszcze nie widział starych kobiet o tak mądrym i miłym wyrazie twarzy.

— Staruszki te wyglądają tak, jak gdyby synami ich byli królowie, a córkami — królowny — powiedział chłopiec do siebie.

Lecz w Leksandzie też nie było lepiej niż w Rättviku. Wszędzie leżał głęboki śnieg i Akka, nie mogąc poradzić sobie inaczej, postanowiła lecieć dalej na południe w kierunku Gagnefu. W Gagnefie tego dnia odbywał się przed nabożeństwem pogrzeb. Kondukt pogrzebowy spóźnił się nieco i pogrzeb przeciągnął się dłużej, niż przypuszczano. Kiedy dzikie gęsi nadleciały, nie wszyscy jeszcze ludzie byli w kościele, sporo kobiet krążyło po cmentarzu, odwiedzając groby bliskich. Ubrane były w zielone gorseciki, w bluzki z czerwonymi rękawami i w kolorowe chusteczki z frędzlami na głowach.

— Kochana matko Akko, zwolnij nieco lotu, abym się mógł przypatrzeć tym wieśniaczkom! — zawołał chłopiec.

I to życzenie nie zdziwiło starej gęsi, gdyż okrążyła trzy razy cmentarz wokoło. Chłopcu, który patrzył na kobiety z góry, poprzez drzewa cmentarne, wydały się one niby piękne kwiaty.

“Wygląda ją wszystkie, jak gdyby wyrosły w królewskim ogrodzie” — pomyślał.

Lecz i w Gagnefie nie znalazło się ani jedno pole bez śniegu i gęsi zmuszone były udać się jeszcze dalej na południe, do miejscowości Floda.

Kiedy dzikie gęsi nadleciały do Floda, ludzie byli już w kościele, lecz zaraz po nabożeństwie miał się odbyć ślub i cały orszak weselny czekał na wzgórzu przed kościołem. Panna młoda nosiła na rozpuszczonych włosach złotą koronę, a tak była przystrojona kwiatami, barwnymi wstęgami i klejnotami, że od samego patrzenia na nią aż oczy bolały. Pan młody miał na sobie długi, granatowy surdut, krótkie spodnie i czerwoną czapkę. Gorseciki i szlaki na sukniach u druhen zahaftowane były różami i tulipanami, a rodzice i sąsiedzi kroczyli w orszaku również w barwnych strojach ludowych,

— Kochana matko Akko, zwolnij nieco lotu, abym mógł zobaczyć państwa młodych! — prosił chłopiec.

I przewodniczka opuściła się tak nisko, jak tylko to było możliwe, i przeleciała trzy razy nad cmentarzem tam i z powrotem. Trudno powiedzieć, jak weselnicy wyglądali z bliska, ale chłopcu, patrzącemu z góry, zdawało się, że nigdzie chyba nie ma drugiej tak pięknej panny młodej ani tak wspaniałego pana młodego, ani tak strojnego orszaku.

„Chciałbym wiedzieć, czy król i królowa wyglądają piękniej, przechadzając się po swoim pałacu?” — pomyślał sobie.

Tutaj, we Floda, gęsi znalazły nareszcie pole wolne od śniegu i nie były już zmuszone szukać dłużej pożywienia.

[1](#) Ö r — moneta skandynawska, 1/100 korony,

[2](#) Konfirmacja — ceremonia! w kościele ewangelickim polegający na przyjęciu młodego chrześcijanina do społeczności dorosłych.

POWÓDŹ



1—4 maja

Przez kilka dni w okolicach położonych nad jeziorem Mälarn dokuczała ludziom straszna niepogoda. Niebo pokryte było zupełnie chmurami, wiatr wył i deszcz lał strumieniami. Ludzie i zwierzęta, chociaż wiedzieli, że tak być musi przed przyjściem wiosny, nie mogli się jednak pogodzić z taką pogodą.

Po całodziennym deszczu pokłady śniegu w lasach zaczęły topnieć na dobre i strumienie wiosenne wezbrały. Kałuże wody na podwórkach, woda stojąca w rowach, woda wytryskująca między kępami trawy na mokradłach i w stawach — wszystko to ruszyło i szukało drogi do strumieni, aby wraz z nimi podążyć do morza. Strumienie śpieszyły do rzek, a rzeki usiłowały doprowadzić jak najprędzej całe te masy wód do jeziora Mälarn. I wreszcie jednego i tego samego dnia wszystkie jeziorka w Upplandii i w okręgu górniczym zrzuciły swą powłokę lodową. Wskutek tego rzeki pokryła kra, a woda wznosząc się wypełniła je po brzegi.

Wezbrane rzeki wpadły do Mälarnu i wkrótce jezioro poczęło przybierać tak gwałtownie, że nie mogło już pomieścić przepełniającej je wody. Pieniąc się i szumiąc dziko, szukała ona ujścia, lecz potok Nordstrom ma zbyt wąskie łóżysko, by mógł odprowadzić wody równie szybko, jak one wzbierały. Na domiar dął silny wiatr wschodni, fale morskie zalewały brzegi, tłukąc się o nie burzliwie, i stawiały opór potokowi usiłującemu wlać swe słodkie wody do Bałtyku. Ponieważ rzeki doprowadzały bezustannie coraz więcej wód do Mälarnu, potok zaś nie mógł tych wód pomieścić w swym wąskim łóżysku, wielkie jezioro wystąpiło z brzegów.

Jezioro przybierało powoli, jak gdyby nie chcąc wyrządzić szkody pięknym brzegom; że jednak brzegi te są wszędzie bardzo niskie i płaskie, więc już w krótkim czasie woda zalała ląd na znacznej przestrzeni i wywołała wszędzie wielki niepokój.

Mälarn jest jeziorem o szczególnym ukształtowaniu: składa się ono z długich, wąskich fiordów, zatok i cieśnin. Nie ma w nim rozległych przestrzeni, które mogłyby smagać burze — zdaje się być stworzone jedynie do towarzyskich wycieczek, do żeglowania w łodziach i do połowów w wesołym towarzystwie. Posiada też wiele prześlicznie zadrzewionych wzgórz i przylądków. Nigdzie nie widać tu brzegów nagich, opuszczonych, po których tylko wiatr hula. I wydaje się, jak gdyby jezioro to istniało jeszcze i po to, żeby mogły się nad nim rozciągać miejsca zabaw, wznosić pałacyki, wille i dwory pańskie.

I może dlatego, że zwykle jezioro jest takie pogodne i ciche, ogarnia wszystkich wielka trwoga, gdy zmienia ono swój pogodny wygląd na burzliwy i zwiastujący powódź.

Ponieważ zapowiadało się, iż Mälarn może istotnie wylać, na gwałt zabrano się do naprawiania i pokrywania smołą wszystkich łodzi i czółen, wyciągniętych na zimę na ląd, aby je jak najprędzej przygotować. Mostki, na których praczki prały bieliznę, usunięto, a przystanie wzmocniono. Dróżnicy, których zadaniem było pilnowanie dróg kolejowych ciągnących się wzdłuż brzegów, chodzili bezustannie tam i z powrotem po nasypie kolejowym, odmawiając sobie snu zarówno w dzień, jak i w nocy.

Chłopi, przechowujący siano i suche liście w szopach zbudowanych na niskich kępach wśród jeziora, przewozili wszystko z pośpiechem na ląd. Rybacy wyciągali swe sieci i więcierze, aby ich woda nie porwała.

Przy przewozach roiło się od ludzi, którzy chcieli się jak najprędzej przeprawić na drugi brzeg. Każdy, kto był w drodze, musiał się śpieszyć, dopóki przejazd był jeszcze możliwy. Największy ruch panował w okolicy Sztokholmu, gdzie na wybrzeżu znajdują się lotniska jedno przy drugim. Wille stoją tam przeważnie na wzniesieniu, tak że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, ale do każdej z tych will należała łazienka, przystań i budynki i trzeba było przenieść je w miejsce bezpieczne.

Nie tylko ludzie zaniepokoiли się tak bardzo przybojem wód w Mälarnie — położenie zwierząt stawało się również rozpaczliwe. Trwoga ogarnęła kaczki, których jaja leżały ukryte w zaroślach nad brzegami; szczury wodne i kretomysze, mieszkające na brzegu i hodujące w norach małe, niedołążne młode; nawet dumne łabędzie zaniepokojone były losem swych gniazd i jaj.

A nie były to czcze obawy, gdyż z każdą godziną jezioro przybierało.

Zanurzyły się już w wodzie pnie wierzb i topól rosnących na brzegach. Woda dostała się do ogrodów i gospodarowała tam po swojemu, wyrządzając wielkie szkody na grzędach warzywnych i na polach.

Jezioro wzbierało przez wiele dni z rzędu. Nisko położone łąki wokoło Gripsholmu stały pod wodą, a wielki zamek oddzielał teraz od lądu już nie wąski rów, lecz szeroki zalew,

W Strängnäs piękna promenada nad morzem zamieniła się w rwącą rzekę, a w Västerås ludzie pływali łodziami po ulicach.

Na jednej z kęp na jeziorze przezimowało kilka łosi, teraz woda uniosła ich legowisko i wyrzuciła je na brzeg.

Całe stopy drzewa opałowego, mnóstwo desek i belek, wiadra i stągwie pływały wokoło i ludzie wszędzie zajęci byli wyławianiem ich z wody.

W tych ciężkich czasach pewnego dnia lis Mykita skradał się przez gaj brzozowy położony nieco na północ od Mälarnu. Jak zwykle, myśli jego zajęte były dzikimi gęśmi i Paluszkiem. Dumał i du mał nad tym, jakby tu trafić do nich, gdyż stracił ich ślad całkowicie.

Kiedy tak szedł zniechęcony, spostrzegł nagle na brzozowej gałęzi gołębia Agara.

— Jak to dobrze, że cię spotykam, Agar! — zawołał Mykita. — Będziesz mi może mógł powiedzieć, gdzie się znajduje Akka z Kebnekajse ze swoim stadem?

— Może i mógłbym powiedzieć — odrzekł Agar — ale ani myślę udzielać tobie takich wiadomości.

— Nic mi zresztą po tym — oświadczył Mykita — chodzi mi tylko o to, abyś jej oznajmił polecenie, jakie mi dla niej dano. Wiesz przecież, jakie straszne rzeczy dzieją się w tych dniach na jeziorze. Powódź jest ogromna i wielkie stado łabędzi zamieszkujące zatokę Hjälsta jest w ogromnej obawie o swoje gniazda i jaja. Król łabędzi Światłowid słyszał o malcu, który wędruje z dzikimi gęśmi i umie każdemu poradzić, posłał więc mnie do Akki, aby prosić ją o przybycie z Paluszkiem do zatoki Hjälsta.

— Oznajmię im twoje polecenie — odrzekł Agar. — Ale nie wyobrażam sobie, jak taki malec będzie mógł pomóc łabędom.

— I ja sobie tego nie wyobrażam, ale on podobno umie różne rzeczy,

— Dziwię się także bardzo, że Swiatłowid posyła lisa z poleceniem do dzikich gęsi — rzekł Agar.

— Masz słuszość, gdyż zazwyczaj jesteśmy wrogami — odrzekł lis przyjaznym głosem. — Ale w biedzie trzeba sobie wzajemnie pomagać. Zresztą dobrze zrobisz, jeśli nie powiesz Akce, że otrzymałeś tę wiadomość przez lisa, gdyż mogłoby się zrodzić w niej podejrzenie.

ŁABĘDZIE W ZATOCE HJÄLSTA

Na całym jeziorze Mälarn najpewniejszym miejscem schronienia dla ptaków wodnych jest zatoka Hjälsta.

Jest to najbardziej wewnętrzna część zatoki Ekolsund, która znowu stanowi rozszerzenie Björköfjordu. Fiord ten jest drugim co do wielkości spośród owych długich fiordów ciągnących się od jeziora Mälarn poprzez Upplandię.

Brzegi zatoki Hjälsta są płaskie, poziom wody w niej niski, a zarośnięta jest sitowiem zupełnie tak jak jezioro Takern. Nie dorównywa ona wpawdzie wielkością owemu słynnemu ptasiemu jezioru, mimo to służy ptakom za doskonałe schronienie, od wielu bowiem lat polowanie na wyspie zostało wzbronione. Osiedlił się mianowicie w tej okolicy ród łabędzi i właściciel starych dóbr koronnych Ekolsund, położonych w pobliżu, zabronił tam polowania, aby nie płoszyć i nie niepokoić łabędzi.

Zaledwie Akka dowiedziała się, że łabędzie potrzebują jej pomocy, poleciała natychmiast wraz z całym stadem do zatoki Hjälsta. Przybyła na miejsce pod wieczór i od razu spostrzegła ogromne szkody wyrządzone przez powódź. Gwałtowny wiatr zerwał i uniósł wielkie gniazda łabędzie na środek zatoki. Niektóre z nich zostały zupełnie zniszczone, inne pływały do góry dnem, a wysypane jaja leżały na dnie pod wodą.

Kiedy Akka przybyła do zatoki, wszystkie mieszkające tam łabędzie zebrały się na wschodnim brzegu, najlepiej zabezpieczonym od wiatru. Powódź wyrządziła im wpawdzie wielkie szkody, były jednak zbyt dumne, aby okazywać smutek z tego powodu. „Nie ma sensu uważać się za nieszczęśliwe. Dość tu wokoło korzeni i łodyg, z których można będzie zbudować nowe gniazda” — mówiły. Ani jeden z łabędzi nie myślał też o tym, żeby wzywać cudzej pomocy, i nie przypuszczały, że to Mykita przywołał dzikie gęsi.

Gromada złożona z kilkuset łabędzi rozsiadła się odpowiednio do swego stanowiska i znaczenia: młode i niedoświadczone umieściły się na zewnątrz pierścienia, stare zaś i mądre — wewnątrz. W samym środku siadł król Swiatłowid z królową Białośnieżką.

Swiatłowid i Białośnieżka umiały opowiadać o owych czasach, kiedy w Szwecji nie było wcale dzikich łabędzi, a hodowano je tylko na stawach i sadzawkach. Zdarzyło się przecież, że jedna z tych oswojonych par uciekła i osiadła w zatoce Hjälsta. Od niej pochodzą wszystkie mieszkające teraz w tych stronach łabędzie. Obecnie żyje wpawdzie mnóstwo dzikich łabędzi na jeziorach Mälarn, Takern oraz na jeziorze Hornborga, ale są to przybysze pochodzący z zatoki Hjälsta i łabędzie chwalą się, że zajmują jedno jezioro za drugim.

Dzikie gęsi spuściły się przypadkiem po zachodniej stronie zatoki, lecz gdy się Akka dowiedziała, gdzie łabędzie przebywają, natychmiast udała się do nich. Sama była bardzo zdziwiona, że po nią przysłano, ale uważała to sobie za zaszczyt i nie chciała tracić ani chwili, skoro potrzebowano jej pomocy.

Znalazłszy się w pobliżu łabędzi, Akka zatrzymała się i obejrzała za siebie dla sprawdzenia, czy gęsi płyną za nią w prostej linii i w ustalonych odstępach jedna za drugą.

— Płyńcie ładnie i prosto — zawołała — nie gapcie się na łabędzie, jak gdybyście nigdy nie widzieli

nic równie pięknego, i nie uważajcie na to, co one do was będą mówić!

Akka nie po raz pierwszy odwiedzała państwo łabędzie i dotychczas przyjmowano ją zawsze ze względami należnymi tak obytemu i czcigodnemu ptakowi. Nigdy jednak nie było jej przyjemnie, kiedy musiała pływać między rzędami łabędzi otaczającymi parę królewską. Nigdy nie wydawała się sobie tak mała i szara jak wówczas, kiedy znajdowała się wśród łabędzi, a przy tym zdarzało się nieraz, że ten lub ów łabędź rzucał uwagę o pewnych szarych, brzydkich stworzeniach. Wtedy Akka uważała, że najrozumniej jest udawać, że nic nie słyszy, i płynąć spokojnie dalej.

Tym razem zdawało się, że wszystko idzie jak najlepiej. Łabędzie rozstąpiły się cicho i dzikie gęsi płynęły między ich szeregami, niby ulicą, obstawioną wielkimi, śnieżnobiałymi ptakami. A białe te ptaki, rozpinające skrzydła niby żagle, aby roztoczyć przed przybyszami całą swą urodę, istotnie tworzyły widok wspaniały. Nie robiły żadnych złośliwych uwag, co zdziwiło Akkę niezmiernie.

„Zapewne król Swiatłowid dowiedział się o ich nieuprzejmości i nakazał im, aby się zachowywały, jak przystoi dobrze wychowanym ptakom” — myślała stara gęś.

Lecz nagle, kiedy łabędzie dokładały wszelkich starań, żeby się zachować przyzwoicie, ujrzały białego gąsiora płynącego na samym końcu długiego sznura gęsi. W szeregach łabędzych rozległ się pomruk zdumienia i gniewu i w jednej chwili skończyła się cała ich uprzejmość.

— A to co takiego?! — zawołał jeden z łabędzi. — Więc dzikie gęsi pozwalają sobie na białe pióra?

— Nie wyobrażają sobie chyba, że przez to zamienią się w łabędzie?! — wołano ze wszystkich stron. I donośne głosy łabędzi rozlegały się coraz wrzaskliwiej, tak że

Akka nie mogła dojść do głosu, żeby im wyjaśnić, iż jest to gąsior domowy, który przyłączył się do jej stada.

— Z pewnością jest to sam gęsi król! — szydziły łabędzie,

— A to niesłychana bezczelność! — wołały inne.

— To wcale nie gęś, to domowa kaczka!

Biały gąsior przypomniał sobie, że Akka uprzedzała go, aby nie zważał na to, co do niego wołać będą łabędzie. Milczał więc i płynął naprzód, o ile mógł najprędzej, ale to nie pomagało, gdyż łabędzie nacierały coraz bardziej.

— Cóż to za ropucha siedzi mu na grzbiecie? — zapytał jeden. — Gęsi myślą może, że nie widzimy, iż to tylko ropucha, choć wystroiła się jak człowiek.

Łabędzie, które dotychczas przestrzegały tak pięknie porządku, rzuciły się teraz gwałtownie naprzód, cisnąc się, aby zobaczyć białego gąsiora.

— Taki biały gąsior powinien mieć przynajmniej na tyle wstydu, by nie pokazywać się łabędom!

— Z pewnością jest on taki szary jak wszystkie, tylko unurzał się w mące.

W tej chwili Akka dopłynęła do króla Swiatłowida i miała go właśnie zapytać, w czym mu może być pomocna, gdy król zauważył poruszenie wśród swego stada.

— Cóż to się stało? Czyż nie nakazałem im, aby byli uprzejmi dla obcych! — zawołał z wielkim niezadowoleniem.

Królowa Białośnieżka popłynęła do swych poddanych, aby ich uspokoić, a Swiatłowid zwrócił się do Akki. Lecz Białośnieżka już powracała, bardzo wzburzona.

— Czy nie możesz ich uspokoić?! — zawołał król.

— Między nimi jest biała, dzika gęś — rzekła królowa. — To istotnie niesłychana rzecz. Nie dziwię się wcale ich oburzeniu.

— Biała, dzika gęś?! — zawołał Swiatłowid, — To niemożliwe! Takie gęsi nie istnieją! Musiało ci się chyba przywidzieć!

Ścisk wokoło Marcina stawał się coraz większy. Akka i inne gęsi próbowały podpłynąć do niego, ale

odpychano je i nie mogły się przedostać. Teraz ruszył i stary król łabędzi, najsilniejszy z całego rodu. Usunął wszystkie na bok i utorował sobie drogę do gąsiora. Ale kiedy się przekonał, że jest on istotnie biały, rozgniewał się tak samo jak inne łabędzie.

Parskał ze złości, rzucił się na gąsiora i wyrwał mu kilka piór,

— Ja cię nauczę, dziki gąsiorze, pokazywać się łabędom w takim stroju! — zawołał.

— Uciekaj, Marcinku, uciekaj, uciekaj! — wołała Akka w obawie, że łabędzie oskubią go zupełnie.

— Uciekaj, uciekaj! — wołał także Paluszek,

Lecz gąsior tak był otoczony łabędziami, że nie mógł rozpostrzeć skrzydeł, przy tym ze wszystkich stron rozzłoszczone łabędzie wysunęły silne dzioby, grożąc biedakowi.

Gąsior bronił się, jak mógł: szczypał i uderzał dziobem, a inne gęsi pomagały mu w tym gorliwie. Lecz wynik był łatwy do przewidzenia.

Tymczasem zupełnie niespodziewanie dla dzikich gęsi zjawiła się pomoc. Pliszka, która widziała, że gęsiom dzieje się krzywda, wystąpiła jako wybawicielka. Wydała ów ostry, ostrzegawczy krzyk, którym posługują się małe ptaki, kiedy chcą przepędzić jastrzębia lub sokoła. I zaledwie krzyk ten rozległ się trzy razy, kiedy już drobne ptactwo z całej okolicy spadło wielką, wrzaskliwą chmarą nad zatokę. I te małe, słabe ptaszki rzuciły się na łabędzie, poczęły im ćwierkać nad głowami, zasłoniły im oczy skrzydełkami, ogłuszyły swym trzepotem i wyprowadziły z równowagi krzycząc przeraźliwie:

— Wstydźcie się! Wstydźcie się, łabędzie!

Napad ptaszków trwał kilka chwil. Po ich odlocie łabędzie uspokoiły się nieco i dzikie gęsi mogły pofrunąć na drugą stronę zatoki.

NOWY PIES NA ŁAŃCUCHU

Łabędzie postąpiły dobrze przynajmniej pod jednym względem: zaniechały pogoni za dzikimi gęśmi, uznały bowiem, że pogoń byłaby poniżeniem ich godności. Dzikie gęsi mogły więc zanocować spokojnie na kępie porosłej trzciną.

Jeden tylko Nils Holgerson nie mógł zasnąć, gdyż głód dokuczał mu bardzo.

— Muszę się rozejrzeć, czy nie znajdę gdzieś czegoś do zjedzenia — rzekł.

W tych dniach, kiedy woda unosiła tyle różnych rzeczy, nie trudno było takiemu malcowi jak Nils znaleźć jakieś pożywienie. Nie namyślał się też długo, lecz skoczył na deskę płynącą między trzcinami. Potem wyłowił z wody kijek i ruszył w stronę brzegu. Dopłynąwszy usłyszał tuż obok siebie plusk i ujrzał łabędzicę siedzącą w wielkim gnieździe. Niemal jednocześnie zauważył także lisa stąpającego po wodzie o kilka kroków od brzegu i podkradającego się do gniazda.

— Hej, hej! Wstawaj, wstawaj! — zawołał chłopiec uderzając kijem o wodę.

Łabędzica zerwała się, nie tak prędko jednak, aby lis nie mógł się na nią rzucić, gdyby chciał. Ale lis zaniechał tego zamiaru i zwrócił się pośpiesznie ku chłopcu.

Paluszek widząc biegnącego lisa począł uciekać. Przed nim ciągnęły się dalekie, równe łąki, nie widział nigdzie drzewa, na które mógłby się wdrapać, ani dziury, w której mógłby się ukryć. Nie pozostawało więc mu nic innego, jak uciekać dalej.

Chłopiec miał wprawdzie zdrowe nogi, ale zdawał sobie jasno sprawę, że nie może się mierzyć pod względem szybkości biegu z lisem.

W pewnej odległości od brzegu stało kilka chałup chłopskich, których okna świeciły się jasno. Chłopiec pobiegł w ich stronę, choć przewidywał, że lis dogoni go, zanim zdąży dobiec do chałup.

Raz już istotnie lis otarł się tak blisko o niego, że pewien był swojej zdobyczy, lecz chłopcu udało się

skoczyć szybko w bok i pobiec z powrotem ku zatoce. Ten zwrot zatrzymał nieco lisa i zanim zdążył on znów dogonić chłopca, Nils dopadł kilku wieśniaków, którzy przez cały dzień aż do późnego wieczora wyławiali swój dobytek unoszony przez wodę, a teraz wracali do domu. Wieśniacy byli zmęczeni, senni i nie zauważyli ani lisa, ani chłopca, choć Nils przysunął się bliżutko. Malec nie chciał zresztą odzywać się do nich ani też prosić o pomoc, szło mu tylko o to, aby trzymać się w pobliżu. Myślał bowiem sobie: „Lis nie odważy się podejść tak blisko do ludzi”.

Niebawem przecież usłyszał, że lis skrada się coraz bliżej. Mykita ośmielił się zbliżyć do ludzi, gdyż pomyślał: „Wezmą mnie z pewnością za psa”. I rzeczywiście wkrótce jeden z wieśniaków zawołał:

— Cóż to za pies włóczy się za nami? Tak blisko się przysuwa, jak gdyby chciał nas pokąsać”.

Towarzysz jego obejrzał się i krzyknął:

— Precz! Czego tu szukasz?! — I jednocześnie uderzył lisa kijem tak mocno, że ten skoczył na drugą stronę drogi.

Odtąd lis trzymał się w kilkumetrowej odległości, biegł jednak uparcie za ludźmi.

Chłopi wkrótce doszli do chałup i weszli wszyscy razem do jednej z nich. Chłopiec właściwie miał zamiar wsunąć się za nimi, ale tuż przed progiem zauważył wielkiego, pięknego psa podwórzowego o długiej sierści, który wyskoczył z budy i witał z radością swego pana. Chłopiec zmienił nagle zamiar i został przed chatą.

— Słuchaj, Brysiu — przemówił cicho, gdy tylko chłopi zamknęli drzwi za sobą. — Czybyś nie zechciał pomóc mi tej nocy schwytać lisa?

Pies nie miał bystrego wzroku, a niewola uczyniła go dym i po — pędliwym.

— Jakże ja mogę złapać lisa? — zawarczał gniewnie. — Ktoś ty za jeden, że przychodzisz tu kpić ze mnie? Podejdź no bliżej, a nauczę cię, jak się żartuje z Brysia!

— O, nie boję się ciebie wcale! — zawołał chłopiec i podbiegł do psa,

A Bryś, ujrzawszy malca, tak zdębiał, że nie mógł wydobyć głosu.

— Jestem chłopcem, którego zwierzęta nazywają Paluszkciem, a wędruję z dzikimi gęśmi — rzekł Nils Holgerson. — Czyś nie słyszał jeszcze o mnie?

— Owszem, jaskółki świegotały coś takiego — odrzekł pies. — Podobno dokonałeś już wielkich rzeczy, chociaż jesteś taki mały.

— Tak, do dnia dzisiejszego wiodło mi się wcale nieźle, ale teraz, jeśli mi nie dopomożesz, to będzie już chyba po mnie. Lis depcze mi po piętach. Ot, stoi tam w kącie i czyha na mnie.

— Ej, prawdziwie, wietrzę go wyraźnie — rzekł pies. — Ale poczekaj, damy mu tu zaraz!

I pies rzucił się, o ile mu łańcuch na to pozwalał, szczekając i warcząc przez długą chwilę.

— Myślę, że teraz nie ośmieli się zbliżyć — rzekł.

— Ach, samo szczekanie nie zmusi tego lisa do ucieczki — rzekł chłopiec. — Będziemy go tu zaraz mieć z powrotem i zresztą dobrze się składa, gdyż wbiłem sobie do głowy, że ty go schwytasz.

— Czy znowu kpisz ze mnie?! — zawołał pies.

— Nie, ani myślę kpić. Chodź tylko ze mną do budy, aby nas lis nie podsłuchał, a powiem ci, jak masz się do tego wziąć — powiedział chłopiec.

Wlaźł wraz z psem do budy i coś mu tam szeptał z przejęciem.

Po jakimś czasie lis wysunął mordę ze swego ukrycia i przekonawszy się, że wszędzie jest cicho, wśliznął się ostrożnie na podwórko. Szedł za śladami chłopca aż do psiej budy i usiadł w pewnym oddaleniu od niej, aby się zastanowić, jak wywabić stamtąd malca. Nagle pies wysunął łeb i zawarczał do lisa:

— Wynoś mi się stąd zaraz, bo inaczej wyskoczę i złapię cię!

— Ciebie się nie obawiam i będę tu tak długo siedział, jak mi się spodoba — odrzekł lis.

— Idź w swoją drogę! — warknął pies jeszcze groźniej. — Inaczej dzisiejsze twoje łowy będą dla ciebie ostatnie!

Lecz lis wykrzywił się tylko, nie ruszając się z miejsca.

— Wiem dobrze, jak daleko sięga twój łańcuch — odparł.

— Pamiętaj, że ostrzegałem cię dwa razy — rzekł pies i wybiegł z budy. — Teraz sam poniesiesz skutki.

I w tejże chwili jednym susem rzucił się na lisa. Udało mu się to wcale łatwo, ponieważ był wolny — chłopiec zdjął mu obrozę.

Walka trwała chwilę i rozstrzygnęła się wnet. Pies został zwycięzcą, a lis leżał na ziemi, nie ośmielając się poruszyć.

— Spokojnie, spokojnie! Jeśli nie będziesz leżał spokojnie, zagryzę cię na śmierć — groził pies. Potem schwycił lisa za kark i powlókł go do budy. Przed budą stał chłopiec z łańcuchem, okręcił nim lisowi dwukrotnie szyję i zaciągnął mocno, aby uwięzić go na dobre. Lis leżał cicho, bez ruchu.

— Tak, tak, panie Mykito, teraz mam nadzieję, że będzie z ciebie dobry pies podwórzowy — rzekł Nils skończywszy swą robotę.

PODANIE O UPPLANDII



Czwartek, 3 maja

Następnego dnia deszcz ustał, ale wiatr dął jeszcze do południa i jezioro przybierało coraz bardziej. Zaraz po południu jednak pogoda nagle się zmieniła. Zrobiło się prześlicznie: ciepło, cicho i jasno.

Chłopiec, uszczęśliwiony, leżał w gąszczu przepysznie rozkwitłych mleczów i patrzył w niebo. Wtem ujrzał dwoje dzieci powracających z książkami ze szkoły. Dzieci szły powoli i wydawały się bardzo zasmucone. Podeszedłszy bliżej w stronę chłopca, siadły na kamieniach przydrożnych i zaczęły się uskarżać jedno przed drugim:

— Matka będzie się gniewała, żeśmy znowu nie umiały lekcji — odezwało się jedno z nich.

— Tak, i ojciec będzie zły — mówiło drugie.

I dzieci, szczerze zmartwione, wybuchnęły głośnym płaczem.

Paluszek zaczął właśnie myśleć, w jaki sposób dopomóc dzieciom, kiedy tą samą drogą nadeszła mała, garbata staruszka o miłej twarzy i stanęła przed dziećmi.

— Dlaczego płaczecie? — zapytała.

Dzieci opowiedziały jej, że nie umiały w szkole lekcji i że ze wstydu boją się wracać do domu.

— Cóż to za trudna lekcja, że nie mogłyście jej się nauczyć? — spytała staruszka.

Na to dzieci odpowiedziały, że miały się nauczyć geografii całej Upplandii.

— Być może, że trudno jest nauczyć się tego z książki — rzekła staruszka. — Ale posłuchajcie, co mi matka moja opowiadała niegdyś o tym kraju. Ja sama nie chodziłam do szkoły, nie uczyłam się więc o tym, lecz to, czego się dowiedziałam od matki, pamiętam do dziś.

Otóż matka opowiadała — zaczęła staruszka, siadając obok dzieci na kamieniu — że dawnymi czasy Upplandia uważana była za najuboższą i najmniej ważną prowincję Szwecji. Składała się z samych jałowych, gliniastych gruntów i niewysokich, kamienistych pagórków. I dziś istnieje podobno dużo takich przestrzeni, chociaż tutaj nad Mälarnem tego nie widać.

Tak, tak, bądź co bądź biedna Upplandia przedstawiała się smutnie i nędznie, a co gorsza, gnębiło ją poczucie, iż pewne prowincje uważają ją za nędzarkę, a taka świadomość staje się z czasem nie do zniesienia. Pewnego więc dnia, kiedy Upplandii ostatecznie sprzykrzyła się jej bieda, wzięła worek na plecy, kij do ręki i wyruszyła na zebranie do tych, którym się o wiele lepiej powodziło.

Zrazu uboga Upplandia wędrowała wciąż w kierunku południowym — aż zaszła do Skanii. Tam zaczęła narzekać na swoje ubóstwo i prosić o trochę urodzajnej ziemi.

„Wkrótce nie będzie wiadomo, co dać tym wszystkim żebrakom nachodzącym nas bezustannie — rzekła Skania. — Ale otwarłam właśnie kopalnię marglu³ i możesz sobie wziąć kilka kawałków odrzuconej murawy”.

Upplandia wzięła murawę i powędrowała ze Skanii do Västgotlandii. Tam znów zaczęła skarżyć się na swoją nędzę i prosić o ziemię.

„Nie mogę ci dać ziemi — rzekła Västgotlandia. — Żebrakowi nie mogę ustąpić ani kęsa moich żyznych pól. Jeśli ci się jednak przyda która z moich rzeczek przepływających przez równinę, to ją sobie weź”.

Upplandia wzięła rzeczkę i podziękowała. Po czym ruszyła do Hallandu. Tam znowu narzekała na swoje ubóstwo i prosiła o ziemię.

„Nie jestem bogatszy od ciebie — rzekł Halland — i nie widzę, dlaczego miałbym cię obdarzać ziemią. Jeśli jednak chcesz, to zabierz sobie kilka moich kamienistych pagórków”.

Upplandia przyjęła dar, podziękowała i pośpieszyła dalej do Bohuslän. Tam pozwolono jej zabrać do worka tyle nagich skał, ile chciała.

„Niewiele z nich co prawda pożytku — rzekł Bohuslän — ale. mogą ci służyć za ochronę przed wiatrami. Mogą ci się przydać, gdyż mieszkasz nad morzem tak jak i ja”.

Upplandia brała z wdzięcznością wszystko, co jej dawano, i nie odtrącała nic, mimo że wszędzie dawano jej tylko to, co uważano za rzecz bez wartości. Värmland ofiarował jej górę. Västmanland dał łańcuch swych pagórków. Ostrogocja podarowała część dzikiego Kolmardenu, a Smaland zapchał jej prawie cały worek torfowiskami, kamieniołomami i piaszczystymi wzgórkami.

Sörmland nie chciał dać nic prócz kilku zatok Mälamu, a i Dalarna nie chciała naruszać swojej ziemi i spytała, czy Upplandia nie zadowoliliby się częścią Dalälflu. W końcu od prowincji Närke dostała jeszcze kilka bagnistych łąk, położonych nad Hjälmarem.

Wreszcie worek jej zapełnił się po brzegi i Upplandia sama uznała, że została dostatecznie obdarowana.

Kiedy wróciwszy do domu wyjęła z worka otrzymane dary, powiedziała jednak do siebie:

„Zgromadziłam stos rupieci”.

Wzdychała i łamała sobie głowę nad tym, jak zużytkować taką darowiznę.

Upływał rok za rokiem. Upplandia porządkowała swój zbiór i w końcu urządziła wszystko według swego upodobania.

W owych czasach radzono w Szwecji nad tym, w której prowincji zamieszkać ma król i gdzie zbudować należy zamek i stolicę. Rozumie się, że każda prowincja chciała mieć króla u siebie i długo się o to sprzeczały.

„Zdaje mi się, że król powinien mieszkać w tej krainie, która się okaże najdzielniejszą i najmądrzejszą” — oświadczyła w końcu Upplandia, a inne prowincje uznały zdanie jej za słuszne.

Postanowiono tedy, że prowincja, która się okaże najdzielniejszą i najmądrzejszą, otrzyma króla i stolicę.

Zaledwie prowincje wróciły do domu, kiedy nadeszło poselstwo z Upplandii zapraszające je na uroczystość.

„Cóż nam ten nędzarz może pokazać?” — rzekły wszystkie prowincje, zaproszenie jednak przyjęły.

Przybywszy na miejsce, zdziwiły się niewymownie widokiem Upplandii, która roztaczała przed nimi swe liczne budowle. Wewnątrz prowincji ciągnęły się jedna za drugą piękne osady, na wybrzeżu zbudowane były wioski, a na wszystkich wodach krążyły liczne łodzie i statki.

„To wstyd włóczyć się po żebraniu, mając w domu takie dostatki!” — zawołały wszystkie prowincje.

„Zaprosiłam was, żeby wam pokazać wasze dary, gdyż wam to zawdzięczam, że mi się teraz tak dobrze powodzi — rzekła Upplandia. — Powróciwszy do domu — ciągnęła dalej — skierowałam najpierw rzekę Dalälf w moją stronę, i to w ten sposób, że musiała utworzyć dwa wspaniałe wodospady: jeden przy Söderfors, drugi przy Älvkarleby. Na południe od Dalälflu, przy Dannemora, umieściłam górę, którą dostałam od Värmlandu, i wówczas odkryłam, że Värmland odstąpił mi ją nieopatrznie, gdyż w górze znalazły się pokłady najlepszej rudy żelaznej. Wokoło zasadziłam las — podarek Ostrogocji. Połączyłam więc w jednym miejscu obok siebie rudę, lasy i siłę wodną. Łatwo zrozumieć, że powstaną tu teraz bogate kopalnie.

Urządziwszy wszystko tak dobrze na południu, rozrzuciłam na północy wzgórza västmanlandzkie. Ale tak rozciągałam i wydłużałam, aż dosięgnęły Mälarnu i utworzyły tam przylądki i pagórki, które pokryła wkrótce zieleń, zamieniając je w piękne ogrody. Zatoki zaś sörmlandzkie rozszerzyłam, o ile mogłam, aż sięgnęły w głąb lądu, przez co umożliwiona została komunikacja wodna i kraina moja nawiązała stosunki ze światem.

Kiedy na południu i na północy wszystko uporządkowałam, zwróciłam się do wybrzeża wschodniego, zebrałam wszystkie nagie skały i stosy kamieni, piaszczyste wydmy i puste pola, które dostałam od was, i rzuciłam to wszystko do morza. Tak powstały moje wyspy i kępy ułatwiające żeglugę i rybołówstwo, które uważam za najcenniejszy mój majątek.

Teraz nie pozostało mi już nic z waszych darów prócz owej murawy ze Skanii. Położyłam ją pośrodku krainy i z niej to powstała urodzajna nizina Vaksala.

Leniwą rzekę znów, którą mi dała Västgotlandia, przeprowadziłam przez łąkę i oto stanowi ona doskonałe połączenie z Mälarnem”.

Teraz inne prowincje pojęły, jak to wszystko powstało, i mimo że je to nieco gniewało, musiały przyznać, iż Upplandia spisała się dzielnie.

„Małymi środkami uczyniłaś dużo. Tak, jesteś istotnie najmądrzejsza i najdzielniejsza z nas wszystkich” — rzekły do niej.

„Dziękuję wam za to uznanie — rzekła Upplandia. — Skoro jednak tak powiadacie, to znaczy, że jestem prowincją, której należy się król i stolica”.

I znów zasepiły się nieco inne prowincje, ale słowo obowiązuje i musiały go dotrzymać.

W ten sposób Upplandia posiadała stolicę i króla i stała się pierwszą prowincją Szwecji, A było to słuszne i sprawiedliwe, gdyż mądrość i dzielność to dwie zalety, które i dziś jeszcze przemieniają żebraków w książęta.

[3](#) Margiel —gatunek skały

W UPSALI



STUDENT

Czwartek, 5 maja

W tym czasie, kiedy Nils Holgerson wędrował z dzikimi gęśmi, w Upsali mieszkał pewien bardzo dzielny, młody student. Mieszkał na poddaszu i koledzy jego mawiali, że żyje z powietrza. Nauce oddawał się z zamiłowaniem i z ochotą, przyswajał ją sobie prędzej niż jego towarzysze. Mimo to nie był on mołem książkowym i kiedy się zjawiał w jakimś towarzystwie, nie psuł zabawy, owszem, używał wraz z kolegami swobody studenckiej tak, jak to przystoi prawdziwemu studentowi. Nie miał ani jednej wady, jeśli nie będziemy uważali za wadę tego, że był nieco zepsuty swym powodzeniem. Ale to się przytrafia najlepszym; nie łatwo jest być doskonałym, szczególnie w młodości.

Pewnego poranka, przebudziwszy się, student zaczął rozmyślać nad tym, jak to mu się dotychczas zawsze wiodło.

— Wszyscy mnie lubią, nauczyciele i koledzy — mówił do siebie. — A jak dobrze idzie mi nauka! Dzisiaj zdam ostatnie rygory — zumi i potem nie pozostaje mi już nic do zrobienia. Niech no tylko skończę na czas, a dostanę z pewnością dobrą posadę z przyzwoitą pensją. Tak, mam istotnie zadziwiające szczęście, ale trzeba przyznać, że dokładałem też wszelkich starań, więc musiało mi się udać.

Studenci w Upsali nie siedzą w klasach i nie uczą się razem, jak uczniowie w szkołach, lecz każdy pracuje sam. Kiedy student skończy pracę nad pewnym przedmiotem, idzie do profesora i prosi, żeby go wyegzaminował z tego przedmiotu. Taki egzamin nazywa się „ry — gorozum” i nasz student miał właśnie zdawać go z ostatniego i najtrudniejszego przedmiotu swych studiów.

Zaledwie się ubrał i zjadł śniadanie, siadł zaraz do biurka, aby rzucić jeszcze raz okiem do książki.

— Zdaje mi się, że to zbyteczne, jestem bowiem bardzo dobrze przygotowany — powiedział do

siebie. — Warto jednak kuć do ostatniej chwili, żeby potem nie mieć sobie nic do wyrzucenia.

Praca jego nie trwała jednak długo, gdyż po chwili zastukano do drzwi i wszedł inny student z grubym tomem pod pachą. Student ten był zupełnie niepodobny do swego kolegi siedzącego przy biurku. Błady i nieśmiały, wyglądał ubogo i nędznie. Był to jeden z tych, co się rozumieją jedynie i wyłącznie na książkach, poza tym na niczym innym. Mówiono o nim, że jest bardzo wykształcony, ale był tak nieśmiały i niepewny, że jeszcze ani razu nie miał odwagi stanąć do rygorozum. Wszyscy koledzy uważali, że będzie z niego „wieczny student”, taki, co lata całe siedzi w Upsali, wciąż studiuje i studiuje, który jednak nigdy niczym nie zostanie.

Teraz ów „wieczny student” przyszedł do naszego studenta prosić go o przeczytanie książki, którą sam napisał. Nie była jeszcze wydrukowana, lecz gotowa do druku w rękopisie.

— Wyświadczysz mi wielką przysługę, jeśli tę rzecz przejrysz i powiesz mi, czy posiada jakąkolwiek wartość — rzekł nieśmiały student.

Student, któremu zawsze dopisywało powodzenie, myślał w duchu:

„Oto nowy dowód — wszyscy ludzie lgną do mnie, wszyscy mnie lubią. Teraz i ten dziwak przychodzi do mnie. Nie może się zdobyć na to, żeby komukolwiek wspomnieć o swym dziele, a mnie prosi o wydanie sądu o nim”.

Przyrzekł, że przeczyta jak najprędzej, i kolega złożył swój rękopis na biurku.

— Pilnuj tylko dobrze rękopisu, pracowałem nad nim pięć lat i gdyby zginął, nie mógłbym go drugi raz napisać.

— Dopóki będzie u mnie, nic mu się nie stanie — rzekł student.

Kolega pożegnał go i wyszedł.

Student przysunął do siebie wielką plikę papierów.

— Co też on tutaj nabazgrał! — zawołał. — Ach, historia miasta Upsali! To brzmi nieźle!

Złożyło się zaś tak, że Upsala była właśnie dla studenta najulu — bieńszym miastem w całej Szwecji, ogarnęła więc go wielka ciekawość, co też „wieczny student” mógł o tym mieście napisać.

— Właściwie mogę tę książkę równie dobrze od razu przeczytać — szepnął. — Niewiele mi to i tak pomoże, jeśli będę kuł do ostatniej chwili.

Zaczął więc czytać i nie oderwał oczu od książki, póki nie przeczytał ostatniej kartki.

— Patrzcie! — zawołał. — Przecież to dzieło wybitnie naukowe! Niech się tylko ukaże w druku, a nasz „niedokończony” student stanie się od razu skończonym człowiekiem. Jakże się cieszę, że będę mógł powiedzieć mu, jak bardzo mi się jego praca podoba.

Zaczął zbierać starannie rozrzucone kartki, z których rękopis się składał, gdy usłyszał, że zegar wybija godzinę.

— Do licha, muszę natychmiast śpieszyć do profesora! — zawołał i wybiegł z pokoju, aby wyjąć czarne ubranie wiszące w komórcie na strychu. Ale, jak to się często zdarza w pośpiechu, zamek i klucz opierały się jakoś i trwało dość długo, zanim student wrócił do pokoju.

Zaledwie przestąpił próg, wydał głośny okrzyk. W pośpiechu z jakim wybiegł z pokoju, zostawił drzwi za sobą otwarte, a ponieważ okno, przy którym stało biurko, było także otwarte, powstał gwałtowny przeciąg i luźne kartki rękopisu wyleciały przez okno.

Jednym susem dopadł student do biurka i przytrzymał resztę kartek. Ale niewiele dało się uratować: najwyżej dziesięć do dwunastu kartek leżało jeszcze na stole, inne fruwały, unoszone wiatrem, nad dachami i podwórzami.

Student wychylił się przez okno i śledził kartki wzrokiem. Na dachu przed oknem poddasza siedział czarny ptak spoglądając na niego z szyderczą wyższością.

„Czy to nie kruk? — myślał student. — Mówią przecież, że kruki oznaczają nieszczęście”.

Niektóre z kartek leżały jeszcze na dachu i student mógłby może ocalić przynajmniej część pracy, gdyby go nie czekało rygorozum. Zdawało mu się bowiem, że przede wszystkim musi dbać o własne sprawy.

„Idzie przecież o moją przyszłość” — myślał.

Nałożył czarne ubranie i pobiegł do profesora. Po drodze nie mógł opędzić się myśli o straconym rękopisie.

— A to przykra historia — mówił do siebie. — Jaka szkoda, że się musiałem tak śpieszyć!

Profesor rozpoczął egzamin, ale student nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o zniszczonym rękopisie.

„Co to ten biedak mówił? — myślał. — Że pięć lat pracował nad tą książką i że nie byłby w stanie napisać jej po raz drugi? Ach, skądże wezmę odwagę, żeby mu powiedzieć, iż praca jego przepadła?”

Student był tak podniecony i do tego stopnia czuł się nieszczęśliwy z powodu fatalnego wypadku z rękopisem, że nie mógł zebrać myśli. Wszystkie wiadomości ulotniły się. Nie słyszał, o co go profesor pytał, i nie wiedział, jakie daje odpowiedzi. Profesor był oburzony takim nieuctwem i dał mu jak najgorsze świadectwo. Kiedy student znalazł się na ulicy, ogarnęła go niemal rozpacz.

„Teraz przepadnie moja dobra posada! — myślał. — A któż winien temu? Ten stary mól książkowy! Dłaczegóż właśnie dzisiaj narzucił mi się ze swoim dziełem? Ale tak się dzieje, kiedy się jest usługowym dla wszystkich”.

W tej chwili student ujrzał, że zbliża się do niego ten, o którym właśnie myślał. Rozumie się, nie chciał mu powiedzieć, że jego praca zginęła, póki nie uczynił próby odzyskania jej, więc usiłował go wyminąć. Tamten jednak szedł bardzo zasmucony i przygnębiony, rozmyślając tylko wciąż o tym, co kolega powie o jego książce. Toteż kiedy student przeszedł obok niego, niechętnie tylko skinąwszy głową, ogarnął go ogromny lęk. Schwycił go za rękaw i zapytał, czy zajrzał już do jego rękopisu.

— Wracam właśnie z mego egzaminu — odrzekł student i chciał oddalić się szybko, ale tamten myślał, że student go unika, aby mu nie powiedzieć, jak bardzo mu się jego praca nie podobała. Ach, czuł, że mu serce zamiera! Ta praca, której poświęcił pięć lat swego życia, była więc zupełnie bez wartości? Głęboko zasmucony rzekł do kolegi:

— Słuchaj, co ci powiem. Przeczytaj moją książkę jak najprędzej, a potem powiedz mi, co o niej myślisz. Jeśli jednak osądzisz, że jest bez wartości, spal ją, nie chcę jej już więcej oglądać.

Z tymi słowy oddalił się pośpiesznie. Student patrzył za nim i chciał go przywołać, opamiętał się jednak i skierował swe kroki ku domowi.

Znalazłszy się w domu, przywdział czym prędzej swe codzienne ubranie i udał się natychmiast na poszukiwanie zaginionych kartek. Szukał na ulicach, na placach i w ogrodach. Potem szukał w podwórzach, poszedł nawet daleko za miasto, ale nigdzie nie znalazł ani jednej kartki.

Spędziwszy na poszukiwaniach kilka godzin bez przerwy, poczuł tak dotkliwy głód, że musiał się czymś posilić. W jadłodajni, w której zwykle jadał, spotkał się znów z „wiecznym studentem”, który natychmiast przystąpił do niego, pytając o swe dzieło.

— Przyjdę dziś wieczorem do ciebie i pomówimy o tym — rzekł student wymijająco. Nie chciał się przyznać, że zagubił rękopis, dopóki nie miał pewności, że go już nie będzie mógł odzyskać.

Tamten zbladł.

— Nie zapomnij, że masz go zniszczyć, jeśli się okaże bez wartości — rzekł odchodząc, gdyż teraz był całkowicie przekonany, że książka jego nie podobała się.

Student pobiegł z powrotem do miasta i szukał bezustannie, póki nie nastąpiły zupełne ciemności, ale nigdzie nie było ani śladu zagubionych kartek. Powracając do domu spotkał kilku kolegów.

— Gdzieś się podziewał? Nie pokazałaś się przecież wcale na zabawie majowej? — pytali.

— Ach, czyż to dziś święto majowe?! — zawołał student. — Zapomniałem o tym zupełnie.

W czasie gdy rozmawiał z kolegami, przeszła obok nich młoda dziewczyna, którą student bardzo kochał. Nie spojrzała nawet na niego, rozmawiając uprzejmie ze swym towarzyszem. Nagle studentowi przypomniało się coś: prosił przecież ową dziewczynę, aby koniecznie była na zabawie majowej, gdzie się mieli spotkać, a tymczasem sam nie zjawił się tam wcale. Co też sobie o nim pomyślała?

Ukłuło go coś w serce i chciał za nią pobiec, ale wtem odezwał się jeden z jego towarzyszy:

— Ze Steinbergiem, naszym pocziwym mołem książkowym, jest źle. Zachorował dzisiaj po obiedzie.

— Chyba nic groźnego? — zapytał student z ożywieniem.

— Coś sercowego. Miał ciężki atak, który się może powtórzyć. Lekarzowi się zdaje, że to skutek jakiejś poważnej troski i że powrót do zdrowia zależy od uwolnienia go od niej.

Wkrótce po tej rozmowie student zjawił się u chorego. Ten leżał na łóżku, blady i wyczerpany — po ciężkim ataku nie wrócił jeszcze do normalnego stanu.

— Przychodzę porozmawiać z tobą o twoim dziele — zaczął student. — Jest świetne, rzadko zdarzyło mi się czytać coś podobnie pięknego.

„Wieczny student” podniósł się na łóżku i patrzył na tamtego wielkimi oczyma.

— Dlaczegoż więc zachowywałeś się tak dziwnie dziś po południu? — zapytał.

— Byłem w złym humorze, gdyż przepadłem na egzaminie. Nie myślałem zresztą, że będziesz przykładą taką wagę do mego sądu — rzekł student. — Lecz książka twoja podobała mi się nadzwyczajnie.

Chory patrzył na niego badawczo i był coraz bardziej przekonany, że tamten chce coś przed nim ukryć,

— Mówisz to tylko dlatego, że jestem chory i że chcesz mnie pocieszyć.

— Naprawdę nie. Zapewniam cię, że twoja praca jest doskonała.

— Więc nie zniszczyłeś jej, tak jak ci poleciłem? Przynieś mi ją zatem. Daj mi dowód, żeś jej nie zniszczył, a wtedy ci uwierzę — rzekł chory i padł wyczerpany na poduszki.

Student przestraszył się bardzo, obawiał się bowiem, że biedak może dostać nowego ataku.

Była to straszna chwila dla studenta. Ujął dłonie chorego i, trzymając je w swoich rękach, opowiedział mu, że wiatr uniósł kartki rękopisu i że on sam jest nieszczęśliwy z powodu wyrządzenia mu takiej krzywdy.

Kiedy skończył, chory pogłaskał tkliwie jego ręce.

— Dobry jesteś dla mnie, bardzo dobry — powiedział. — Ale nie trudź się opowiadaniem takich historii, aby mnie oszczędzić. Wiem, że usłuchałeś mnie i zniszczyłeś rękopis, gdyż uznałeś go za rzecz bez wartości, a teraz nie chcesz się przyznać, myślisz bowiem, że zbyt przykra byłaby dla mnie ta prawda.

Student zapewniał go najuroczyściej o prawdzie swych słów, ale chory uparcie obstawał przy swoim i nie chciał mu wierzyć,

— Jeśli mi oddasz rękopis, uwierzę ci — rzekł.

Chory coraz bardziej tracił siły. Cierpienia jego wzmagaly się i student uznał w końcu, że powinien odejść, obawiał się bowiem, że obecnością swoją pogarsza tylko sprawę.

W domu poczuł takie zmęczenie i rozpacz, że nie mógł się utrzymać na nogach. Przyrządził sobie filiżankę herbaty i położył się do łóżka. Okrywając się kołdrą, mimo woli przypominał sobie, jak szczęśliwym czuł się dziś z rana! Teraz wszystkie jego piękne nadzieje co do przyszłości rozwiały się! Ale to dałoby się jeszcze znieść.

— Najgorsze, iż przez całe życie towarzyszyć mi będzie świadomość, że stałem się sprawcą cudzego nieszczęścia! — mówił do siebie.

Był przekonany, że przez całą noc nie zmruży oka. Ale dziwnym przypadkiem zasnął zaraz, zaledwie

przyłożył głowę do poduszki. Nie zdążył nawet zgasić lampy stojącej na stoliku obok łóżka.

ŚWIĘTO MAJOWE

W tej samej chwili, kiedy student zasypiał, na dachu przed oknem poddasza stał maleńki człowieczek w żółtych spodniach skórzanych, zielonej kamizelce i w czapce na głowie. Człowieczek ten myślał sobie, że gdyby był na miejscu tego młodzieńca, śpiącego w łóżku, czułby się zupełnie szczęśliwy.

To zaś, że Nils Holgerson, który jeszcze przed kilku godzinami leżał w gęstwinie mleczów obok Ekolsundviken, znalazł się teraz w Upsali, było dziełem kruka Bataki, który namówił chłopca na tę wyprawę.

Chłopiec sam nie wpadłby na ten pomysł. Leżał sobie wśród kwiecica i patrzył w niebo, kiedy nagle ujrzał kruka krążącego między płynącymi po niebie obłokami. Chłopiec najchętniej byłby się schował przed krukiem, ale Bataki już go spostrzegł, za chwilę ukazał się wśród mleczów i tak zaczął rozmawiać z Nilssem, jak gdyby był zawsze najlepszym jego przyjacielem.

Chociaż kruk wyglądał bardzo ponuro i uroczyście, chłopiec zauważył, że diabeł mu z oczu patrzy. Miał nawet uczucie, że kruk przyszedł tylko w tym celu, aby zadrwić z niego. Postanowił więc sobie nie zwracać uwagi na to, co mu kruk powie.

Bataki oświadczył, iż nie zapomniał o obowiązku wynagrodzenia go — nie wskazał mu przecież, gdzie się znajduje część synowska, i dlatego chce mu teraz powierzyć inną tajemnicę. Dowiedział się mianowicie, jakim sposobem osoba zaczarowana tak jak Nils może stać się znów człowiekiem.

Kruk był przekonany, że gdy użyje takiej przynęty, chłopiec natychmiast chwyci się na nią. Malec odpowiedział jednak niechętnym tonem, że wie już o tym, iż może się stać znowu człowiekiem, jeśli mu się uda przeprowadzić w dobrym stanie białego gąsiora przez całą drogę do Laponii, a stamtąd z powrotem do Skanii.

— Tylko że nie jest to wcale takie łatwe przeprowadzić bez szkody białego gąsiora przez cały kraj — odrzekł Bataki. — Byłoby więc nieźle, gdybyś znał jeszcze inny sposób, na wypadek kiedy tamten zawiedzie. Jeżeli jednak nie zależy ci na tym, będę milczał.

Chłopiec odrzekł, że nie ma nic przeciwko temu, aby mu Bataki powierzył tajemnicę.

— I ja tego chcę — rzekł kruk — ale we właściwej chwili. Siądź na moim grzbiecie i udajmy się na wycieczkę. Zobaczmy, może wtedy nadarzy nam się dobra sposobność.

Rozbudziło to znów nieufność chłopca, który nie wiedział dobrze, co myśleć o kruku.

— Nie masz widać odwagi polecieć ze mną — rzekł kruk.

Ale chłopiec nie mógł tego znieść, aby ktoś przypuszczał, że on się czegoś boi, i po chwili siedział już na grzbiecie kruka.

Bataki zaniósł go do Upsali i postawił na jednym z dachów. Po czym kazał mu się dobrze rozejrzeć i powiedzieć, kto w tym mieście mieszka i panuje.

Chłopiec rozglądał się nad miastem. Było ono dość duże i prześlicznie położone wśród rozległej, urodzajnej równiny. Widział wiele wytwornych, okazałych domów oraz zamek o grubych murach, z dwiema masywnymi wieżami, wznoszący się na wzgórzu.

— Może tu mieszka król ze swym dworem? — spytał chłopiec.

— Nie bardzo się omyliłeś — odparł kruk. — Miasto było w dawnych czasach królewską stolicą, lecz teraz minęła jego chwała.

Chłopiec rozejrzał się ponownie. Uwagę jego zwróciła piękna katedra, której trzy smukłe wieże, wspaniałe portyki i bogato ozdobione mury połyskiwały w blasku słońca.

— Może tu mieszka biskup ze swą kapitułą ⁴? — spytał.

— Nie bardzo się omyliłeś — odrzekł kruk. — Istotnie mieszkali tu niegdyś arcybiskupi, którzy byli równie potężni, jak królowie, i jeszcze teraz książę kościoła ma tutaj swoją stolicę, ale nie on panuje w tym mieście.

— Tedy nie wiem już, kogo wymienić — rzekł chłopiec.

— W tym mieście panuje nauka — przemówił kruk uroczyście.

— Wielkie budynki, które widzisz tu wszędzie, wzniesione są dla niej i dla jej wyznawców.

Chłopcu trudno było to zrozumieć, lecz kruk rzekł:

— Chodź tylko ze mną, a przekonasz się sam!

Poleciał z chłopcem nad wielkie domy, a że w niektórych okna stały otworem, chłopiec mógł zajrzeć do wnętrza. I przekonał się, że kruk mówił prawdę.

Bataki pokazał mu wielką bibliotekę, napełnioną książkami od piwnic do strychu. Zaprowadził go do wspaniałego gmachu uniwersyteckiego i pokazał mu wspaniałe audytoria. Następnie pofrunął z nim nad starymi budynkami, zwanymi Gustavianum; tam chłopiec mógł ujrzeć przez okno wypchane zwierzęta. Przelecieli nad wielką oranżerią z wielu osobliwymi roślinami i oglądali obserwatorium, z którego wymierzony był w niebo długi teleskop. Przelatywali także przed wielu innymi oknami i chłopiec mógł zajrzeć do pokoi, w których od góry do dołu ściany były zastawione książkami i gdzie starzy panowie w okularach na nosie pilnie czytali lub pisali. I przelatywali obok okienek poddaszy, za którymi widać było studentów siedzących lub leżących na kanapach z grubymi rękopisami przed sobą.

W końcu kruk siadł na jednym z dachów.

— Widzisz teraz, iż mówiłem prawdę, kiedy cię zapewniałem, że w mieście tym panuje nauka — powiedział.

I chłopiec musiał przyznać, że tak jest istotnie.

— Gdybym nie był krukiem — ciągnął dalej Bataki — tylko człowiekiem jak ty, tutaj bym zamieszkał. Siedziałbym po całych dniach w pokoju wypełnionym książkami i czytałbym wszystko, co w nich jest napisane. Czy nie miałbyś także ochoty na to?

— Nie, ja wolałbym raczej wędrować z dzikimi gęśmi — odrzekł chłopiec.

— Jak to, nie chciałbyś być człowiekiem, który umie leczyć choroby? — pytał dalej kruk.

— Owszem, to bym chciał umieć...

— Nie chciałbyś być człowiekiem, który wie wszystko, co się niegdyś działo na świecie, który umie mówić wszystkimi językami i potrafi nawet określić, jakimi drogami krążą po niebie słońce, księżyc i gwiazdy?

— O, tak, to by mi się podobało.

— Czy nie chciałbyś umieć odróżniać dobre od złego, sprawiedliwość od niesprawiedliwości?

— Tak, to jest ważne i potrzebne w życiu — odrzekł chłopiec.

— Myślałem o tym już nieraz.

— A czybyś nie chciał zostać proboszczem i nauczać w rodzinnym kościele na wsi?

— Gdybym to potrafił, jakżeby ojciec i matka byli uszczęśliwieni! — westchnął chłopiec.

Tym sposobem kruk chciał pokazać chłopcu, jacy szczęśliwi są młodzieńcy studiujący w Upsali. Mimo to Paluszek nie miał ochoty zostać jednym z nich,

Właśnie owego wieczoru obchodzono wielkie święto majowe, które Upsala świętuje każdego roku na cześć wiosny. Właściwie uroczystość przypadała pierwszego maja, ale tego dnia deszcz padał strumieniami, przeto odłożono ją na inny dzień.

Ujrzał więc Nils Holgerson studentów, dążących do ogrodu botanicznego, gdzie odbywał się obchód. Szli długim szeregiem, w białych czapkach studenckich na głowach i cała okolica wyglądała jak czarny

potok usiany białymi nenufarami. Na czele pochodu niesiono białe chorągwie jedwabne, złotem haftowane, a przez całą drogę uczestnicy śpiewali pieśni wiosenne. Ale Nilsowi wydawało się, że to wcale nie studenci śpiewają na cześć wiosny, lecz że wiosna, ukryta gdzieś w pobliżu, śpiewa dla studentów. Nils Holgerson nie wyobrażał sobie, że śpiew ludzki może być tak piękny. Dźwięczał jak szum wiatru w wierzchołkach sosen, brzmiał jak metaliczne dźwięki dzwonów i jak pieśń dzikich łabędzi na wybrzeżu morskim.

Kiedy studenci doszli do ogrodu, gdzie trawniki jaśniały w szacie pierwszej, delikatnej, jasnozielonej trawy, a pąki wiośniane drzew i krzewów nabrzmiewały, gotowe wytrysnąć zielenią, pochód zatrzymał się przed trybuną: stary pan wszedł na nią i rozpoczął przemówienie.

Trybuna urządzona była na schodach wielkiej oranżerii, a kruk posadził chłopca na dachu budynku. Chłopiec siedział cicho i mógł stamtąd wszystko dokładnie widzieć i słyszeć. Stary pan mówił z trybuny, że najlepszą rzeczą w życiu jest młodość i możliwość studiowania w Upsali. Mówił o przyjemnej, cichej pracy naukowej i o pełni słonecznego, radosnego życia, której nigdzie nie można odczuć tak jak w wielkiej gromadzie kolegów. Raz po raz kładł nacisk na szczęście, które daje możliwość życia w gronie wesołych, szlachetnych towarzyszy — praca staje się przez to lekką, cierpienie przemijającym, nadzieja radosną.

Chłopiec przyglądał się studentom otaczającym półkolem trybunę i nagle uświadomił sobie, jak nadzwyczaj przyjemnie być musi należeć do ich grona. Jaki zaszczyt i jakie szczęście być członkiem takiej gromady! O ile większe znaczenie ma wówczas każdy pojedynczy człowiek.

Po przemówieniu zaintonowano pieśń, a po śpiewie wstąpił na trybunę inny mówca. Chłopiec nie przypuszczał nigdy, żeby mowa ludzka mogła tak wstrząsać, podnosić i radować.

Dotychczas Nils Holgerson przyglądał się przeważnie studentom, teraz spostrzegł, że nie oni jedni znajdowali się w ogrodzie. Były tam też młode dziewczęta w jasnych strojach i wiele innych ludzi. Ale wszyscy oni, tak jak chłopiec, przyszli tu zapewne tylko dla studentów.

Co pewien czas następowała przerwa między mowami a śpiewem i wówczas gromadki rozprasały się po całym ogrodzie. Ale po chwili nowy mówca stawał na estradzie i słuchacze zbierali się pośpiesznie wokoło niego. I tak ciągnęła się ta uroczystość aż do zmroku. Kiedy wszystko się skończyło, chłopiec odetchnął głęboko i jakby zbudzony ze snu przetarł oczy — przebywał bowiem w krainie, w której dotychczas noga jego nie stała. Wszyscy ci młodzieńcy, tak pełni życia i z taką wiarą spoglądający w przyszłość, wesołością swoją i radością oddziaływali zaraźliwie na innych. I oto chłopiec był razem z nimi w krainie wesela. Kiedy zamarły dźwięki ostatniej pieśni, ogarnęło go poczucie tego, jak smutne było jego własne życie, i nie chciało mu się powracać do swych biednych towarzyszy podróży.

Przez cały czas kruk siedział obok chłopca. Teraz podrapał się nogą za uchem.

— I cóż, Paluszk, czy mam ci teraz powiedzieć, w jaki sposób mógłbyś powrócić do postaci ludzkiej? — zapytał. — A więc musisz czekać, póki nie spotkasz kogoś, kto ci powie, że chciałby być na twoim miejscu i wędrować z dzikimi gęśmi. Wtedy musisz skorzystać z chwili i powiedzieć mu...

I Bataki szepnął chłopcu kilka słów, które miały taką moc i tak były niebezpieczne, że nie wolno było wypowiadać ich głośno, o ile nie zachodziła tego potrzeba,

— Tak, to wystarczy, żeby stać się znowu człowiekiem — rzekł Bataki na zakończenie.

— Chętnie w to uwierzę — odrzekł chłopiec — gdyż z pewnością nie znajdę nigdy nikogo, kto by pragnął być na moim miejscu.

— O, to wcale nie jest tak niemożliwe! — rzekł kruk. Po czym pofrunął z chłopcem z powrotem do miasta i posadził go na dachu przed owym oknem na poddaszu, gdzie, jakeśmy to powyżej słyszeli, chłopiec siedział już od pewnego czasu i rozmyślał nad tym, jaki to szczęśliwy musi być student, który

tam w izdebce leży na łóżku i śpi.

PRÓBA

Student przebudziwszy się ujrzał, że lampa wciąż jeszcze pali się na nocnym stoliku.

„Ach, zapomniałem zgasić lampę” — pomyślał i wsparł się na łokciu, żeby ją przykręcić. Ale zanim to zdołał uczynić, spostrzegł, że na biurku coś się rusza.

Pokoik był bardzo mały. Między łóżkiem a biurkiem była tak niewielka odległość, że student mógł widzieć dokładnie na biurku książki i papiery, kałamarz i fotografie. I o dziwo! — zupełnie tak samo wyraźnie jak wszystkie te przedmioty widział maleńkiego człowieczka, schylonego nad maselniczką i smarującego masłem chleb.

Student w ciągu dnia tyle przeżył, że był już obojętny na wszystko, co mu się jeszcze mogło wydarzyć. Nie przestraszył się też i na — ~wet nie zdziwił, lecz uznał to za rzecz naturalną — malec przyszedł tu, aby znaleźć coś do zjedzenia.

Nie gasząc lampy student położył się z powrotem i przyglądał się spod wpółzamkniętych powiek malcowi, który siedział ogromnie zadowolony na przycisku i raczył się resztkami kolacji studenta. Przedłużał swoją ucztę, o ile to tylko było możliwe, przewracał oczami z zadowolenia i młaskał językiem. Sucha skórka chleba i okruchy sera wydawały się widocznie malcowi najprzedniejszymi smakołykami.

Student nie chciał mu przeszkadzać w tej uczcie, dopiero kiedy uważał, że malec nasycił się dostatecznie, przemówił:

— Hola, a tyś co za jeden, malcze?

Chłopiec zerwał się i pobiegł do okna, lecz kiedy zauważył, że student nie rusza się i nie goni go, zatrzymał się.

— Jestem Nils Holgerson z Vestvemmenhög — zaczął. — I jestem człowiekiem tak samo jak ty, tylko zostałem zczarowany przez krasnoludka i odtąd wędruję z dzikimi gęśmi.

— Dziwna historia — odezwał się student. I zaczął chłopca wypytywać, aż dowiedział się wszystkiego, co się przytrafiło Nilsowi od chwili opuszczenia domu rodzicielskiego.

— Jesteś prawdziwie szczęśliwy — westchnął student. — Ach, gdyby tak być na twoim miejscu i pozostawić wszystkie troski poza sobą!

Bataki stał za oknem i podsłuchiwał. Kiedy student westchnął, kruk stuknął dziobem w szybę i chłopiec zrozumiał, że przypomina mu, aby nie opuścił sposobności, jeśli student wypowie słowa, które należy wymówić.

— Ach, nie zechcesz mi chyba wmówić, że chciałbyś się ze mną zamienić — odrzekł chłopiec. — Kto jest studentem, nie chciałby z pewnością być niczym innym.

— Myślałem to samo dziś rano po obudzeniu się — rzekł student, — Lecz gdybyś wiedział, co mi się dzisiaj zdarzyło! Nie ma już dla mnie szczęścia. Najlepiej jeszcze byłoby, gdybym mógł odlecieć z dzikimi gęśmi od tego wszystkiego.

Bataki znów zastukał w okno. Chłopiec poczuł zawrót głowy, serce zaczęło mu bić gwałtownie, gdyż można było przypuszczać, że student za chwilę wymówi owe słowa.

— Wiesz już, co się ze mną stało — rzekł chłopiec do studenta.

— Opowiedz mi teraz ty swoją historię.

Student był niezmiernie rad, że ma się przed kim zwierzyć, i opowiedział chłopcu dokładnie wszystko, co mu się przydarzyło.

— To w końcu dałoby się naprawić — rzekł mówiąc o nie zdanym egzaminie — ale pogrążyłem drugiego człowieka w nieszczęście i tego nie mogę przeboleć. Byłoby w istocie lepiej dla mnie, gdybym był na twoim miejscu i mógł wywędrować z dzikimi gęśmi.

Teraz Bataki zastukał w okno jeszcze głośniejsze, lecz chłopiec siedział jakiś czas w milczeniu i patrzył przed siebie.

— Poczekaj chwilę, wróć tutaj — rzekł cichym głosem do studenta, po czym posunął się małymi, niepewnymi krokami po biurku ku oknu. A kiedy się wydostał na dach, weszło właśnie słońce i przed jego oczyma roztoczył się obraz Upsali zalanej czerwonym światłem wschodzącej jutrzni. Wszystkie wieże i dachy świeciły się i błyszczały i chłopcu mimowolnie przyszło powtórnie na myśl, że jest to istotnie miasto radości.

— Cóż ty sobie myślał?! — zawołał kruk. — Teraz straciłeś sposobność odzyskania z powrotem postaci ludzkiej!

— Nie mam chęci zamienić się ze studentem — rzekł chłopiec.

— Miałbym bowiem stąd tylko przykrości z powodu zaginionych papierów.

— O to się nie troszcz — rzekł Bataki. — Mogę je znowu pozbierać.

— Ze mógłbyś, wierzę, lecz nie jestem pewny, czy tak uczynisz. Musiałbym się najpierw upewnić — odrzekł chłopiec.

Nie mówiąc ani słowa Bataki rozpiął skrzydła i odleciał, Ale już po chwili powrócił z kilkoma kartkami papieru w dziobie. I latał tak przez całą godzinę tam i z powrotem, pracowity jak jaskółka budująca swe gniazdo, i znosił chłopcu jedną kartkę po drugiej.

— Teraz masz już chyba wszystko — rzekł w końcu, stając zadyszany na gzymsie okna.

— Dziękuję ci bardzo, Bataki — rzekł chłopiec. — Pójdę do studenta i rozmówię się z nim.

Po chwili kruk rzucił spojrzenie do pokoju i zobaczył, że student właśnie wygładza i układa jak najstaranniej papiery.

— Jesteś największym głupcem, jakiego mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło! — krzyknął Bataki do chłopca. — Dałeś studentowi papiery? Nie masz więc już po co chodzić do niego. Teraz już z pewnością nie powie, że chciałby się z tobą zamienić.

Chłopiec przyglądał się przez okno studentowi. Jakiż on był uszczęśliwiony! Tańczył z radości w samej koszuli po pokoju.

— Ach, Bataki, tyś mnie przecież chciał tylko wystawić na próbę, wiem o tym dobrze! — zawołał Nils Holgerson. — Myślałeś sobie, że opuszczę gąsiora Marcina w tej uciążliwej podróży i pozwolę mu się samemu biedzić, troszcząc się tylko o siebie. Lecz kiedy mi student opowiadał swoją historię, pojąłem, jak brzydko jest opuszczać przyjaciela w biedzie, i nie chciałem tego uczynić.

Bataki poskrobał się nogą po grzbiecie, ukrywając swoje zmieszanie. Nie wiedział, co powiedzieć, i dlatego też odleciał z chłopcem czym prędzej z powrotem ęło dzikich gęsi.

[4](#) Kapituła — rada przyboczna biskupa.

LEKKOPUSZKA



PŁYWAJĄCE MIASTO

Piątek, 6 maja

Szara gąska zwana Miluchną albo Lekkopuszką było to najmiłsze, najbardziej urocze stworzenie, jakie sobie można wyobrazić. Wszystkie dzikie gęsi lubiły ją bardzo, a biały gąsior oddałby za nią z chęcią życie. Gdy Lekkopuszką prosiła o coś, nawet stara Akka nie mogła jej tego odmówić.

Lekkopuszką, znalazłszy się nad Malarnem, rozpoznała natychmiast okolicę. Zaraz za jeziorem musi się roztaczać morze z wielkimi szkierami, a na jednym z nich znajduje się wysepka, gdzie mieszkają jej rodzice i siostry.

Poprosiła więc Lekkopuszką Akkę, aby zanim odleci dalej na północ, zatrzymały się w jej domu rodzinnym, gdyż pragnęłaby bardzo pokazać swoim, że żyje, i sprawić im tym wielką radość.

Na to Akka oświadczyła Lekkopuszcze, że według niej rodzice i rodzeństwo gąski nie okazali jej wiele serca, opuszczając chorą na wyspie Öland. Lecz Lekkopuszką była innego zdania.

— Cóż mieli uczynić, przekonawszy się, że nie mogą latać — rzekła. — Nie mogli przecież dla mnie pozostać na Öland,

Aby zachęcić dzikie gęsi do udania się z nią na szkiery, Lekkopuszką opowiadała im o skalistej wyspie, gdzie mieszkają jej rodzice. Patrząc na nią z daleka, można by sądzić, że nie ma na niej nic prócz kamieni; tymczasem na miejscu znaleźć można w szczelinach i szparach doskonałe pożywienie. A dogodniejsze miejsca do wylęgu od tych, które znajdują się w szczelinach skał i w wierzbowych zaroślach, trudno byłoby znaleźć. Najlepszym z tego wszystkiego jednak jest stary rybak, mieszkający na kępie. Lekkopuszką słyszała, że był on w młodości swej zapalonym myśliwym, który całymi dniami leżał wśród szkierów i czatował na ptactwo. Ale na stare lata, kiedy mu żona umarła, a dzieci wywędrowały, mieszka sam jeden w swym domku i opiekuje się teraz wszystkimi ptakami na wysepce. Nie poluje już na

nie nigdy i powstrzymuje także od tego innych rybaków. Natomiast obchodzi gniazda ptasie i przynosi pożywienie samiczkom siedzącym na jajach. Toteż nie boi się go żaden ptak. Lekkopuszka bywała często w jego domku i dostawała okruszyny chleba. Dzięki dobroci rybaka na wyspie gromadzi się takie mnóstwo ptaków, że wkrótce zabraknie tam miejsca. Jeśli przybywa się na wiosnę cokolwiek za późno, mogą już wszystkie miejsca do wylęgu być zajęte.

— I dlatego to moi rodzice i rodzeństwo zostawili mnie samą na Öland — zakończyła Lekkopuszka swe opowiadanie.

A potem prosiła i błagała tak długo, aż dopięła celu, jakkolwiek dzikie gęsi były nieco opóźnione i właśnie powinny były lecieć bez zwłoki na północ. Co prawda, odwiedziny na szkiełkach miały opóźnić podróż tylko o jeden dzień.

Pewnego ranka, kiedy dzikie gęsi dostatecznie już się posiliły, zebrały się i poleciały we wschodnim kierunku nad Mälarnem. Chłopiec nie wiedział dokładnie, dokąd gęsi lecą, ale spostrzegł nieba wem, że ruch na wodzie stawał się coraz większy, a brzegi jeziora były tym gęściej zabudowane, im dalej posuwano się na wschód.

Naładowane ciężarami tratwy, łodzie i barki rybackie płynęły w tym samym kierunku, co dzikie gęsi, a dużo pięknych białych parowców spotykało albo mijalo je po drodze. Wzdłuż brzegów przebiegały pociągi i ciągnęły się szosy, a wszystko dążyło do jednego i tego samego celu. Tam na wschodzie musiała być jakaś miejscowość, do której wszyscy zdążali tego poranku.

Na jednej z wysp ujrzeli wielki, biały zamek, a nieco dalej szereg domów wznoszących się na brzegach jeziora. Najprzód domostwa te ukazywały się w dużych odstępach, następnie jednak coraz częściej i wkrótce wzdłuż całego wybrzeża ciągnęły się już jedno obok drugiego. Były one najrozmaitsze: tutaj wznosił się pałac, tam stała prosta chata, z niskim, długim dworkiem sąsiadowała willa o licznych wieżyczkach. Niektóre budynki stały wśród ogrodów owocowych, większość jednak otoczona była dzikimi zaroślami, które okalały brzegi jeziora. Jakkolwiek różne, wszystkie te zabudowania miały coś wspólnego — nie były skromne i pospolite jak zwykłe domy, lecz jak domy dla lalek malowane były jaskrawymi farbami: zieloną i niebieską, białą i czerwoną.

Chłopiec ciekawie przyglądał się tym wesołym domom letniskowym na wybrzeżu. Nagle Lekkopuszką wydała głośny okrzyk.

— Teraz poznaję dokładnie moje strony rodzinne! — zawołała.

— Tam oto znajduje się pływające miasto!

Nils patrzył przed siebie, nie widział jednak nic prócz delikatnej mgły i oparu unoszącego się nad wodą. Potem zaczął rozróżniać wysokie wieże i gdzieś tam domy z długimi rzędami okien. Budowle wynurzały się i znikaly, zależnie od tego, czy mgła wznosiła się, czy opadała. Nigdzie jednak nie było widać skrawka brzegów, wszystko zdawało się spoczywać na wodzie.

Zbliżywszy się do miasta, chłopiec nie widział już radosnych domków na brzegu, natomiast — dymiące zabudowania fabryczne. Za wysokimi parkanami ciągnęły się wielkie stosy węgla i desek, a przy czarnych, brudnych mostach stały ciężkie parowce towarowe. Nad wszystkim jednak unosił się przezroczysty, powiewny obłok mgły, nadając całemu krajobrazowi jakiś wspaniały, tajemniczy i nieledwie piękny wygląd.

Dzikie gęsi, przelatując nad fabrykami i towarowymi statkami zbliżały się coraz bardziej do miasta otulonego mgłą. Nagle wszystkie welony mgieł opadły na wodę, tylko jeden lekki, przezroczysty, najdelikatniejszą różowością i błękitem jaśniejący obłok unosił się jeszcze w górze. Inne opary kłębiły się już w dole: na wodzie i na ziemi. Zastaniały fundamenty i niższe części budynków, gdy tymczasem wyższe piętra, dachy, wieże, ściany szczytowe i poddasza uwydatniały się dokładnie. Niektóre domy wydawały się wskutek tego nad miarę wysokie i nasuwały porównanie z wieżą Babel. Chłopiec

wyobrażał sobie, że domy te muszą być zbudowane na pagórkach i stokach skał, widział je bowiem tylko, gdy się wyłaniały z obłoków mgły. Mgła była lśniąco biała, a domy sterczały wśród niej czarne, gdyż słońce świeciło od wschodu i promienie jego padały na przeciwną stronę.

Gdziekolwiek chłopiec spoglądał, wszędzie widział tylko dachy i wieże wynurzające się z morza mgły. Widoczne więc było, że dzikie gęsi przelatywały nad jakimś dużym miastem. Niekiedy kłębiące się mgły rozpraszały się nieco i wtedy chłopiec widział szumiący, pieniący się potok, ale lądu nigdzie nie dostrzegał. Był to widok przepiękny, mimo to chłopiec czuł się nieswojo, jak bywa wówczas, kiedy widzimy coś, czego nie rozumiemy.

Zaledwie gęsi przeleciały nad tym osobliwym miastem, ukazała się ziemia wolna od mgły. Teraz można było wyraźnie rozpoznać brzegi, wodę i wyspy. Chłopiec odwrócił się, aby rzucić ostatnie spojrzenie na miasto. Wyglądało teraz jeszcze bardziej na miasto z baśni czarodziejskiej. Słońce zabarwiło wszystkie te welony mgieł i unosiły się one nad okolicą, jaśniejąc najpiękniejszym błękitem, czerwienią i złotem. Domy były zupełnie białe, jakby utkane ze światła, okna zaś i wieże świeciły jak ogień. A wszystko zdawało się pływać po wodzie.

Dzikie gęsi poleciały szybko dalej na wschód. Z początku wszystko wyglądało tu tak jak na jeziorze Mälarn. Najpierw gęsi mijały fabryki i warsztaty, potem stopniowo ukazywały się na brzegach piękne letniska. Roilo się od parowców i łodzi. Tylko że teraz przybywały one od wschodu i dążyły ku miastu na zachód.

Dzikie gęsi leciały stale naprzód, a przed nimi zamiast wąskich fiordów Mälarnu i małych wysepek roztaczała się teraz większa powierzchnia wody z rozległymi wyspami. Ląd usunął się i stawał się już prawie niewidzialny. Świat roślinny ubożał: lasy liściaste ukazywały się rzadziej, przeważał las iglasty. Wille letnie znikły, widać było tylko chaty chłopskie i rybackie.

Dzikie gęsi leciały coraz dalej; teraz nie spotykały już wielkich, zabudowanych wysp, lecz niezliczone małe szkiery, rozrzucone po wodzie. Fiordy nie wciskały się już w ląd, miały przed sobą dalekie, bezgraniczne morze.

Dzikie gęsi siadły na skalistej wyspie, a chłopiec zeskoczywszy z grzbietu gąsiora, zwrócił się natychmiast z zapytaniem do Lekkopuszki:

— Co to było za miasto, nad którym przelatywaliśmy?

— Nie wiem, jak się ono u ludzi nazywa — odrzekła Lekkopuszka. — My, szare gęsi, nazywamy je „pływającym miastem”.

SIOSTRY

Lekkopuszką miała dwie siostry: Pięknopiórkę i Złotooczkę. Były to mądre i silne ptaki, lecz nie miały tak miękkiego, błyszczącego upierzenia jak Lekkopuszką ani tak miłego, łagodnego usposobienia. Już wówczas, kiedy były jeszcze małymi, brzydkimi pisklętami, rodzice i krewni, a nawet starzy rybacy dawali im wyraźnie do zrozumienia, że przekładają nad nie Lekkopuszkę, i z tego powodu obie siostry nienawidziły ją.

W chwili kiedy dzikie gęsi spuszczały się nad skalistą wyspę, Pięknopiórka i Złotooczka, siostry Lekkopuszki, pały się na zielonym skrawku i natychmiast spostrzegły przybyszów.

— Patrz, siostrzo Złotooczko, jakie okazałe dzikie gęsi siadły na naszej wyspie! — odezwała się Pięknopiórka. — Nieczęsto zdarzało mi się widzieć ptaki o tak wspaniałej postaci. Patrz, mają białego gąsiora wśród siebie! Czy widziałaś kiedykolwiek tak pięknego ptaka? Można go wziąć niemal za łabędzia.

Złotooczka potwierdziła zachwyt siostry z powodu tak dostojnych gości na wyspie. Nagle jednak urwała i potem zawołała:

— Siostro Pięknopiórko! Czy nie widzisz, kto jest między nimi?

W tejże chwili Pięknopiórka poznała swą siostrę Lekkopuszkę i była tak zdumiona, że stanęła z otwartym dziobem i zasyczała:

— To niemożliwe, to niemożliwe! Jakże się dostała do takiego towarzystwa? Zostawiłyśmy ją przecież na wyspie Öland, gdzie musiała umrzeć z głodu.

— Teraz oskarży nas z pewnością przed rodzicami i powie, żeśmy ją potraçały dotąd, póki nie zwichnęła skrzydła. Zobaczysz, na pewno wypędzą nas za to z wyspy.

— Tak, robi się z tego ładna historia. Teraz, kiedy ta ukochana pieśczotka wróciła, wynikną stąd, rozumie się, znów same przykrości — rzekła Pięknopiórka. — Uważam jednak, że najrozsądniej będzie, jeśli z początku zachowamy się tak, jak gdybyśmy się cieszyły z jej powrotu. Jest przecież bardzo głupia i może wcale nie zmiarkowała, żeśmy ją rozmyślnie potraçały.

Tymczasem dzikie gęsi na wybrzeżu przyglądały swe pióra, nastroszone od szybkiego lotu, i ruszyły długim szeregiem do szczeliny skalnej, zamieszkaney, jak mówiła Lekkopuszka, przez jej rodziców.

Rodzice Lekkopuszki były to zacne stworzenia. Mieszkały na wyspie dawniej niż inne ptaki, pomagały więc wszystkim nowym przybyszom i dawały im dobre rady. I one widziały nadlatujące dzikie gęsi, ale nie poznały Lekkopuszki w ich gromadzie.

— Patrzej, dzikie gęsi siadają na naszej wyspie, to dziwne! — rzekł gąsior. — Wspaniałe stado, widać to zaraz po ich locie, ale trudno będzie znaleźć dla takiej gromady porządne pastwiska.

— Dotychczas wyspa nie jest przepełniona i możemy jeszcze przyjąć gości — zauważyła gęś—matką mającą czułe, dobre serce, zupełnie jak Lekkopuszka.

Kiedy się Akka zbliżyła, rodzice Lekkopuszki wyszli jej naprzeciw i chcieli właśnie powitać gości na wyspie, gdy Lekkopuszka opuściła swe miejsce w końcu szeregu i siadła tuż przed rodzicami.

— Ojczy, matko, oto jestem! Czyż nie poznajecie swojej Lekkopuszki?

Starzy z początku nie chcieli wierzyć własnym oczom, ale później poznali córkę i byli, naturalnie, uszczęśliwieni z jej powrotu.

W czasie gdy dzikie gęsi, gąsior Marcin i Lekkopuszka gęgały jedno przez drugie z zapalem, gdyż każde chciało opowiedzieć, w jaki sposób Lekkopuszka została uratowana, nadbiegły Pięknopiórka i Złotooczka. Już z daleka wołały.

— Dzień dobry, dzień dobry! — i wydawały się tak uradowane powrotem Lekkopuszki, że ta się prawdziwie wzruszyła.

Dzikim gęsiom podobało się bardzo na wyspie i postanowiły, że pozostaną tu do następnego ranka.

Po jakimś czasie obie siostry zapytały Lekkopuszkę, czy chciałaby pójść z nimi, aby zobaczyć, gdzie mają zamiar zbudować swe gniazda. Lekkopuszką była natychmiast gotowa i pochwaliła siostry za to, że wybrały sobie tak dobre, bezpieczne miejsca do wylęgu.

— A gdzież ty osiadziesz, Lekkopuszko? — zapytały siostry.

— Ja? — odrzekła Lekkopuszką. — Nie mam zamiaru zostać na wyspie, gdyż chcę powędrować z dzikimi gęśmi do Laponii.

— Jaka szkoda! Chcesz więc nas opuścić? — rzekły siostry.

— Zostałabym chętnie z wami i z rodzicami — odparła — ale jestem zaręczona z dużym, białym gąsiorem.

— Co słyszę? — zawołała Pięknopiórka. — Wychodzisz za mąż za pięknego gąsiora? To przecież...

Ale w tejże chwili Złotooczka trąciła ją, więc zamilkła.

Obie złe siostry przysuwały się tego przedpołudnia często do siebie i coś szeptały między sobą. Nie

posiadały się z gniewu, że Lekkopuszka ma tak wspaniałego narzeczonego jak biały gąsior. One same miały wprawdzie także narzeczonych, ale były to zwyczajne szare gąsiory i odkąd siostry ujrzały gąsiora Marcina, ich narzeczeni wydawali im się brzydcy i nędzni, tak że nie chciały już na nich patrzeć.

— To może naprawdę o śmierć przyprowadzić — rzekła Złotooczka.

— Gdybyś go przynajmniej ty dostała, siostro Piękniopórko! — zawołała.

— Bodajby przepadł, nie musiałabym sobie przez całe lato przypominać bezustannie: twoja siostra Lekkopuszką zaręczyła się z białym gąsiorem — wyrzekała Piękniopórka.

Mimo to siostry były wciąż bardzo uprzejme dla Lekkopuszki, a po obiedzie Złotooczka zabrała ją z sobą, żeby jej pokazać swego narzeczonego.

— Nie jest on wprawdzie tak piękny jak twój narzeczony — rzekła Złotooczka. — Mogę być jednak zupełnie pewna, że jest rzeczywiście tym, czym się wydaje.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Złotooczko? — zapytała Lekkopuszka.

Złotooczka z początku nie chciała mówić, lecz w końcu wyznała, że one obie z Piękniopórką zastanawiały się nad tym, czy też sprawa białego gąsiora jest naturalna.

— Jeszcze nigdy biały gąsior nie znajdował się w stadzie dzikich gęsi i chciałybyśmy wiedzieć, czy nie jest to ptak zaczarowany.

— Czyście oszalały? — rzekła urażona Lekkopuszka. — Przecież to jest gąsior domowy.

— A jednak ma przy sobie zaczarowaną istotę — wtrąciła Złotooczka — więc i on może być zaczarowany. Na twoim miejscu bałabym się, że może to być jakiś czarny kormoran.

Złotooczka umiała wtrącić tak niby mimochodem odpowiednie słówko i napędziła biednej Lekkopuszce wielkiego strachu.

— Nie mówisz tego chyba poważnie! — zawołała szara gąska. — Chcesz mnie przestraszyć.

— Chcę tylko twego dobra, Lekkopuszko — rzekła Złotooczka — gdyż nie mogłabym sobie wyobrazić nic okropniejszego nad twoje małżeństwo z kormoranem. Ale chcę ci dopomóc. Namów go, aby spożył te oto korzenie, które zebrałam dla siebie. Jeśli jest zaczarowany, to się to pokaże natychmiast. Jeśli nie, pozostanie tym, czym jest.

Chłopiec siedział wśród dzikich gęsi i przysłuchiwał się rozmowie Akki z ojcem gąsiorem, kiedy nagle przybiegła Lekkopuszka, szlochając rozpaczliwie:

— Gąsior Marcin umiera! Ja go zabiłam!

— Weź mnie na grzbiet, Lekkopuszko, i zanieś jak najprędzej do niego! — zawołał chłopiec.

Polecieli. Akka wraz z resztą gęsi podążyła za nimi. Znalazły gąsiora leżącego na ziemi. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, tylko chwycił dziobem powietrze.

— Połechtaj go pod gardłem i uderz go po grzbiecie! — rozkazała Akka.

Chłopiec tak uczynił. Biały gąsior zakasłał się i wyrzucił z siebie kilka długich korzeni, które mu uwięzły w gardle.

— Czy jadłeś to? — zapytała Akka i wskazała na korzenie leżące na ziemi.

— Tak — odrzekł gąsior.

— Możesz więc sobie powinszować, że uwięzły ci w gardle — rzekła Akka. — Korzenie te są jadowite i gdybyś je był połknął, byłbyś stracony bez ratunku.

— Lekkopuszką powiedziała, abym je zjadł — rzekł gąsior.

— Dostałam je od swojej siostry! — zawołała Lekkopuszka i opowiedziała wszystko, co zaszło.

— Miej się na baczności przed twymi siostrami, Lekkopuszko — rzekła Akka. — Nie mają one dobrych zamiarów względem ciebie.

Lecz Lekkopuszka miała zbyt szlachetne serce, żeby podejrzewać kogokolwiek o coś złego. Kiedy więc Piękniopórka po jakimś czasie zbliżyła się do niej i oświadczyła, że chce jej pokazać swego

narzeczonego, poszła z nią natychmiast.

— Nie jest on wprawdzie tak piękny jak twój — rzekła — lecz za to jest o wiele mężniejszy i odważniejszy.

— Skądże wiesz o tym? — zapytała Lekkopuszką.

— Powiem ci zaraz. Wśród mew i kaczek na wyspie panuje rozpacz i lament, gdyż co dzień o świcie przylatuje tu wielki ptak drapieżny i porywa jedną z nich.

— Cóż to za ptak? — zapytała Lekkopuszką.

— Nie wiemy — odrzekła siostra. — Nie widziano nigdy jeszcze takiego ptaka tutaj na wyspie. Dziwnym przypadkiem nie porwał on dotąd ani jednej gęsi. Mój narzeczonny więc postanowił walczyć z nim jutro i przepędzić go stąd,

— Jeśli się to tylko dobrze skończy! — rzekła Lekkopuszką.

— Obawiam się, że tak nie będzie — odparła siostra. — Gdyby mój gąsior był tak duży i silny jak twój, mogłabym się spodziewać zwycięstwa.

— Czy mam poprosić Marcina, aby wystąpił przeciwko drapieżnikowi?

— Pragnęłabym tego gorąco — odrzekła Pięknopiórka. — Nie mogłabyś okazać mi większej przysługi.

Następnego ranka gąsior Marcin obudził się jeszcze przed wschodem słońca. Stanął na najwyższej rafie i rozglądał się na wszystkie strony. Wkrótce ukazał się od wschodu wielki, ciemny ptak i leciał wprost na wyspę. Miał ogromne skrzydła i gąsior poznał od razu, że to był orzeł. Nie oczekiwał groźniejszego wroga od sowy i zrozumiał, że idzie tu o życie. Ale nie przyszło mu nawet na myśl cofnąć się przed walką z ptakiem o tyle od siebie silniejszym.

Teraz orzeł spadł z wysokości i zatopił swe szpony w mewie. Lecz zanim z nią odleciał, nadbiegł gąsior.

— Puść mewę! — krzyknął. — I nie pokazuj się tu więcej, bo inaczej będziesz miał ze mną do czynienia!

— A tyś co za śmiałek?! — zawołał orzeł. — Twoje szczęście, że nie napastuję nigdy gęsi, inaczej prędko bym się z tobą załatwił.

Gąsior Marcin myślał, że orzeł jest za dumny, aby z nim walczyć. Rzucił się więc na niego dysząc gniewem, ugryzł go w szyję i bił go skrzydłami. Na to orzeł nie mógł, naturalnie, pozwolić i zaczął walczyć z gąsiorem, nie używając zresztą wszystkich swych sił.

Chłopiec tymczasem spał jeszcze przy Akce i innych dzikich gęsiach. Nagle usłyszał głos Lekkopuszki:

— Paluszku, Paluszku! Orzeł rozdziera gąsiora!

— Weź mnie na grzbiet, Lekkopuszko, i zanieś do niego! — zawołał chłopiec.

Kiedy zbliżyli się do rafy, ujrzeni gąsiora oblanego krwią płynącą z licznych ran, a mimo to walczącego dalej. Chłopiec nie mógł stanąć do walki z orłem, nie pozostawało więc mu nic innego, jak wezwać skuteczniejszej pomocy.

— Prędko, prędko, Lekkopuszko! Zawołaj Akkę i dzikie gęsi! — rozkazał.

Lecz w chwili kiedy chłopiec wymówił te słowa, orzeł zaprzestał walki.

— Kto mówi tutaj o Akce? — zapytał. A spostrzegłszy Paluszkę i usłyszawszy gęganie nadlatujących gęsi, rozpostarł szybko skrzydła. — Powiedz Akce, że nie spodziewałem się spotkać jej lub kogokolwiek z jej stada tutaj na pełnym morzu! — zawołał i odleciał dumnie i majestatycznie.

— To ten sam orzeł, który mnie przyniósł niegdyś do dzikich gęsi — rzekł chłopiec i patrzył za nim ze zdziwieniem.

Dzikie gęsi chciały z samego rana opuścić wyspę, postanowiły jednak przedtem zjeść śniadanie, Kiedy żerowały, przyleciała do Lekkopuszki dzika kaczka.

— Mam dla ciebie pozdrowienie od twoich sióstr — rzekła. — Nie śmiaj się już pokazać wśród dzikich gęsi, lecz każą ci powiedzieć, abyś nie opuszczała wyspy, nie odwiedziwszy starego rybaka.

— Uczynię to! — zawołała Lekkopuszką. Stała się jednak tak bojaźliwa, że nie chciała pójść sama. I dlatego poprosiła gąsiora i Paluszką, aby ją odprowadzili do chaty. Drzwi chaty stały otworem. Lekkopuszką weszła, a tamci zostali za progiem. Po chwili usłyszeli głos Akki nawołujący do odlotu. Gąska wyszła z chaty i odleciała wraz z całym stadem z wyspy.

Stado znajdowało się już dość daleko na pełnym morzu, kiedy chłopiec zwrócił uwagę na gęś lecącą z nimi. Lekkopuszką fruwała przecież zwykle tak lekko i spokojnie, ta zaś wiosłowała skrzydłami z trudem, prując powietrze z głośnym szumem.

— Akko, zawróć! Akko, zawróć! — zawołał chłopiec przerażony.

— Mamy obcego ptaka wśród nas. Pięknopiórka jest w naszym stadzie!

Zaledwie to powiedział, gęś wydała brzydki, gniewny okrzyk teraz nikt już nie miał wątpliwości, co to była za gęś. Akka i inne gęsi zwróciły się do niej, lecz gęś nie uciekła. Rzuciła się na dużego białego gąsiora, schwyciła Paluszką w dziób i odleciała z nim.

Teraz rozpoczęła się dzika pogoń wśród szkier. Pięknopiórka leciała bardzo szybko, lecz gęsi były tuż za nią, nie miała więc najmniejszej nadziei, żeby ujść przed nimi.

Wtem wzniósł się z morza ku górze lekki biały dym i zarazem rozległ się huk wystrzału. Ptaki w zapale nie zauważyły, że przelatowały nad łódką, w której siedział samotny rybak.

Nikt nie został trafiony, lecz tuż nad samą łódką Pięknopiórka otworzyła dziób i upuściła Paluszką w morze.

SZTOKHOLM



W wielkim muzeum w Skansen pod Sztokholmem, gdzie zgromadzono na otwartym powietrzu tyle osobliwości z całej Szwecji, mieszkał przed wielu laty mały, stary człowieczek, zwany Klemensem Larsonem. Pochodził z Hälsinglandu i przybył do Skansen, aby tutaj wygrywać na skrzypcach stare tańce i pieśni ludowe. Jako skrzypek występował jednak przeważnie tylko po południu, przed południem siadywał jako dozorca w jednym z tych pięknych domków chłopskich, które poprzenoszono do Skansen ze wszystkich stron kraju. Początku zdawało się Klemensowi, że wie dzie mu się teraz, na stare lata, lepiej, niż sobie kiedykolwiek w życiu wyobrażał. Po pewnym czasie jednak sprzykrzyło mu się to wszystko ogromnie, a szczególnie nie lubił tych godzin, kiedy musiał dozorować. Jako tako było jeszcze, gdy przychodzili ludzie i oglądali domek. Czasami jednak pocziwy Klemens siedział godzinami zupełnie sam, a wtedy napadała go z taką siłą tęsknota, że nieraz nie mógł jej pokonać i myślał na serio, aby porzucić swe miejsce. Lecz był bardzo biedny i gdyby wrócił do swej wsi rodzinnej, stałby się ciężarem dla gminy. Wiedział o tym dobrze i dlatego walczył całą siłą przeciwko tęsknocie, jakkolwiek czuł się coraz nieszczęśliwszym.

Pewnego dnia w początkach maja Klemens miał kilka godzin wolnych i schodził właśnie ze stromego wzgórza, na którym Skansen się mieści, kiedy spotkał rybaka ze szkier, idącego ze skrzynką na plecach. Był to młody, silny mężczyzna, który często przynosił do Skansen na sprzedaż ptaki morskie schwytane żywcem. Klemens spotykał się z nim już niejednokrotnie.

Rybak pozdrowił Klemensa i zapytał, czy zastanie teraz dyrektora muzeum. Klemens, udzieliwszy mu żądanych informacji, zapytał z kolei, co tam osobliwego niesie rybak w swej skrzynce.

— Pokażę ci to, Klemensie — rzekł rybak — jeśli mi odpłacisz dobrą radą i powiesz, ile mam za to żądać.

I podsunął Klemensowi swą skrzynkę. Klemens zajrzał do środka, zajrzał drugi raz, nagle cofnął się w tył.

— Na miłość Boską, Asbjörn, skądżeś ty to wziął?

Przypomniał sobie, że w czasach dzieciństwa matka opowiadała mu często o krasnoludkach mieszkających pod kamienną podłogą. Nie wolno mu było płakać ani krzyczeć, żeby ich nie rozgniewać. Kiedy dorósł, sądził, że matka wymyśliła historie o krasnoludkach, aby go skutecznie straszyć.

„Więc to jednak nie był wymysł matki — myślał Klemens. — Przecież tutaj, w skrzynce Asbjörna,

leży jeden z rodu krasnoludków”.

W duszy Klemensa tkwiły jeszcze resztki strachu dziecięcego, więc zajrzawszy do skrzynki poczuł dreszcze pod skórą. Asbjörn spostrzegł przestach Klemensa i zaczął się śmiać. Lecz Klemens brał tę sprawę bardzo poważnie.

— Opowiedz mi nareszcie, jakżeś go zdobył? — spytał.

— O, niech ci się nie zdaje, że czatowałem na niego — rzekł Asbjörn. — Człowieczek ten sam do mnie przyszedł. Dziś z rana wcześniej bardzo wyruszyłem łodzią na morze i zaledwie odpłynąłem od lądu, kiedy stado dzikich gęsi z głośnym gęganiem nadleciało ze wschodu. Wypaliłem do nich, nie trafiłem przecież żadnej, za to jednak zleciał z góry ten oto malec i wpadł do wody tuż obok łodzi, tak że dość było tylko wyciągnąć rękę po niego.

— Nie zraniłeś go chyba, Asbjörn?

— O nie, jest zupełnie zdrow i cały. Z początku tylko był bardzo oszołomiony, skorzystałem więc z tego i związałem mu ręce i nogi sznurkiem, żeby nie uciekł. Albowiem od razu sobie pomyślałem, że to będzie dobry nabytek dla muzeum w Skansen.

Klemensowi dziwnie zrobiło się na sercu. Wszystko, co w czasach swej młodości słyszał o krasnoludkach, o tym, jak się mszczą na wrogach, o tym, jak są chętni do usług przyjacielskich — stanęło mu w pamięci. Kto kiedykolwiek spróbował więzić krasnoludka, ten źle kończył.

— Słuchaj, Asbjörn, powinieneś go być zaraz puścić na wolność — rzekł Klemens.

— Nie mogłem tego uczynić — odrzekł Asbjörn. — Dzikie gęsi goniły mnie aż do domu i potem jeszcze latały długo nad szkierami tam i z powrotem, wrzeszcząc bezustannie, jak gdyby żądały zwrotu malca. A na tym nie koniec jeszcze, gdyż całe ptasie towarzystwo — mewy i jaskółki morskie, i wszystkie inne ptaki, niewarte porządnego ładunku prochu — siadło z głośnym krzykiem na rafach i zaledwie wyszedłem z chaty, trzepotało się wokoło mnie jak szalone; nie pozostawało mi więc nic innego, jak wrócić do chaty. Żona mówiła, że powinienem uwolnić malca, ale wbiłem sobie do głowy, żeby go przynieść tutaj do Skansen. Postawiłem więc lalkę na oknie, wsadziłem malca pośpiesznie do skrzynki i udałem się w drogę. Ptaki myślały widocznie, że lalka na oknie to malec, gdyż tym razem pozwoliły mi swobodnie przejść.

— Czy on nic nie mówi? — zapytał Klemens.

— Owszem, z początku próbował porozumieć się z ptakami, ale nie dopuściłem do tego i zakneblowałem mu usta.

— Ależ, Asbjörn, jakże mogłeś to uczynić? Czyż wcale tego nie rozumiesz, że jest on czymś nadprzyrodzonym?

— Ach, skądże mogę wiedzieć, czym on jest! — rzekł Asbjörn spokojnie. — Niech się nad tym inni zastanawiają, ja będę zadowolony, jeżeli mi dobrze za niego zapłacą. A teraz powiedz mi, Klemensie, ile też da mi za tego malca uczony doktor w Skansen?

Klemens namyślał się długo, zanim odpowiedział. Nagle ogarnęła go ogromna obawa o krasnoludka. Wydawało mu się, jak gdyby matka jego stanęła przed nim i mówiła, aby był zawsze dobry dla krasnoludków.

— Nie wiem, co ci za niego ofiaruje doktor — odezwał się w końcu. — Lecz jeśli go zechcesz sprzedać mnie, ofiaruję ci dwadzieścia koron.

Kiedy grajek wymienił tak wielką sumę, rybak spojrzał na niego z bezgranicznym zdziwieniem. Pomyślał, iż widocznie Klemens sądzi, że malec włada jakimiś tajemniczymi potęgami, które mogą mu pomóc. A ponieważ nie był pewny, czy doktor uzna jego zdobycz za równie cenną i ofiaruje mu aż taką sumę, przyjął więc propozycję Klemensa.

Grajek wsunął nabytek do głębokiej kieszeni, wszedł znów na wzgórze i wstąpił do jednej z chat

pasterskich, gdzie nie było obcych gości ani dozorczy. Zamknął drzwi za sobą, wyjął malca, który wciąż jeszcze miał związane ręce i nogi oraz zakneblowane usta, i położył go ostrożnie na ławce.

— Uważaj dobrze, co ci powiem — zaczął Klemens. — Wiem, że ty i twój ród nie lubicie być widziani przez ludzi, lecz najchętniej żyjecie w ukryciu po swojemu. Dlatego też chcę ci zwrócić wolność, pod jednym przecież warunkiem: musisz zostać tutaj w parku, dopóki ci nie pozwolę oddalić się stąd. Jeśli się na to zgadzasz, skłń trzy razy głową.

I Klemens spojrzał na malca wyczekująco, ten jednak nie poruszył się.

— Nie będzie ci źle — ciągnął Klemens dalej. — Każdego dnia przyniosę ci jedzenie; przy tym znajdziesz i tutaj na pewno niejedno do roboty i nie powinienes się nudzić. Nie wolno ci jednak oddalić się, póki ci na to nie pozwolę, słyszysz? Ustalimy sobie znak: dopóki ci będę stawiał jedzenie w białym garnuszku, musisz tutaj pozostać, ale gdy zobaczysz niebieską miseczkę, możesz się oddalić,

I znów Klemens spojrzał wyczekująco, spodziewając się jakiegoś odruchu, lecz malce ani drgnął.

— Skoro tak, nie pozostanie mi nic innego, jak pokazać ci dyrektorowi — rzekł Klemens. — Wsadzą cię do szklanego słoja i wszyscy mieszkańcy wielkiego Sztokholmu będą przychodzili cię oglądać.

Ta pogróżka widocznie zastraszyła malca, gdyż zaledwie Klemens ją wypowiedział, mały natychmiast skinął trzy razy głową.

— Tak, to dobrze! — powiedział Klemens. Wyciągnął nóż, przeciął więzy, krępujące malcowi ręce, i wyszedł pośpiesznie z pokoju.

Przed wszystkim chłopiec zdjął sobie sznurek z nóg i wyciągnął knebel z ust. A kiedy się obejrzał za Klemensem Larsonem, aby mu podziękować, ten już znikł.

Zaledwie Klemens wyszedł za próg chaty, spotkał pięknego, starego jegomościa idącego, jak się zdawało, do pobliskiego miejsca, słynącego ze wspaniałego widoku. Klemens nie mógł sobie przypomnieć, czy widział kiedykolwiek tego pana — pan jednak widać już nieraz zauważył wieśniaka, grającego swe pieśni ludowe, gdyż stanął i zaczął z nim rozmawiać.

— Dzień dobry, Klemensie! — rzekł, — Co słyszać u ciebie? Czy nie jesteś chory? Wydaje mi się, że od pewnego czasu schudłeś.

Pan miał w swym obejściu coś tak niewymownie uprzejmego, że Klemens nabrał odwagi i zwierzył mu się, jak bardzo go dręczy tęsknota.

— Co? Tęsknisz, tutaj, w Sztokholmie? To chyba niemożliwe! — rzekł dostojny starzec i wydawał się z tego powodu niemal dotknięty. Ale niebawem przypomniał sobie, że stoi przed nim stary wieśniak z Hälsinglandu i poprzedni, przyjazny wyraz wrócił na jego oblicze.

— Nie słyszałeś chyba jeszcze nigdy, jak powstał Sztokholm, Klemensie. Inaczej uznałbyś na pewno, że wmawiasz tylko w siebie tęsknotę. Chodź, odprowadź mnie do tej ławki naprzeciwko, a opowiem ci cośkolwiek o Sztokholmie.

I dostojny pan usiadł na ławce. Popatrzył najpierw przez chwilę na Sztokholm, roztaczający się przed nimi w całym przepychu, odetchnął głęboko, jak gdyby całe piękno tego widoku chciał wchłonąć w siebie. Potem zwrócił się do grajka.

— Widzisz, Klemensie — zaczął i mówiąc rysował na piasku przed sobą mapę kraju, — Tutaj leży Upplandia, a tutaj, na południe, wysuwa się przylądek poszarpany wielu zatokami. A tutaj przylega Sörmland z innym przylądkiem, równie poszarpanym zatokami i wydłużonymi wyspami. To jezioro Mälarn. A tutaj od wschodu płynie woda, zaledwie posuwająca się naprzód wskutek wielkiej ilości wysp i szkier. To Bałtyk, Tutaj zaś, Klemensie, gdzie Upplandia z Sörmlandem i Mälarn z Bałtykiem łączą się, płynie rzeczka zwana Norstromem, a pośrodku Norstromu leżą trzy małe wzgórza.

Pierwotnie wzgórza te były tylko zwykłymi wyspami. Rosło na nich kilka drzew i od niepamiętnych czasów nie były zamieszkane przez nikogo, jak to i dziś jeszcze bywa z wieloma wyspami na Mälarnie.

Położenie ich było niezaprzeczenie bardzo korzystne, ponieważ znajdowały się między dwoma wodami i dwiema częściami lądu. Nikt jednak tego nie spostrzegł.

Rok przechodził za rokiem, ludzie osiedlali się zarówno na brzegach Mälarnu, jak i na szkierach, lecz trzy wzgórza wśród Norstromu pozostawały nie zamieszkane; Rzadko kiedy przybijał do nich żeglarz na nocleg, a na stałe nie osiedlał się nikt.

Pewnego dnia rybak, mieszkający na wyspie Liding w Saltso, skierował swe czołno na Mälarn. Połów miał tak olbrzymi, że zupełnie zapomniał o powrocie. Zaledwie dopłynął do trzech wzgórz, kiedy noc zapadła. Pomyślał więc sobie, że uczyni najlepiej, gdy wyjdzie na ląd i zaczeka, póki księżyc nie wszędzie, gdyż właśnie przypadała pełnia.

Mimo późnej jesieni ustaliła się przepiękna pogoda, jakkolwiek wieczory bywały już bardzo ciemne. Rybak więc wyciągnął swe czołno na ląd, położył się obok, oparł głowę o kamień i pogrążył się niebawem w głębokim śnie. Gdy się obudził, księżyc był już wysoko na niebie i świecił mu nad głową wspaniałym blaskiem, tak jasnym jak światło dzienne.

Rybak zerwał się i chciał właśnie zepchnąć czołno na wodę, kiedy nagle spostrzegł na niej dużo ciemnych punktów poruszających się tam i z powrotem. Wielkie stado psów morskich podpływało pośpiesznie ku wzgórz, a gdy rybak zauważył, że psy chcą się wydostać na ląd, schylił się po oszczep, który miał w czołnie. Kiedy jednak podniósł głowę, psów morskich już nie było. Zamiast psów stały na brzegu prześliczne, młode dziewczęta w zielonych, powłóczystych, jedwabnych szatach, każda w koronie z pereł na głowie. Rybak domyślił się, kogo widzi przed sobą — były to, oczywiście, syreny mieszkające na pustych szkierach w głębi morza. Narzuciły tylko na siebie skóry fok, aby dopłynąć do lądu, gdzie zamierzały na zielonych wzgórzach cieszyć się blaskiem księżyca.

Rybak położył cichutko swój oszczep, a kiedy syreny udały się w głąb wyspy na zabawę, poszedł ukradkiem za nimi i przyglądał się im ciekawie. Słyszał, że syreny są cudownie piękne, tak że każdy, kto je ujrzy, zostaje oczarowany ich pięknnością, i musiał przyznać, że istotnie niewiele w tym było przesady.

Przyjrawszy się tańczącym pod drzewami syrenom, rybak wrócił na brzeg, wziął jedną z leżących tam skór fok i ukrył ją pod kamieniem. Potem wrócił do swego czołna, położył się obok niego udawał, że śpi.

Po krótkiej chwili ujrzał, że syreny wracają na wybrzeże, aby zarzucić na siebie swe skóry. Zrazu panował wśród nich tylko śmiech i żarty, wkrótce jednak radość zamieniła się w głośny lament i skargi, gdyż jedna z nich nie mogła znaleźć swej odzieży. Wszystkie biegały po brzegu, pomagając jej szukać, ale skóra znikła bez śladu. Kiedy tak szukały pilnie, ujrzały, że niebo od wschodu rozjaśnia się i zaczyna już dzień. Wobec tego nie mogły dłużej pozostać i odpłynęły wszystkie z wyjątkiem tej jednej, która nie miała skóry foki. Ta, płacząc gorzko, pozostała na brzegu.

Rybakowi serdecznie żal było biednej syreny, lecz przezwyciężył się i leżał cicho, póki nie rozedniało. Wówczas wstał, zepchnął czołno na wodę i dopiero kiedy ujął wiosła, udał, że przypadkiem spostrzega syrenę.

„Któż ty jesteś?! — zawołał. — Czy jesteś rozbitkiem?”

Syrena podbiegła ku niemu z pytaniem, czy nie widział skóry foki, lecz rybak udał, że nie rozumie nawet, o co jej chodzi. Usiadła więc i zalała się na nowo łzami. Wtedy rybak zaproponował jej, aby wsiadła do jego czołna.

„Chodź ze mną do mojej chaty — rzekł — moja matka zaopiekuje się tobą. Nie możesz przecież zostać tutaj na wyspie, gdzie nie znajdziesz ani łóżka, ani pożywienia”.

I przemawiał do niej tak życzliwie, że dała się namówić i wsiadła z nim do jego łodzi.

Rybak i jego matka byli niezwykle dobrzy dla biednej syreny, toteż czuła się ona u nich bardzo dobrze. Z każdym dniem stawała się weselsza, pomagała staruszce przy robocie i zachowywała się tak samo jak każda dziewczyna, była tylko najpiękniejsza ze wszystkich dziewcząt w całej okolicy.

Pewnego dnia rybak zapytał jej, czyby nie chciała zostać jego żoną. Nie miała nic przeciwko temu i zgodziła się chętnie.

Urządzono więc wesele, a kiedy panna młoda miała się przebrać do ślubu, włożyła zieloną, jedwabną, powłóczystą suknię i lśniącą koronę perłową, którą miała na sobie wówczas, kiedy ją rybak ujrzał po raz pierwszy. W owych czasach na szkiełach nie było ani kościoła, ani księdza. Państwo młodzi z orszakiem wsiadali do łodzi, wjeżdżali w Mälarn i brali ślub w pierwszym kościele napotkanym po drodze.

Rybak siedział w łodzi z matką i narzeczoną i sterował tak dobrze, że łódź jego wyprzedziła wszystkie inne. Kiedy ujrzał ową wysepkę, na której zdobył narzeczoną, siedzącą obok niego w łodzi, taką teraz szczęśliwą i strojną, mimowolnie musiał się uśmiechnąć.

„Dlaczego się śmiejesz?” • — zapytała narzeczona.

„Ach, myślę o owej nocy, kiedy to ukryłem ci skórę foki!” — odrzekł rybak.

Czuł się teraz bardzo pewnie i wydawało mu się, że już nie ma potrzeby nic przed nią ukrywać.

„Co ty mówisz? — zapytała narzeczona. — Nie miałam przecież nigdy żadnej skóry foki!”

Zdawało się, że zapomniała o wszystkim.

„Czy nie pamiętasz, jakieś tańczyła z syrenami?” — zapytał rybak.

„Nie rozumiem, o czym mówisz — odpowiedziała narzeczona, — Miałeś chyba tej nocy jakiś dziwny sen”.

„A jeśli ci pokażę twoją skórę foki, czy mi uwierzysz?” — zapytał rybak i skierował łódź ku owej wysepce.

Przybiwszy do brzegu, młoda para wysiadła i rybak wyciągnął skórę spod kamienia, gdzie ją wówczas ukrył,

Ale zaledwie narzeczona ujrzała skórę, porwała ją natychmiast narzuciła na głowę. Skóra przywarła do jej członków jak coś żywego i syrena rzuciła się natychmiast w fale.

Rybak widział, jak odpływała. Szybko skoczył za nią do wody, nie mógł jej jednak dogonić. Kiedy się przekonał, że jej nie zatrzyma, rzucił za nią w rozpacz oszczepem. Ten trafił celniej, niż rybak chciał, gdyż biedna syrena wydała głośny okrzyk i znikła w głębinach.

Rybak został na brzegu, spodziewając się, że syrena wypłynie znów na powierzchnię. Lecz wkrótce spostrzegł, że wokoło na wodę pada łagodny blask i czyni ją czarująco piękną. Czegoś podobnego rybak nigdy nie widział: woda świeciła się, lśniła i igrała różowymi i białymi odbłaskami, zupełnie jak masa perłowa w muszli.

A kiedy te iskrzące się fale uderzyły o brzeg, rybak ujrzał, że i brzegi zmieniły swój wygląd. Wszędzie kwitło i pachniało, miękki blask roztoczył się wokoło i wybrzeże stało się tak piękne, jak nie bywało nigdy.

I wtedy rybak zrozumiał, że to piękność syreny, przewyższająca wszelką piękność ludzką, urzeka tak oczy człowieka, a krew jej, zmieszana z wodą, oblewając brzegi nadaje im taki nieprzewyciężony urok. Kto je raz ujrzy, tęskni odtąd za nimi.

Kiedy dostoyny starzec przerwał na chwilę opowiadanie, spojrzął na Klemensa, a ten skinął mu poważnie głową w milczeniu.

— A teraz uważaj, Klemensie, co ci powiem — ciągnął dalej starzec i oczy jego nagle zamigotały żartobliwie. — Od owego czasu na wzgórzach zaczęli osiadać ludzie. Z początku byli to tylko wieśniacy i rybacy, lecz pewnego dnia przywędrował tam i król ze swoim orszakiem.

Kiedy ujrzał trzy wzgórze, zwrócił uwagę innych na to, że każda łódź, chcąc przedostać się do Mälarnu, musi obok nich przepłynąć. I król zauważył dalej, że tutaj należałoby właściwie drogę morską zamknąć, aby potem wedle potrzeby regulować ruch: wpuszczać statki handlowe, a nie dopuszczać statków pirackich.

I widzisz, Klemensie, woli królewskiej stało się zadość — rzekł stary pan wstając i rozpoczynając na nowo rysować na piasku. — Na największej z trzech wysepek, widzisz, ot tu, król zbudował zamek ze wspaniałą wieżą, nazwaną Körnan. Wzgórze wokoło opasał murami, widzisz, o tak. Tutaj na południu zrobił bramę w murze i postawił na niej wysoką wieżę. Pobudował mosty prowadzące do innych pagórków i opatrzył je wieżami. A wszystkie trzy wzgórza otoczył rozległym pierścieniem powbijanych w wodę pali i belek, między którymi zrobiono zamykane przejścia. Teraz żaden statek nie mógł przejechać tędy bez pozwolenia.

Widzisz więc, Klemensie, oto trzy wzgórza, na które tak długo nikt nie zwracał uwagi, zamieniły się od razu w potężną twierdzę. Lecz na tym nie poprzestano jeszcze. Brzegi i zatoki przyciągały ludzi, zbiegali się zewsząd i osiadali tutaj na wzgórzach. Dla tych ludzi król zbudował kościół, który później nazwano Storkyrkan.

Wznosi się on tam jeszcze dotychczas, tuż obok zamku, tutaj zaś, wewnątrz murów, stały domki pierwszych osadników. Nie były one wspaniałe, ale wystarczały na owe czasy, aby miejscowość tę nazwać miastem. Miasto nazwano Sztokholm i tak się też nazywa do dnia dzisiejszego.

Potem nastąpił dzień, Klemensie, kiedy król po swojej ciężkiej pracy mógł udać się na spoczynek. Ale Sztokholm nie odczuł braku budowniczego. Nadciągnęli mnisi, zwani czarnymi braćmi; Sztokholm podobał im się tak bardzo, że prosili, aby im wolno było wybudować sobie tutaj klasztor. I klasztor został istotnie zbudowany na wzgórzu, zaraz tutaj za Storkyrkan.

Po pewnym czasie przybyli jeszcze inni mnisi, zwani szarymi braćmi. I ci prosili o pozwolenie osiedlenia się w Sztokholmie. Na wielkim wzgórzu nie było już jednak miejsca na klasztor, zbudowano więc go na jednym z mniejszych wzgórz, zwróconym ku Mälarnowi. Odtąd wzgórze to zwie się Grämunkholm albo Wzgórzem Szarych Mnichów.

Na trzecim wzgórzu osiedli mnisi, zwani Bractwem Świętego Ducha, którzy szczególnie zajmowali się pielęgnowaniem chorych. Zbudowali oni szpital i wzgórze to zostało od owego czasu nazwane Helgeandsholm albo Wzgórzem Świętego Ducha. Widzisz więc, Klemensie, że trzy wzgórza zostały całkowicie zabudowane.

Tymczasem napływali ciągle nowi osadnicy, gdyż woda i brzegi tutejsze mają, jak wiesz, właściwość przyciągania ludzi. Przybyły więc pobożne niewiasty z Zakonu Świętej Klary, prosząc również, żeby się mogły tutaj osiedlić. Nie miały jednak dużego wyboru i zmuszone były osiąść na północnym brzegu, nazwanym Norrmalm. Nie były wprawdzie z tego bardzo zadowolone, gdyż poprzez Norrmalm ciągnie się wysoki grzbiet górski i na jednym z pagórków miasto postawiło szubienicę — stąd dzielnica ta była w pogardzie. A jednak siostry z Zakonu Świętej Klary zbudowały tam swój kościół i klasztor tuż pod wzgórzem z szubienicą. Za nimi zaś nadciągnęli do tej okolicy i inni przybysze. Na wzgórzu zbudowano szpital i kościół poświęcony świętemu Jerzemu, a tutaj, tuż pod wzgórzem, stanął kościół świętego Jakuba.

I na wzgórzu Södermalm, tam gdzie rafy wystają stromo z morza, też zaczęto budować. Tutaj powstał wkrótce kościół ku czci Najświętszej Marii Panny.

Niech ci się jednak nie zdaje, Klemensie, że sami tylko mnisi osiedli w Sztokholmie. O nie, prócz nich przybyło tu także wielu innych ludzi, przede wszystkim mnóstwo niemieckich rzemieślników i kupców. A że ci lepiej znali swój fach od szwedzkich, więc zostali chętnie przyjęci. Osiedlili się w mieście w obrębie murów, zburzyli małe, ubogie domki, które tam stały poprzednio, i wzniesli zamiast nich wielkie, wspaniałe budowle z kamienia. Wskutek braku miejsca w obrębie murów musiano budować domy bokiem do ulicy, szczelnie jeden tuż przy drugim.

Tak, tak, Klemensie, widzisz, jak to Sztokholm przyciągał ludzi.

W tej samej chwili ukazał się w dole na drodze inny pan, idący pośpiesznie w ich stronę. Lecz

dostojny starzec, rozmawiający z Klemensem, skinął ruchem ręki nadchodzącemu i ten zatrzymał się w oddaleniu. Pan zaś usiadł obok grajka na ławce.

— Musisz mi zrobić pewną przyjemność, Klemensie — powiedział. — Nie mam czasu rozmawiać z tobą dłużej, ale prześlę ci książkę o Sztokholmie, którą musisz przeczytać od początku do końca. Teraz położyłem w tobie jak gdyby kamień węgielny Sztokholmu, ty zaś powinienesz budować dalej. Tak, studiuj teraz sam i dowiedz się, jakie były dzieje miasta i jak się ono stopniowo zmieniało. Czytaj, jak małe, ciasne, otoczone murami miasto na pagórkach stało się tym morzem domów, które oto widzimy przed sobą. Czytaj, jak ponura wieża Körnan zmieniła się w piękny, wielki zamek i jak kościół szarych mnichów zamieniony został na groby królów szwedzkich. Czytaj, jak jeden pagórek za drugim został zabudowany. Czytaj, jak pola warzywne w Söder i Norr zmieniły się na piękne ogrody i dzielnice miejskie. Czytaj, jak pagórki zrównano, a kanały zasypano. Czytaj, jak królowie założyli park, który następnie stał się pięknym miejscem wycieczek dla ludu. Zadaj sobie trud zaznajomienia się ze Sztokholmem, Klemensie, gdyż miasto to nie należy jedynie do sztokholmczyków, należy ono także do ciebie i do całej Szwecji.

A kiedy przeczytasz wszystko o Sztokholmie, wtedy pomyśl o tym, co ci powiedziałem, że Sztokholm ma siłę, która przyciąga. Najpierw przybył tutaj król, następnie dostojni panowie wybudowali tu swe pałace. Potem ciągnęli jedni za drugimi, tak że Sztokholm nie jest już teraz miastem dla siebie albo dla najbliższego otoczenia, lecz jest miastem dla całego państwa.

Wiesz przecież, że w każdej parafii istnieje rada gminna, lecz w Sztokholmie obraduje parlament dla całego narodu. Wiesz, że w całym kraju każdy okręg ma swego sędziego, lecz w Sztokholmie jest sąd, który stoi nad wszystkimi innymi. Wiesz, że wszędzie istnieją koszary i wojsko, lecz w Sztokholmie jest sztab, który dowodzi całą armią. Wszędzie w całym kraju są koleje, lecz wszystkie rozchodzą się ze Sztokholmu. Tutaj mieszkają zwierzchnicy proboszczów, nauczycieli, lekarzy, wójtów, sędziów. Tu znajduje się punkt środkowy całego kraju. Stąd pochodzą pieniądze, które masz w kieszeni, i znaczki, które nalepiamy na nasze listy. Stąd wszyscy Szwedzi coś otrzymują i wszyscy Szwedzi wobec Sztokholmu mają jakieś obowiązki. Tutaj nikt nie powinien się czuć obcym ani nie powinien tęsknić. Tutaj wszyscy Szwedzi są jak w domu.

A kiedy to wszystko przeczytasz, Klemensie, to pomyśl jeszcze o czymś, co Sztokholm przyciągnął do siebie. Są to osobliwości w Skansen — stare domy, dawne tańce, dawne ubiory, stare sprzęty i stare naczynia domowe. Tutaj zgromadzili się również grajkowie i bajarze. Wszystko, co tylko jest starego i wartościowego, zebrało się tutaj w Sztokholmie w Skansen i otoczone zostało szacunkiem, aby kiedyś odrodzić się na nowo wśród ludu.

A kiedy już przeczytasz wszystko o Sztokholmie, siądź tutaj, Klemensie, na tym miejscu. Ujrzysz wówczas, jak fale igrają w blasku, a brzegi jaśnieją olśniewającą pięknnością. Tak, musisz się sam postarać o to, aby cię ten czar zachwycił i porwał.

Piękny starzec podniósł nieco głos. Brzmiał on teraz głośno i majestatycznie, a oczy starca błyszczały. Wstał, skinął Klemensowi przyjaźnie ręką i opuścił go. Klemens zaś poczuł naraz w sercu wyraźnie, że pan, który z nim rozmawia, musi być bardzo wielkim panem, i skłonił się za nim, jak mógł najniżej.

Nazajutrz zjawił się lokaj królewski z wielką, czerwono oprawną książką i z listem do Klemensa, a w liście tym było napisane, że książkę przysłał król. Poczciwy stary Klemens Larson czuł przez kilka dni zamęt w głowie. Niesposób było wydobyć z niego ani jednego rozsądnego słowa, a po tygodniu przyszedł do dyrektora i wymówił służbę. Jako powód podał, że musi koniecznie wracać do domu.

— Dlaczego chcesz wracać do domu? — zapytał dyrektor. — Czy ci się tutaj nie podoba?

— Owszem, owszem, podoba mi się bardzo — odrzekł Klemens.

— Pod tym względem nie mogę się skarżyć, mimo to jednak muszę wrócić do domu.

Klemens był w wielkim kłopotcie, gdyż król powiedział mu, iż musi dobrze poznać Sztokholm, a wówczas miasto z pewnością mu się spodoba. Lecz Klemens nie miał spokoju ani w dzień, ani w nocy, tak pragnął opowiedzieć w swojej wsi, że rozmawiał z królem. Ach, co to będzie za szczęście, kiedy wracając z kościoła opowiadać będzie swoim, jaki to król był dobry dla niego, jak to siedział z nim na jednej ławce, jak rozpoczął z nim rozmowę i jak jego, biednego, starego grajka, przekonywał przez godzinę, aby go uleczyć z tęsknoty. Szczycił się tym już i tutaj, w Skansen, opowiadając o rozmowie z królem Lapończykom i dziewczętom z Dalarna. Ale o ileż większym szczęściem będzie podzielenie się tym zdarzeniem ze swoimi we wsi!

I gdyby nawet Klemens musiał na starość osiąść w przytułku, i to nie wydawało mu się teraz tak straszne po tym, co przeżył. Byłby i tak zupełnie innym człowiekiem niż przedtem i cieszyłby się zupełnie innym poważaniem i szacunkiem.

I owładnęła nim ta nowa tęsknota. Nie mógł inaczej postąpić, musiał pójść do dyrektora i powiedzieć mu, że czuje konieczną potrzebę powrotu do swojej wsi.

ORZEŁ GORGO



W SKALISTEJ DOLINIE

Het, wysoko w górach laplandzkich na występie skalnym, wiszącym ponad stromą ścianą gór, znajdowało się stare gniazdo orle. Gniazdo uwite było z gałęzi choiny ułożonych warstwami w poprzek jedna nad drugą. Co rok rozszerzano je i podwyższano tak, że obecnie liczyło już kilka metrów średnicy i wznosiło się w górę, niemal tak wielkie jak chata lapońska. Skała, na której leżało gniazdo orle, osłaniała dość głęboką dolinę zamieszkaną zazwyczaj w lecie przez stado dzikich gęsi. Dolina ta była istotnie doskonałym schroniskiem dla gęsi, gdyż, ukryta dobrze wśród gór, znana była bardzo niewielu ludziom. Nawet między Lapończykami mało kto o niej wiedział. W pośrodku doliny leżało okrągłe jezioro, w którym gąsięta znajdowały pod dostatkiem pożywienia, a na brzegach, gęsto zarośniętych wierzbami i skarłowaciałymi brzoźkami, było tyle dogodnych miejsc do wylęgu, ile sobie tylko gęsi życzyć mogły.

Od niepamiętnych czasów na górze pośród skał mieszkały orły, a w dolinie — dzikie gęsi. Orły porywały corocznie kilka gęsi. Starły się jednak nie nadużywać swej przewagi, żeby nie wypłoszyć gęsi z doliny. Ze swojej strony dzikie gęsi miały również pewną korzyść z sąsiedztwa orłów: orły były wprawdzie rabusiami, lecz odstraszały innych rabusiów.

Na kilka lat przedtem, zanim Nils Holgerson zaczął wędrować z dzikimi gęsiami, stara przodownica stada, Akka z Kebnekajse, stała pewnego ranka w dolinie i spoglądała w górę ku gniazdu orlemu. Orły zaraz po wschodzie słońca udawały się zwykle na żer. Każdego lata, które Akka spędzała w tej dolinie, znajdowała się ona co rano na swoim stanowisku, obserwując, czy orły zostają na żer w dolinie, czy też udają się na łowy gdzie indziej.

Nie potrzebowała długo czekać, gdyż oba wielkie ptaki opuściły wkrótce urwisko. Piękne, lecz groźne unosiły się w powietrzu. Zwróciły się ku równinom i Akka wydała westchnienie ulgi.

Stara przodownica była już zbyt wiekowa, aby znosić jaja i wysiadywać młode. W lecie więc

spędzała czas w ten sposób, że wędrowała od jednego gniazda do drugiego i udzielała rad co do wysiadywania i wychowywania młodych. Prócz tego dawała baczenie nie tylko na orły, lecz i na lisy górskie, na sowy i na innych wrogów, które gęsiom i ich młodym mogły zagrażać.

Około południa Akka znów zaczęła śledzić ruchy orłów. Czyniła to co lata, odkąd po raz pierwszy przybyła do doliny. Z lotu też poznawała, czy polowanie im się udało, i wówczas czuła się spokojniejsza o swoich. Dziś jednak orły nie wracały.

„Musiałam się zestarzeć i wzrok mi się przytępił — pomyślała Akka po długim oczekiwaniu. — Orły powinny być już od dawna w domu”.

Po obiedzie spojrzała znów ku skale. Teraz orły powinny były się ukazać na ostrym zrębie, na którym zwykle odpoczywały po obiedzie. I wieczorem także wypatrywała Akka orłów, gdyż o tym czasie kąpały się w jeziorze górskim. Wciąż jednak i wciąż wypatrywała nadaremnie. Poczęła znów biadać nad tym, że starzeje się widocznie. Tak przywykła widywać orły w górze nad sobą, że nie mogła sobie wyobrazić, aby mogły nie powrócić jeszcze do gniazda.

Następnego rana Akka zerwała się wcześniej i od nowa poczęła wypatrywać, czy nie ujrzy orłów. Lecz i teraz nie było ich widać. Natomiast do jej uszu dochodził krzyk, który brzmiał w ciszy poranku gniewnie, a zarazem żałośnie, a zdawał się pochodzić z gniazda w górze.

„Czyżby tam naprawdę zdarzyło się nieszczęście?” — pomyślała.

Rozwinęła skrzydła i wleciała tak wysoko, że mogła zajrzeć do gniazda.

Nie było w nim starych — w gnieździe leżało tylko młode pónagie orlę, domagające się pokarmu.

Powoli i z wahaniem spuściła się Akka do gniazda. Jakżeż tu było nieprzyjemnie! Od razu można było poznać, że zamieszkiwały je drapieżniki. W gnieździe i na kamieniach leżały zbielełe kości, zakrwawione pióra i strzępy skóry, łby zajęcze, dzioby ptasie i opierzone nogi pardw. Nawet i orlę, które leżało wśród tych resztek, przedstawiało odrażający widok ze swym wielkim, rozwartym dziobem, niezgrabnym ciałem, pokrytym puchem, i nierozwiniętymi skrzydłami.

W końcu Akka przemogła swój wstręt i usiadła na krawędzi gniazda, oglądając się jednak bojaźliwie na wszystkie strony, gdyż była przygotowana na to, że każdej chwili może usłyszeć szum orlich skrzydeł nad sobą.

— Dobrze, że nareszcie zjawia się ktoś! — zawołało orlątko, — Przynieś mi zaraz coś do jedzenia.

— No, no, nie śpiesz się — rzekła Akka. — Powiedz mi najpierw, gdzie są twoi rodzice.

— Ba, gdybym sam wiedział! Wczoraj rano odlecieli, zostawiając mi tylko jedną myszkę. Domyślasz się, że nie ma z niej już dawno ani śladu! Cóż to za okrucieństwo ze strony mojej matki, żeby mnie tak długo zostawiać bez pożywienia!

Teraz Akka była pewna, że rodzice orlęcia zostali zabici, i pomyślała sobie, że gdyby pozwoliła temu pisklęciu umrzeć z głodu, pozbyłaby się całej rodziny rabusiów. Mimo to nie mogła się zdecydować, aby opuszczonemu orlęciu dać zginąć nędznie, skoro było w jej mocy uratować mu życie.

— Czego się tak gapisz na mnie?! — krzyknęło orlę. — Czy nie słyszysz, że chcę jeść?

Akka rozwinęła skrzydła i poleciała szybko nad jeziorko. Niebawem ukazała się znowu w gnieździe z pstrągiem w dziobie.

Lecz kiedy położyła rybę przed orlątkiem, to rozgniewało się ogromnie.

— Myślisz, że ja to będę jadł? — krzyknęło, odtrąciło rybę i udeżyło Akkę ostrym swym dziobem. — Przynieś mi pardwę albo leminga, słyszysz?

Lecz teraz Akka wysunęła głowę i wymierzyła orlęciu porządne uderzenie w kark.

— Słuchaj, co ci powiem! — zawołała. — Jeśli ci mam przynosić pokarm, to musisz się zadowalać tym, co ci mogę złowić. Twoi rodzice nie żyją, od nich więc nie możesz się spodziewać żadnej pomocy. Jeśli jednak wolisz tutaj umrzeć z głodu, oczekując pardw i lemingów, to nie mam nic przeciwko temu.

Rzekłszy to, Akka odleciała natychmiast i dopiero po pewnym czasie ukazała się znowu w gnieździe. Orle tymczasem zjadło rybę i gdy mu Akka podała drugą, pochłonięło ją natychmiast, chociaż łatwo było poznać, jak bardzo mu nie smakuje.

Teraz Akka miała ciężkie zadanie. Stare orły nie powróciły i ona sama jedna musiała dostarczać orlęciu pożywienia. Przynosiła mu ryby i żaby, a taki pokarm zdawał się nieźle służyć młodemu orłu, gdyż rósł i nabierał siły. Wkrótce zapomniał zupełnie o swoich rodzicach i zdawało mu się, że Akka jest jego prawdziwą matką. Akka zaś kochała go jak własne dziecko. Wychowywała go troskliwie i dokładała wszelkich starań, aby go odzwyczaić od dzikich narowów i pychy.

Po upływie kilku tygodni Akka poczuła, że zbliża się czas, w którym gęsi tracą swe pióra i zdolność do lotu. Wiedziała, że przez cały miesiąc nie będzie w stanie przynosić pisklęciu pożywienia i że będzie ono musiało zginąć marnie.

— Słuchaj, Gorgo — rzekła Akka pewnego dnia do orlęcia. — Nie będę ci już mogła przynosić tutaj ryb i trzeba, abyś odważył się przenieść w dolinę. Tam będę ci nadal dostarczać pożywienia. Musisz wybierać: czy wolisz tutaj w górze umrzeć z głodu, czy też spuścić się na dół, co zresztą możesz także życiem przypłacić.

Nie namyślając się ani chwili Gorgo stanął na krawędzi gniazda. Nie zadał sobie nawet tyle trudu, by zmierzyć odległość wzrokiem, lecz rozpostarł małe skrzydła i rzucił się w dół. Zakręcił się wprawdzie kilka razy w powietrzu, skrzydłami jednak posługiwał się zręcznie i dostał się bez szwanku do doliny.

Odtąd Gorgo spędzał lato z gąsiętami i stał się wkrótce ich dobrym towarzyszem. Ponieważ sam uważał się także za młodego gąsiora, więc starał się bardzo wieść taki tryb życia jak one. Kiedy gąsięta wypływały na jezioro, biegł za nimi, aż raz niemalże nie utonął. Wstydził się ogromnie, że nie może nauczyć się pływać, i poszedł uzalić się do Akki.

— Dlaczego nie mogę się nauczyć pływać tak samo jak one? — pytał.

— Kiedy leżałeś na urwisku, urosły ci zbyt zakrzywione palce i za duże szpony — odrzekła Akka. — Nie martw się jednak z tego powodu, będzie z ciebie mimo to z czasem porządny ptak.

Skrzydła młodego orła urosły wkrótce tak, że mogły go już unieść. Dopiero jednak na jesieni, kiedy młode gęsi miały się zacząć uczyć latać, przyszło mu na myśl, że on także może użyć swych skrzydeł do lotu. Teraz nastały rozkoszne czasy dla orła, w tej bowiem sztuce okazał się wkrótce pierwszym.

Towarzysze jego nie zostawiali w powietrzu nigdy dłużej, niż to było konieczne, on jednak unosił się przez cały dzień, wysoko w górze i ćwiczył się w lataniu. Wciąż jeszcze nie spostrzegał, że należy do zupełnie innego gatunku ptaków niż gąsięta. Swoją drogą niejedno dziwiło go bardzo i coraz to przychodził do Akki z nowymi pytaniami.

— Dlaczego pardwy i lemingi uciekają, skoro ujrzą mój cień w górze na skale? — pytał. — Innych gęsi wcale się nie boją.

— Kiedy leżałeś tam w górze na skale, skrzydła twoje urosły zbyt i małe zwierzątka boją się ich — rzekła Akka. — Ale nie martw się tym, będzie z ciebie mimo to z czasem porządny ptak.

Gorgo, nauczysz się latać, nauczył się sam łapać ryby i żaby» ale wkrótce zaczął się i nad tym zastanawiać.

— Skąd to pochodzi, że ja żywię się tylko rybami i żabami? — pytał. — A moi bracia i siostry tego nie czynią?

— Stąd to pochodzi, że nie miałam innego pożywienia dla ciebie w czasie gdy leżałeś tam, w górze, na skale — rzekła Akka. — Nie masz jednak powodu, aby się martwić, będzie z ciebie mimo to z czasem porządny ptak,

Kiedy dzikie gęsi z nadejściem jesieni odlatywały na południe, Gorgo przyłączył się do stada. Uważał wciąż jeszcze, że należy do gęsi. Lecz wokoło w powietrzu leciały niezliczone stada ptaków i widok orła

w stadzie Akki wzburzył je bardzo. Wkrótce stado dzikich gęsi otoczone zostało chmarą ciekawych ptaków objawiających głośno swe zdziwienie. Akka nakazywała im milczenie, ale niesposób było utrzymać na wodzy tyle złośliwych języków.

— Dlaczego one nazywają mnie orłem? — pytał Gorgo bezustannie i gorączkował się coraz bardziej. — Czyż nie widzą, że jestem dziką gęsią? Nie jestem przecież rabusiem pożerającym swych braci! Skądże im przyszło na myśl dać mi tak brzydką nazwę?

Pewnego dnia dzikie gęsi przelatywały nad zagrodą chłopską, gdzie na śmietniku grzebała gromada kur.

— Orzeł! Orzeł! — zagdakały kury i uciekły czym prędzej, aby się ukryć.

Lecz teraz już Gorgo, który słyszał zawsze o orłach jako o dzikich złoczyńcach, nie mógł opanować swego gniewu. Uderzył skrzydłami, spuścił się w dół i zatopił swe szpony w jednej z kur,

— Ja ci pokażę, że nie jestem orłem! — krzyknął ostro i silnie uderzył kurę zakrzywionym swym dziobem.

Nagle z góry usłyszał wołanie Akki. Posłuchał natychmiast i odleciał. Stara przodownica frunęła ku niemu, aby go ukarać.

— Coś uczynił?! — zawołała bijąc go skrzydłem. — Miałeś może zamiar rozerwać biedne kurczę? Powinienesz się wstydzić!

Kiedy jednak orzeł przyjął karę bez oporu, w szeregach ptaków wokoło rozległ się istny huragan drwin i wyzwisk. Orzeł słyszał to wszystko, spojrzał gniewnie na Akkę, jak gdyby chciał rzucić się na nią. Natychmiast przecież zmienił swój zamiar, uniósł się silnym uderzeniem skrzydeł wysoko w górę, tak wysoko, że go żadne wołanie dosięgnąć nie mogło, i bujał tam w górze, zaledwie widoczny.

W trzy dni później zjawił się znowu wśród dzikich gęsi.

— Teraz wiem, kim jestem — rzekł do Akki. — A ponieważ jestem orłem, muszę wieść takie życie, jakie przystoi orłu. Mimo to możemy pozostać razem jak dobrzy przyjaciele: ciebie i twoich nie tknę nigdy.

Lecz Akka postanowiła sobie, że oduczy tego orła drapieżności, i nie mogła zgodzić się, aby Gorgo prowadził życie drapieżnego ptaka.

— Myślisz, że będę żyła w przyjaźni z drapieżnikiem?! — zawołała. — Żyj tak, jak cię uczyłam, a wtedy wolno ci będzie pozostać w moim stadzie.

Oboje byli dumni i nieugięci, żadne nie chciało ustąpić i w końcu Akka zabroniła orłu pokazywać się w pobliżu swego stada i zawzięła się na niego do tego stopnia, że nikt w obecności Akki nie śmiał wymówić jego imienia.

Odtąd Gorgo żył samotny i unikany przez wszystkich, jak wszyscy wielcy rabusie. Bywał często smutny i z pewnością tęsknił za czasami, kiedy uważał się jeszcze za dziką gęś i igrał z wesołymi gęsietami.

Miedzy zwierzętami słynął ze swej odwagi. Mówiono o nim, że nie boi się niczego i nikogo, prócz swej przybranej matki Akki, i wiadomo było, że Gorgo nigdy jeszcze nie tknął dzikiej gęsi.

W NIEWOLI

Gorgo miał dopiero trzy lata i nie myślał jeszcze o ożenku i zbudowaniu domu, kiedy pewnego dnia został schwytany przez myśliwego i sprzedany do muzeum w Skansen pod Sztokholmem. Kiedy Gorgo przybył do Skansen, były tam już dwa orły. Trzymano je w klatce zbudowanej z żelaznych prętów i odrutowanej. Klatka stała na powietrzu i była bardzo duża, a żeby się orły czuły w niej jak na swobodzie,

posadzono w klatce nawet kilka drzew i usypano sporą górę z kamieni. Mimo to ptaki nie czuły się dobrze. Prawie cały dzień siedziały bez ruchu na jednym miejscu, ich piękne, ciemne upierzenie nastroszyło się i straciło połysk, z bezbrzeżną tęsknotą we wzroku patrzyły przed siebie.

W pierwszym tygodniu swego uwięzienia Gorgo czuł się jeszcze ożywiony i rześki, lecz stopniowo opanowywało go tępe zubożenie. Siedział spokojnie na tym samym miejscu, patrzył przed siebie, nie widząc nic, i nie spostrzegał wcale, że dni mijają.

Pewnego ranka, kiedy Gorgo siedział jak zwykle pogrążony w półśnie, usłyszał, że go ktoś z dołu woła.

— Kto mnie woła? — zapytał.

— Ależ Gorgo, czyż mnie już nie poznajesz? To ja, Paluszek który wędrował z dzikimi gęśmi.

— Czy i Akkę schwytano? — zapytał Gorgo takim głosem, jak ktoś, co budzi się z głębokiego snu, i musi dopiero zebrać myśli.

— Nie, Akka, biały gąsior i całe stado dzikich gęsi są już zapewne w Laponii — rzekł chłopiec. — Ja tylko zostałem schwytany.

Mówiąc to chłopiec zauważył, że Gorgo odwrócił oczy, i tak, jak poprzednio, patrzył nieruchomo w powietrze.

— Orle królewski! — zawołał chłopiec. — Nie zapomniałem, żeś mnie niegdyś odniósł z powrotem do dzikich gęsi i żeś darował życie białemu gąsiorowi. Powiedz mi, czy mógłbym ci w jaki sposób pomóc?

Gorgo podniósł nieco głowę.

— Nie przeszkadzaj mi, Paluszk — rzekł. — Śnię oto, że bujam wysoko w powietrzu, i nie chcę się zbudzić.

— Musisz używać ruchu i zajmować się tym, co się dzieje wokół ciebie — upominał go chłopiec. — Inaczej będziesz wkrótce wyglądał tak marnie jak inne orły tutaj.

— Pragnąłbym już być takim jak one. Pogrążyły się w takim bezwładzie, że nic już nie może ich poruszyć.

Kiedy nastąpiła noc i orły zasnęły, rozległo się lekkie skrobanie przy siatce drucianej pokrywającej klatkę orłów. Dwom starym i stępsiałym więźniom szmer ten nie przeszkadzał, tylko Gorgo się zbudził,

— Kto tam? — zawołał. — Kto rusza się na dachu?

— To ja, Gorgo, Paluszek — odrzekł chłopiec. — Usiłuję przepiłować drut, abyś mógł się wydostać.

Orzeł podniósł głowę i ujrzał wśród jasnej nocy, jak chłopiec piłuje gorliwie siatkę drucianą pokrywającą klatkę. Przez chwilę w sercu jego drgnęła nadzieja, lecz niebawem niewiara wzięła górę.

— Ach, Paluszk, jestem bardzo wielkim ptakiem — odezwał się. — Nie zdołasz przepiłować tylu drutów, abym się mógł wydostać. Porzuć lepiej od razu swój zamiar i zostaw mnie w spokoju.

— Spij sobie i nie troszcz się o mnie — odrzekł chłopiec. — Tej nocy z pewnością jeszcze nie skończę i następnej także nie. Postaram się jednak wyswobodzić cię, gdyż inaczej zmarniejesz tutaj doszczętnie.

Gorgo zasnął. Ale kiedy się następnego ranka obudził, ujrzał od razu, że już bardzo dużo drutów zostało przepiłowanych. Tego dnia nie czuł się już tak sennym jak dni poprzednich. Machał często skrzydłami i skakał po gałęziach, aby przywrócić sprężystość swym sztywnym członkom.

Pewnego ranka, kiedy pierwszy brzask zajaśniał na niebie, Paluszek obudził orła.

— Spróbuj teraz, Gorgo! — powiedział.

Gorgo spojrzał w górę. Chłopiec istotnie przepiłował wszystkie druty, w górze w siatce drucianej znajdował się wielki otwór. Gorgo poruszył skrzydłami i uniósł się w górę. Dwa razy opadł z powrotem do klatki, w końcu jednak udało mu się wydostać szczęśliwie na wolność.

Bijąc z dumą skrzydłami uniósł się wysoko pod obłoki. Mały Paluszek stał w dole i spoglądał za nim z żalem. Ach, jakżeby pragnął, aby zjawił się ktoś, kto by i jemu zwrócił wolność!

Chłopiec oswoił się już zupełnie w Skansen, Zawarł znajomość ze wszystkimi zwierzętami i zyskał sobie wśród nich wielu przyjaciół. Przyznawał zresztą, że w tym muzeum na wolnym powietrzu było bardzo dużo ciekawych i pożytecznych rzeczy do oglądania, i bez trudu mógł wypełnić sobie czas, a jednak myśli ciągnęły go każdego dnia do kochanego gąsiora Marcina i wszystkich towarzyszy podróży.

„Gdybym tylko nie był związany przyrzeczeniem, znalazłbym z pewnością ptaka, który by mnie zaniósł do dzikich gęsi” — myślał.

Wydaje się to dość dziwne, że Klemens Larson nie zwrócił chłopcu wolności, ale trzeba pamiętać, jak bardzo wzruszony był stary grajek, gdy opuszczał Skansen. Owego ranka, kiedy odjeżdżał, postanowił co prawda postawić malcowi jedzenie w niebieskiej miseczce, lecz na nieszczęście nie mógł znaleźć takiej miseczki. Potem zeszli się wszyscy ludzie ze Skansen — Lapończycy, dziewczęta z Dalama, murarze i ogrodnicy — aby się z nim pożegnać, i Klemens nie miał już czasu postarać się o niebieską miseczkę. Nadeszła godzina odjazdu i w końcu, nie mogąc sobie inaczej poradzić, poprosił jednego z Lapończyków o pomoc.

— Słuchaj — rzekł do niego. — Tutaj w Skansen przebywa jeden z rodu krasnoludków, któremu przynoszę co dzień jedzenie. Czy chcesz mi wyrządzić przysługę? Oto masz trochę pieniędzy, kup za nie niebieską miseczkę i postaw ją jutro z kaszą i mlekiem na schodach do chaty.

Lapończyk zdziwił się bardzo, lecz Klemens nie miał już czasu objaśnić mu tego bliżej, gdyż musiał się śpieszyć na pociąg.

Lapończyk udał się rzeczywiście do miasta, aby kupić niebieską miseczkę, nie dostawszy jednak niebieskiej, która by mu się wydawała odpowiednia, kupił białą miseczkę i stawiał ją sumiennie z kaszą i mlekiem co dzień na schodach.

W ten sposób chłopiec nie został zwolniony ze swej przysięgi. Wiedział wprawdzie, że Klemens odszedł, on sam jednak nie mógł się oddalić.

I oto tej nocy chłopiec tęsknił bardziej niż zwykle za wolnością, a działo się to dlatego, iż teraz nastała naprawdę wiosna i lato. Podczas podróży cierpiał przecież często z powodu deszczu i niepogody i w pierwszych czasach swego pobytu w Skansen myślał nieraz, iż może i dobrze się stało, że musiał przerwać podróż, gdyż jeśliby w maju przybył do Laponii, zmarłby tam z pewnością. Teraz jednak ociepliło się zupełnie — łąki jaśniały świeżą zielenią, brzozy i topole okryły się jedwabistą szatą liści, drzewa wiśniowe i wszelkie inne drzewa owocowe pokryły się kwieciami, krzewy jagodowe miały już nawet małe owoce na gałązkach, dęby roztulały ostrożnie swe liście, groch, kapusta i fasola zieleniły się na grządkach warzywnych w Skansen.

„Teraz byłoby i w Laponii ciepło i pięknie — myślał chłopiec. — Jakżebym chętnie siadł któregoś poranku na grzbiecie gąsiora Marcina. Jakaż by to pyszna była jazda teraz w ciepłym, cichym powietrzu, w górze, skąd mógłbym spoglądać na ziemię ustrojoną zieloną trawą i wspaniałym kwieciami!”

Chłopiec zajęty był jeszcze swymi myślami, kiedy nagle w powietrzu zaszumiały skrzydła orle i Gorgo siadł na dachu klatki obok Paluszka.

— Chciałem tylko wypróbować moje skrzydła, aby się przekonać, czy mnie dobrze poniosą — rzekł. — Nie myślałeś chyba, że cię zostawię tutaj w niewoli? Siądź teraz na moim grzbiecie, a poniosę cię do twoich towarzyszy podróży.

— Nie, to niemożliwe — rzekł chłopiec. — Dałem słowo, że zostanę tutaj, dopóki wolność nie będzie mi zwrócona.

— Co też za głupstwa wygadujesz? — odparł orzeł. — Najpierw sprowadzono cię tutaj wbrew twojej woli, a potem zmuszono jeszcze do pozostania. Takiego przyrzeczenia nie należy dotrzymywać, to

chyba sam rozumiesz.

— Muszę go jednak dotrzymać — odrzekł chłopiec. — Nie, kochany Gorgo, dziękuję ci za twoje dobre chęci, ale nie możesz mi pomóc.

— Tak? Naprawdę nie mogę?! — zawołał Gorgo. — Zaraz zobaczysz!

W tejże chwili Gorgo chwycił chłopca w wielkie swe szpony, uniósł się wraz z nim pod obłoki i pomknął w kierunku północnym.

PONAD GÄSTRIKLANDEM



KOSZTOWNA PRZEPASKA

Sroda, 15 czerwca

Orzeł leciał wciąż w kierunku północnym, póki nie oddalił się na znaczną odległość od Sztokholmu. Wtedy opuścił się na zarosłe lasem wzgórze i rozluźnił szpony, w których trzymał chłopca.

Lecz ledwie Nils poczuł się wolnym, natychmiast, jak mógł najprędzej, puścił się z powrotem ku miastu.

Jednym skokiem orzeł dopadł go i chwycił znowu w pazury,

— Czy masz ochotę wrócić do więzienia? — zapytał.

— Czego ty właściwie chcesz ode mnie? Wolno mi chyba pójść tam, gdzie mi się podoba?! — zawołał chłopiec usiłując uwolnić się od orła.

Lecz Gorgo ujął go znowu w swe silne szpony i poniósł dalej.

Przelatywał teraz z chłopcem ponad Upplandią i nie zatrzymał się, póki nie dolecieli do wielkiego wodospadu przy Älvkarleby. Tutaj siadł na kamieniu pośrodku potoku, tuż pod pieniącym się wodospadem, i dopiero wtedy puścił na wolność swego więźnia.

Chłopiec spostrzegł od razu, że stąd umknąć przed orłem było niesposób. Z góry spadał pienący się potok, a wokoło woda toczyła się i rozbijała z dzikim szumem. Był bardzo zmartwiony, że zmuszono go w ten sposób do złamania słowa, odwrócił się plecami do orła i nie chciał już odzywać się do niego ani jednym słowem.

Tymczasem orzeł, uwięziwszy chłopca w miejscu, z którego malec nie mógł uciec, począł opowiadać, jak został wychowany przez Akkę z Kebnekajse i jak teraz jest we wrogich stosunkach ze swą wychowawczynią.

— Rozumiesz więc chyba, Paluszku, dlaczego chciałem cię odnieść do dzikich gęsi — powiedział na zakończenie. — Słyszałem, jak bardzo Akka cię lubi, i dlatego pragnę cię prosić, abyś przywrócił między nami zgodę.

Skoro chłopiec usłyszał, że orzeł nie porwał go jedynie przez upór, stał się znów bardzo uprzejmym dla niego.

— Byłbym ci bardzo chętnie dopomógł w tej sprawie — rzekł — jestem jednak związany swą obietnicą. — I opowiedział, jak dostał się do niewoli, i że Klemens Larson opuścił Skansen nie zwolniwszy go z danego słowa.

Mimo to orzeł za żadną cenę nie chciał rzec się swego planu.

— Posłuchaj, Paluszk — rzekł. — Moje skrzydła zanoszą nas wszędzie, gdzie zapragniesz, a moje oczy odkrywają wszystko, co tylko zechcesz zobaczyć. Opowiedz mi, jak wyglądał człowiek, który związał cię słowem, a ja go odszukam i zaniosę cię do niego. Wtedy postarasz się przekonać go, aby cię zwolnił z przyrzeczenia.

Ten pomysł trafił chłopcu do przekonania.

— Tak, tak, Gorgo, widać od razu, jaką mądrą miałeś wychowawczynię — rzekł. I opisał orłu dokładnie Klemensa Larsona, dodając jeszcze, iż słyszał w Skansen, że stary grajek pochodził z Hälsinglandu.

— Przeszukamy więc cały Hälsingland od Lingbo do Mellansjö, od Storbergu do Horslandu! — zawołał orzeł. — Jutro, zanim wieczór zapadnie, będziesz się mógł rozmówić z Klemensem.

— Obiecujesz chyba więcej, niż potrafisz dotrzymać, Gorgo — rzekł chłopiec.

— O, byłbym marnym orłem, gdybym tego nie potrafił! — odrzekł Gorgo.

Od chwili wyruszenia z Älvkarleby Paluszek i orzeł zaprzyjaźnili się serdecznie; chłopiec siedział już teraz na grzbiecie Gorga. W ten sposób mógł znów oglądać okolice, ponad którymi przelatywali. Póki bowiem orzeł trzymał go w swych szponach, nie widział nic wokoło siebie. Było to może i dobrze dla niego, że nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, co mijali, gdyby bowiem wiedział, że rano przelatywali nad tak pięknymi miejscowościami, jak stare upsalskie wzgórze królewskie, wielka fabryka w Öserby, kopalnia w Danemora i stary zamek w Örbyhus — martwiłby się zapewne, że nic z tego wszystkiego nie widzi.

Teraz orzeł niósł go szybko ponad Gästriklandem. W południowej części nie było wiele rzeczy godnych widzenia. Roztaczała się pod nimi olbrzymia równina, prawie zupełnie pokryta lasem iglastym. Dalej jednak, na północ, ciągnął się w poprzek krainy — od granicy Dala do Zatoki Botnickiej — piękny szmat ziemi z lesistymi wzgórzami, lśniącymi jeziorami i szumiącymi potokami. Znajdowały się tam gęsto zaludnione parafie zbudowane wokoło białych kościołów, krzyżowały się szosy i drogi kolejowe, domy tonęły w zieleni, a kwitnące ogrody słały ku górze swe rozkoszne wonie.

Nad wodospadami ujrzał chłopiec kilka wielkich kuźnic zupełnie podobnych do tych, jakie widywał w okręgu górniczym. W mniej więcej równych odstępach ciągnęły się one jednym szeregiem aż do morza, gdzie bieleły grupy domów wielkiego miasta.

Na północ od tej gęsto zaludnionej okolicy rozpoczynały się znów ciemne lasy; tylko że grunt nie był już tak płaski, lecz tworzył wzgórza i doliny, wznosił się i opadał jak wzburzone morze.

„Kraj ten ma suknię z gałązek iglastych, a kaftan z kamieni polnych — pomyślał chłopiec. — W środku przewiązuje go pas niezwykle kosztowny, zahaftowany połyskującymi błękitem jeziorami i kwiecistymi łąkami; wielkie kuźnice zdobią go niby rzędy drogich kamieni, a za spinkę służy mu wielkie miasto z zamkami, kościołami i grupami domów”.

Gorgo, przeleciawszy z chłopcem kawał drogi nad lasami ciągnącymi się na północy, opuścił się na wysoki szczyt nagiej skały, a kiedy chłopiec zeskoczył na ziemię, rzekł do niego:

— Znajdą się tu w lesie różne przysmaki dla ciebie, a ja sam nie pozbędę się gniotącego mnie wspomnienia o więzieniu i nie poczuję się zupełnie wolnym, dopóki nie zapoluję. Nie będziesz się chyba lękał, jeśli od ciebie odlecę?

— O, nie — rzekł chłopiec — leć sobie.

— Możesz iść, dokąd zechcesz, tylko o zachodzie słońca musisz tu wrócić — rzekł orzeł i odleciał.

Chłopiec poczuł się nieco samotny i opuszczony, kiedy tak siedział na kamieniu i patrzył na otaczające go zewsząd nagie urwiska górskie i wielkie lasy. Nie siedział jednak długo, kiedy z lasu w dole doleciał go śpiew i ujrzał coś jasnego, przeświecającego między drzewami. Niebawem rozpoznał niebiesko— żółtą chorągiew, a po. śpiewie i wesołych okrzykach odgadł, że chorągiew niosą na przedzie pochodu. Dość długo jednak trwało, zanim mógł dojrzeć, jakiego rodzaju był ten pochód. Chorągiew posuwała się zygzakowatymi ścieżkami i Nils Holgerson był ogromnie ciekawy, dokąd ci ludzie z chorągwią dążą. Chyba nie do nagiego urwiska górskiego, na którym on siedział, tego nie mógł sobie wyobrazić, A jednak tak było. Oto chorągiew wynurzyła się na skraju lasu, a za nią wysypał się rój ludzi, którym chorągiew wskazywała drogę. Na całej górze zapanował ruch i ożywienie i tego dnia chłopiec miał tyle do oglądania, że nie nudził się ani przez chwilę.

WIELKIE ŚWIĘTO LASU

Na szerokim grzbiecie górskim, na którym Gorgo zostawił chłopca, szalał przed mniej więcej dziesięciu laty pożar. Zwęglone drzewa ścięto i usunięto i w tych miejscach, gdzie wielki obszar, zniszczony pożarem, stykał się z lasem, zaczęła ukazywać się stopniowo drobna roślinność. Większa część leśnego pogorzeliska pozostawała jednak wciąż jeszcze pusta, naga i opuszczona. Między kamieniami tkwiły wprawdzie pieńki drzew, świadczące o tym, że niegdyś stał tutaj wielki, wspaniały las, lecz nigdzie z ziemi nie wyrastały młode pędy.

Ludzie dziwili się temu, jak dużo trzeba było czasu, aby pusta płaszczyna pokryła się na nowo lasem, lecz zapominali, że od owego czasu, kiedy szalał tutaj ogień, ziemia pozbawiona była wszelkiej wilgoci. Nie tylko drzewa spaliły się zupełnie oraz znikło wszystko, co rosło na gruncie leśnym — wrzos, paproć, mech i borówki — lecz również i ziemia, pokrywająca grunt skalisty, stała się po tym pożarze tak sucha i sypka jak popiół. Każdy podmuch wiatru rozwiewał ją, a ponieważ wyżyna wystawiona była na częste wiatry, więc jeden złom kamienny po drugim zostały doszczętnie odarte z ziemi. Do tego spłukiwał ją jeszcze deszcz. Ostatecznie więc, kiedy tak wiatr z deszczem dokładały przez dziesięć lat wszelkich starań, aby górę wymieść, stała się ona naga i zdawało się, że pozostanie już taką do końca świata.

Lecz pewnego dnia, zaraz na początku lata, wszystkie dzieci ze wsi, w której okręgu znajdowała się owa przez pożar nawiedzona góra, zebrały się przed szkołą. Każde dziecko niosło na ramieniu rydel albo motykę oraz paczkę z zapasami żywności w ręku. Dzieci te wyruszyły długim sznurem do lasu. Na przedzie niesiono chorągiew, nauczycielki i nauczyciele szli obok niej, a pochód zamykało kilku leśniczych i koń obładowany stosem młodych choinek oraz nasionami sosnowymi.

Pochód ten nie zatrzymał się w żadnym z gaików brzozowych znajdujących się w pobliżu wsi, lecz wędrował daleko w górę, do lasu. Wstępował coraz wyżej po opuszczonych od dawna ścieżkach, a lisy wysuwały głowy ze swych kryjówek, pytając, co to za pasterze ciągną na górę. Przechodził obok opuszczonych osad, gdzie dawniej każdej jesieni wypalano węgle, a krzywodzioby zwracały zakrzywione swe dziobki w stronę drogi i nie mogły pojąć, co by to mogli być za węglarze, którzy wdzierają się w głąb lasu.

W ten sposób pochód doszedł wreszcie do wielkiej, wypalanej płaszczyny górskiej. Sterczały tam skały zupełnie nagie, pozbawione delikatnych liści pnączy, którymi niegdyś były pokryte, widniały płyty kamienne ogołoczone z pięknego, srebrzystobiałego mchu oraz delikatnego, ślicznego porostu. Wokoło czarnych kałuż wody, która nagromadziła się w szczelinach skał i zagłębieniach, nie rosły ani liście

czerwca, ani szczawik. Na małych przestrzeniach pokrytych jeszcze ziemią, między głazami i w szczelinach, nie widać było ani paproci, ani gwiazdnicy, ani białej skalnicy — nigdzie nie było śladu tej zieleni, czerwieni, puszystości, miękkości i delikatności, które zazwyczaj stroją grunt leśny.

I nagle stało się tak, jak gdyby jasny promień słońca zaświecił na szarej płaszczyźnie górskiej, kiedy się dzieci wiejskie po niej rozproszyły. Było to przecież znowu coś radosnego i pięknego, coś świeżego i jasnego, coś młodzieńczego i rozwijającego się! Może ci nowi przybysze potrafią tchnąć nieco życia w biedny, opuszczony grunt leśny!

Skoro dzieci wypoczęły i posiliły się, pochwyciły za motyki i rydle i zaczęły pracować. Leśniczy pokazywali im, co trzeba robić, i dzieci sadziły w każdą najmniejszą grudkę ziemi, którą mogły dostrzec, małe latorośle sosnowe.

Podczas sadzenia dzieci rozmawiały z sobą mądrze o tym, jak to te małe roślinki, które one sadzą teraz w ziemi, umocnią grunt i nie dadzą go zmieść wiatrom. I więcej jeszcze pożytku przecież stąd wyniknie, gdyż pod korzeniami utworzy się nowa ziemia, w nią zapadną nasionka i za kilka lat tam, gdzie teraz nie ma nic prócz nagich skał, dzieci będą mogły zbierać maliny i jeżyny. A małe roślinki, które właśnie sadzą, wyrosną z czasem na ogromne drzewa — z nich budować będzie można kiedyś wielkie domy i potężne okręty.

Gdyby zaś one, dzieci, nie przyszły na wypalony grzbiet górski i nie zasadziły drzewek, dopóki jeszcze trochę ziemi leży w szczelinach, to wiatr i deszcz zmiotłyby to wszystko doszczętnie i nigdy już nie można by tu było nic zasadzić. Nigdy więc na tej górze nie wyrósłby nowy las.

— Tak, bardzo dobrze, żeśmy tutaj przyszły — mówiły dzieci.

— Był już naprawdę najwyższy czas.

I dzieci wydawały się sobie bardzo ważne.

W czasie kiedy dzieci pracowały na górze, rodzice zostali w domu. Po pewnym jednak czasie wzięła ich ochota zobaczyć, jak też idzie dzieciom praca na górze. Myśleli sobie, że z pewnością jest to niemożliwe, aby tak małe stworzenia mogły zasadzić las, a jednak warto przyjrzeć się ich robocie. I zanim się obejrzel, byli już na drodze do lasu. Kiedy dotarli do ścieżki górskiej, spotkali się z sąsiadami z innej wsi.

— Czy idziecie na górę, na pogorzelisko?

— Tak, tam i właśnie idziemy.

— W odwiedziny do dzieci?

— Tak, chcemy zobaczyć, co one tam robią.

— To jest tylko zabawa.

— Rozumie się, wiele tam drzew z tego nie wyrośnie.

— Mamy z sobą maszynkę do kawy, aby się dzieci pokrzepiły, bo cały dzień nic gorącego nie piły.

Rodzice, dotarłszy do pogorzeliska, z początku zwracali tylko uwagę na to, jak ładnie wyglądają różowe twarzyczki dzieci na szarej górze. Lecz potem patrzyli już uważnie, jak dzieci ich pracowały: jedne sadziły roślinki, inne żłobiły bruzdy i rzucały w nie nasionka, inne znów wrywały zielska, aby nie zagłuszyły młodych drzewek.

Widzieli także, jak poważnie i gorliwie ich dzieci traktowały tę pracę — zaledwie miały czas oderwać od niej oczy.

Jeden z ojców przyglądał się przez jakiś czas, potem sam zaczął wrywać zielska. Dla zabawy — rozumie się. Dzieci były tutaj nauczycielami, gdyż nauczyły się już sztuki sadzenia drzewek i mogły pokazać rodzicom, jak się to robi.

W końcu wszyscy dorośli, którzy przyszli przyglądać się dzieciom, zabrali się do pracy. Przez to stała się ona jeszcze bardziej zajmującą. A niebawem przybyli dzieciom nowi pomocnicy.

Teraz bowiem potrzeba było więcej narzędzi i kilku chłopców o chyżych nogach posłano do wsi po motyki i rydle. Kiedy ujrzano ich we wsi, pędzących obok chat, mieszkańcy wychodzili na próg i pytali:

— Co to się stało? Czy przytrafiło się jakie nieszczęście?

— Nie, nie, tylko cała wieś jest na górze na pogorzelisku i pomaga przy sadzeniu nowego lasu.

— Hej, jeśli cała wieś jest na górze, to i my nie chcemy zostać w domu!

I wszyscy podążyli w stronę pogorzeliska.

Z początku nowi przybysze stali bezczynnie i przyglądali się tylko, ale już po chwili nie mogli się powstrzymać od wzięcia udziału w pracy. Jeśli bowiem uprawa roli na wiosnę z myślą o zbożu, które z tej roli wyrośnie, jest zajęciem bardzo zajmującym, to jednak ta robota miała jeszcze więcej uroku.

Przecież tutaj z tego posiewu miały powstąpić nie wątłe źdźbła, lecz potężne drzewa z wysokimi pniami i rozłożystymi gałęziami. Tutaj szło nie o żniwo jednego lata, lecz o rozrost przez długi szereg lat. Za sprawą tego posiewu miało na tym pustkowiu powstać nowe życie: brzęczenie owadów, śpiew drozdów, parzenie się głuszców. Miał to być pomnik, który wznoszono dla przyszłych pokoleń. Dotychczas zostawiano im w spuściźnie nagą, spustoszoną górę, teraz otrzymają wspaniały las. A kiedy pojmą wielkość tego dzieła, zrozumieją, że przodkowie ich byli to ludzie dobrzy i mądrzy i będą ich wspominać z czcią i z wdzięcznością.

DZIEŃ W HÄLSINGLANDZIE



WIELKI, ZIELONY LIŚĆ

Czwartek, 16 czerwca

Następnego ranka chłopiec na grzbiecie Gorga przelatywał ponad Hälsinglandem. Kraina ta roztaczała się pod nim, opromieniona blaskiem; na drzewach iglastych zieleniły się młode, jasne pędy, gaiki brzozowe pokryły się świeżą zielenią, łąki nową, soczystą trawą, a na polach falowały młode, zielone lany zboża. Była to okolica położona wysoko, górzysta, ale środkiem jej ciągnęła się otwarta, uśmiechnięta dolina, z której rozchodziły się w obie strony inne doliny, jedne krótkie i wąskie, inne długie i szerokie.

„Tę krainę można porównać z liściem drzewa — myślał Nils Holgerson — jest bowiem tak zielona jak liść, a doliny rozgałęziają się w niej zupełnie w ten sam sposób jak nerwy na rozpostartym liściu”.

Z wielkiej, głównej doliny rozchodziły się najpierw potężne boczne doliny — jedna na wschód, druga na zachód, a potem — już tylko małe dolinki, aż ku północy. Tutaj dolina wyciągała znów niby dwa silne ramiona, ciągnęła się jeszcze na pewnej przestrzeni dalej, potem zwężała się coraz bardziej, aż wreszcie gubiła się w gąszczu,

W pośrodku wielkiej doliny płynęła szeroka, wspaniała rzeka, która w wielu miejscach rozszerzała się tworząc jeziora. Tuż nad rzeką leżały łąki jakby zasiane małymi, szarymi stodołami; za łąkami ciągnęły się pola, a na granicy doliny z lasem stały zagrody. Były one okazałe i ładnie zbudowane i jedna stała obok drugiej w nieprzerwanym niemal szeregu.

Kościół wznosił się wysoko na brzegu rzeki, a dokoła nich skupiały się zagrody tworząc wielkie wsie. Inne grupy domów tłoczyły się wokoło stacji kolejowych oraz wokoło tartaków, które wznosiły się tu i ówdzie nad jeziorami i rzekami, a które łatwo było rozpoznać po stosach piętrzących się desek.

Doliny boczne były równie, jak dolina środkowa, usiane jeziorami i łąkami, wioskami i zagrodami. Uśmiechnięte i pogodne, wsuwały się one między ciemne góry, które stopniowo tak je ścisnęły, że w

końcu dolinki zwały się zupełnie, zostawiając za ledwie tyle miejsca, aby mógł przepłynąć mały potok.

Na górach między dolinami wznosił się las iglasty. Grunt był nierówny i mnóstwo głazów zalegało go tam i ówdzie w dzikim nieładzie, lecz las pokrywał to wszystko niby kożuch rozpostarty na graniastym cieple.

Tak, była to piękna kraina. Chłopiec oglądał ją dokładnie, gdyż orzeł szukał przecież starego Klemensa Larsona; przelatywał więc wciąż niezmordowanie z jednej doliny do drugiej, wypatrując staruszkę.

Z nadejściem ranka rozbudziło się życie i ruch w zagrodach. W oborach, które w tej okolicy były bardzo duże i wysokie i posiadały zarówno kominy, jak i szerokie okna, otwierano drzwi na rozcież i wypuszczano krowy. Były to piękne, białe, delikatnie zbudowane i gibkie bydłeta, mocne w nogach i tak żywe, że wyprawiały najzabawniejsze skoki. Wypuszczono także cielęta i owce, a i te zdawały się być w najlepszych humorach.

Z każdą chwilą wzrastało ożywienie. Kilka młodych dziewcząt z tłumokami na plecach chodziło między bydłem. Chłopak z długim kijem w ręku zganiał owce, piesek kręcił się między krowami i szczekał gniewnie na zwierzęta, które nie chciały zachowywać porządku. Chłop zaprzęgał konia do wozu, ładował osetki masła, kręgi sera i rozmałą inną żywność. Rozlegały się śmiechy i śpiewy, nawet bydło było tak wesołe, jak gdyby dziś przypadał jakiś nadzwyczajny dzień świąteczny.

Wkrótce ruszyli wszyscy w drogę do lasu. Jedno dziewczę szło na czele i wabiło bydło rozgłośnym śpiewem. Za nią kroczył pochód długim szeregiem. Pastuch i pies pasterski zabiegali to tu, to tam i dawali baczenie, żeby żadne zwierzę nie schodziło z drogi. W tyle szedł gospodarz i jego parobek. Szli oni obok wozu, aby go uchronić od wywrócenia, gdyż droga prowadziła wąską, kamienistą ścieżką leśną.

Czy jest taki zwyczaj w Hälsinglandzie, że wieśniacy wypędzają bydło w lasy jednego dnia, czy też zdarzyło się tak tego roku przypadkowo — dość że Nils Holgerson widział takie rozochoczone pochody ludzi i bydła, dążące z każdej doliny i każdej zagrody do odludnego lasu i napęniającego go życiem.

W ciemnych lasach w górze słyszał przez cały dzień rozlegające się śpiewy pasterek i brzęk dzwonek krow. Większość miała uciążliwą drogę przed sobą i chłopiec widział, jak wlekli się z wielkim trudem przez bagniska, mokradła i musieli często okrążyć drogę. Wózki uderzały często o głazy i przewracały się, lecz wędrowcy przezwyciężali wszystkie trudności z wesołym śmiechem i niewyczerpanym humorem.

Przed wieczorem przybyli na karczowisko, gdzie zbudowana była niska obora i kilka małych, starych szałasów. Kiedy krowy dotarły do miejsca między szałasami, zaryczały z zadowoleniem, jak gdyby poznając je, i zabrały się zaraz do spożywania zielonej, soczystej trawy. Wśród żartów, wesołych rozmów i okrzyków parobcy przynieśli wodę i paliwo, a to, co było na wozie, zniesiono do największego szałas. Wkrótce z komina wzniósł się dym, pasterki, pastuszkowie i gospodarze rozsiedli się na dworze wokoło płaskiego kamienia, który miał służyć za stół, i spożywali obiad.

Orzeł Gorgo był stanowczo przekonany, że znajdzie Klemensa Larsona wśród ludzi dążących do lasu. Gdziekolwiek też dostrzegał stado bydła, opuszczał się natychmiast i bystrym swym wzrokiem czynił baczny przegląd. Lecz godzina za godziną mijały, a Klemensa widać nie było. Przeleciawszy okolicę kilkakrotnie tam i z powrotem, orzeł pod wieczór doleciał do samotnej, górzystej ustroni, położonej na wschód od wielkiej głównej doliny. Znowu ujrzał szałas pasterski pod sobą: ludzie i bydło już przybyli, parobcy rąbali drzewo na ogień, a dziewczęta doły krowy.

— Patrzaj tam! — zawołał Gorgo. — Zdaje mi się, że teraz go mamy!

Spuścił się na dół i Nils Holgerson ku wielkiemu swemu zdziwieniu przekonał się, że Gorgo miał słuszość. Stał tam istotnie Klemens Larson i rąbał drzewo.

Gorgo siadł w lesie w niewielkiej odległości od szałas pasterskiego.

— Dokonałem więc tego, czego się podjąłem — rzekł i podniósł z dumą głowę. — Do ciebie teraz należy porozumieć się z tym człowiekiem. Ja tymczasem siądę tam na wierzchołku sosny i będę czekał na ciebie.

NOC NOWOROCZNA ZWIERZĄT

W szałasie górskim ludzie skończyli już robotę i zjedli kolację» lecz nie rozchodzili się jeszcze i siedzieli gawędząc. Dużo już czasu minęło, odkąd po raz ostatni spędzali tak piękną noc letnią w lesie w górach, toteż wszystkim się zdawało, że szkoda czasu na spanie. Jasno było jeszcze jak w dzień i pasterki gorliwie zajmowały się robótkami. Kiedy niekiedy jednak podnosiły głowy, patrzyły w las i uśmiechały się do siebie.

— Tak, oto znów jesteśmy w górach — mówiły.

I wieś wraz z całym jej niepokojem i gwarem zniknęła z ich pamięci, a las obejmował je błogą ciszą.

Kiedy w domu, w swych zagrodach myślały o tym, że będą musiały całe lato spędzić same w górach w lesie, nie mogły sobie wyobrazić, jak tam wytrzymają. Tymczasem, skoro tylko rozgościły się w szałasach pasterskich, poczuły, że przeżywają tu najlepsze chwile swego życia,

Z kilku szałasów, położonych w pobliżu, zeszli się młodzi chłopcy i dziewczęta, aby się wzajemnie powitać. Na łące więc przed szałasami siedziała spora gromada ludzi, a mimo to rozmowa nie kleiła się jakoś. Chłopcy musieli następnego ranka wracać w doliny do wsi i pasterki dawały im jeszcze rozmaite drobne polecenia i pozdrowienia dla swoich.

Wtem najstarsza pasterka, oderwała się od robótki i rzekła wesoło:

— Nie trzeba, abyśmy dzisiaj spędzali wieczór tak milcząco, mamy przecież pośród siebie dwóch takich, co chętnie opowiadają bajki, Jeden — to Klemens Larson, który tutaj obok mnie siedzi, a drugi — to Bernard z Sunnansee, który tam oto stoi i spogląda w stronę góry Blackasen. Chodźcie, poprosimy, żeby każdy z nich opowiedział nam jakąś historię, a kto opowie ładniejszą, temu przyrzekam szalik, który właśnie kończę.

Propozycja ta zyskała wielkie uznanie. Wprawdzie ci, którzy mieli współzawodniczyć ze sobą, wymawiali się z początku, wkrótce jednak przystali. Klemens prosił Bernarda, aby on rozpoczął, a Bernard nie miał nic przeciwko temu. Nie znał on bliżej Klemensa Larsona, ale zdawało mu się, że od niego spodziewać się można było co najwyżej jakiejś starej historii o duchach i widmach. A że wiedział, iż takich opowiadań słucha się najchętniej, więc pomyślał, że zrobi najmądrzej, jeśli sam zaraz od tego rozpocznie.

— Przed wielu setkami lat — zaczął — zdarzyło się, że proboszcz z Dalsbo jechał w noc noworoczną tutaj gdzieś w pobliżu przez gęsty las. Otulony w ciepłe futro, w czapce futrzanej na głowie, siedział na koniu, a u siodła wisiał tłumok, w którym znajdował się kielich, książka do nabożeństwa i komża.

Zawezwano go z odległej wsi, ukrytej głęboko w lesie, do chorego; siedział przy nim do późnej nocy i rozmawiał. Teraz wreszcie znajdował się w drodze powrotnej, był jednak przekonany, że przybędzie do domu dopiero późno po północy.

Jadąc tak przez las w porze, w której zwykle leżał w domu na łóżku, proboszcz zadowolony był, że przynajmniej dopisuje mu pogoda. Noc była cicha, powietrze spokojne, a niebo zachmurzone. Księżyc w pełni szybował wielki i okrągły za chmurami i choć go widać nie było, rozsiewał jednak trochę światła. Gdyby nie ta odrobina blasku księżycowego, niełatwo dałaby się odróżnić droga od pól, było to bowiem wśród zimy i wszystko miało jednakowe, czarnobrunatne zabarwienie.

Tej nocy proboszcz jechał na koniu, którego bardzo cenił. Było to zwierzę wytrwałe i niemal tak

mądrale jak człowiek. Między innymi, potrafił znaleźć drogę z każdej miejscowości w parafii. Proboszcz przekonał się już o tym niejednokrotnie i zdawał się na to z taką ufnością, że jeżdżąc na tym koniu, nie myślał nigdy o drodze. Tak samo i teraz — jechał przez dziki las w ciemną noc, z opuszczonymi lejcamy, zatopiony w myślach.

Proboszcz myślał o kazaniu, które miał nazajutrz wygłosić, prócz tego o wielu innych rzeczach. Minęło sporo czasu, zanim znów zwrócił uwagę na drogę i zastanowił się, jak też daleko ujechał.

Kiedy wreszcie podniósł oczy i zobaczył, że las był wciąż jeszcze tak samo gęsty jak z początku, zadziwił się niezmiernie. Jechał już bardzo długo i teraz powinien był właściwie dojechać do zamieszkałej części parafii.

Dalsbo wyglądało wówczas zupełnie tak jak dziś jeszcze. Kościół, probostwo i wszystkie wielkie zagrody położone były w północnej części parafii wokoło Dallen, na południu zaś były same lasy i góry. Kiedy się więc proboszcz przekonał, że znajduje się wciąż jeszcze w głębi lasu, wiedział, że jest to południowa część parafii i że, aby dostać się do domu, musi jechać na północ.

Tymczasem widocznie jechał w kierunku przeciwnym. Na niebie nie świecił wprawdzie księżyc ni gwiazdy, według których mógłby się kierować, proboszcz jednak należał do tych ludzi, co to mają mapę nieba w głowie, i był głęboko przeświadczony, że jedzie w kierunku południowym, a może wschodnim. Miał już zamiar zawrócić konia, rozmyślił się jednak. Koń nie zbłądził dotychczas nigdy, więc i dzisiaj mu się to chyba nie przytrafiło. Daleko prędzej on, proboszcz, mógł się omylić. Pogрузzył się w głębokim zamyśleniu i nie zważał na drogę. Pozwolił koniowi biec dalej w tym samym kierunku, a sam oddał się znów swym rozmyśleniom.

Lecz niebawem został tak silnie uderzony wielką gałęzią, że nieomal nie spadł na ziemię. Teraz opamiętał się: musi zbadać, gdzie się właściwie znajduje. Lecz nic mu to nie pomogło.

Zbadał drogę. Jechał po miękkim mchu, na którym nie było śladu wydeptanej ścieżki. Koń jednak bez wahania biegł szybko naprzód. Teraz, podobnie jak poprzednio, proboszcz był przekonany, że jedzie w kierunku przeciwnym. Tym razem nie namyślał się długo, czy ma temu przeszkodzić. Chwycił za cugle, zmusił konia do odwrotu i udało mu się skierować go na drogę. Ale zaledwie na nią wkroczyli, koń znówu zboczył z drogi i pobiegł prosto w las.

Proboszcz tak był pewny, że odnalazł właściwą drogę, jak w ogóle czegokolwiek pewnym być można. „Skoro jednak koń tak się upiera — myślał — to zapewne chce wynaleźć lepszą drogę”. — I pozwolił mu biec dalej.

Koń biegł szybko naprzód, chociaż droga nie była gładka. Kiedy mu stawał na drodze pagórek, wspinał się nań zwinnie jak kozica. Kiedy trzeba było zbiegać z góry, opierał się nogami i zsuwał po stromych skałach.

„Żeby tylko wrócił do domu dość wcześnie, aby zdążyć jeszcze do kościoła — myślał proboszcz. — Co by powiedzieli moi parafianie, gdybym się spóźnił na nabożeństwo?”

Nie miał jednak wiele czasu na rozmyślanie, gdyż znalazł się w miejscu sobie znanym. Było to małe, ciemne jeziorko, w którym zeszłego roku łowił ryby. Teraz proboszcz spostrzegł, że obawy jego były słuszne. Znajdował się w głębi lasu, a koń biegł coraz dalej w kierunku południowo—wschodnim. Postanowił sobie widocznie odwiedzić swego pana jak najdalej od kościoła i od probostwa.

Proboszcz zeskoczył szybko z siodła. Nie mógł przecież pozwolić, aby go koń unosił w ten sposób w coraz większą głąsę. Musiał dostać się do domu, a ponieważ koń uparcie chciał biec w kierunku przeciwnym, proboszcz postanowił pójść piechotą i prowadzić konia za uzdę, dopóki nie dojdzie do znanej sobie drogi. Owinął więc lejce wokoło ręki i rozpoczął wędrówkę. Przedzierać się przez las w ciężkim futrze nie była to wcale łatwa sprawa, lecz proboszcz był silnym, zahartowanym mężczyzną, który się niczym nie zrażał. Niebawem jednak koń sprawił mu nowy kłopot. Zamiast kroczyć za nim, zarył

kopyta mocno w ziemię i nie chciał iść dalej.

Proboszcz nigdy nie bił tego konia i dziś nie chciał tego uczynić. Zamiast go więc uderzyć, zarzucił mu lejce na szyję i zostawił go na drodze.

— Musimy się widocznie rozstać, skoro chcesz koniecznie iść własną drogą — rzeki.

Lecz uszedł zaledwie kilka kroków, kiedy go koń dogonił i chwycił ostrożnie za rękaw usiłując zatrzymać. Proboszcz odwrócił się i spojrzał w oczy zwierzęciu, jak gdyby chcąc zrozumieć dziwne jego postępowanie.

Nie mógł pojąć, jak to właściwie było możliwe — a jednak mimo ciemności widział pysk konia bardzo dokładnie, mógł w nim czytać jak w twarzy ludzkiej i teraz pojął nagle, że koń odczuwa jakiś straszny niepokój i lęk. Rzucił on panu swemu spojrzenie, które było zarazem błagalne i pełne wyrzutu.

„Służyłem ci, ulegałem dzień w dzień twojej woli — zdawało się ono mówić. — Czyż nie możesz ustąpić mi tej jednej jedynej nocy?”

Proboszcz wzruszył się prośbą, którą wyczytał w oczach zwierzęcia.

Jasne było, że koń w tę noc potrzebował od niego jakiejś pomocy, a że proboszcz był dzielnym człowiekiem, więc postanowił pójść za nim. Nie wahając się już dłużej, doprowadził go do kamienia, z którego mógł wskoczyć na siodło, i rzekł:

„Idź, dokąd chcesz! Ponieważ pragniesz, abym ci towarzyszył, więc cię nie opuszczę. Nikt nie będzie mógł powiedzieć o proboszczu z Dalsbo, że się wzdragał pomóc komukolwiek w potrzebie”.

I pozwolił koniowi iść, dokąd chciał, zwracając tylko uwagę na to, aby się utrzymać na siodle. Była to jazda niebezpieczna i uciążliwa, droga wciąż prawie wiodła pod górę przez głuchy, niedostępny las, tak że o dwa kroki przed sobą trudno było dojrzeć cośkolwiek. A jednak proboszcz rozpoznawał, że wstępują na wysoką górę. Koń wdzierał się na strome skały i gdyby proboszcz sam kierował swym koniem, nie przyszłoby mu nigdy na myśl prowadzić go po takiej drodze.

„Nie masz chyba zamiaru wspiąć się na Blackasen?” — rzekł śmiejąc się, gdyż Blackasen była to, jak wiedział, najwyższa góra w Hälsinglandzie.

Jadąc tak, proboszcz zauważył, że nie tylko on i jego koń byli tej nocy w drodze. Słyszał staczanie się kamieni, trzask gałęzi; nasuwało to przypuszczenie, że gruby zwierz toruje sobie drogę przez las. A że w tej okolicy było dużo wilków, więc proboszcz pytał w końcu sam siebie, czy koń nie wiedzie go przypadkiem na walkę z dzikim zwierzem.

A droga wiodła dalej pod górą, wciąż pod górę! A im wyżej koń się wspinał, tym las stawał się rzadszy.

W końcu proboszcz jechał po nagim prawie grzbiecie górskim, z którego mógł się rozglądać na wszystkie strony. Niezmierzona kraina rozpościerała się przed jego oczyma, wzgórza i łańcuchy górskie, pokryte ciemnym lasem, grupowały się falisto.

Wobec panujących ciemności proboszczowi trudno było rozeznąć się w okolicy, ale po krótkim czasie uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

„Tak, rzeczywiście wjechałem na Blackasen — pomyślał. — Nie może to być żadna inna góra. Tam, na zachodzie rozpościera się jezioro Yarovsee, a na wschodzie rozpoznaję połyskujące morze. I na północy widzę coś lśniącego, musi to być Dallen, a tam w głębi pode mną to chyba biała mgła wodospadu w Njan. Tak, tak, to Blackasen, bez wątpienia. A to dopiero przygoda!”

Dojechawszy do najwyższego szczytu koń stanął pod rozgałęzioną sosną. Zdawało się, że chce się pod nią ukryć.

Proboszcz wychylił się i rozsunął gałęzie. Ujrzał nagi stok góry. Nie był on jednak samotny i opuszczony, jak się tego proboszcz spodziewał. W pośrodku na otwartej polanie leżał wielki złom skalny, a wokoło niego zebrało się mnóstwo dzikiego zwierza. Proboszczowi wydawało się, że zwierzęta te

zebrały się tutaj, aby urządzić rodzaj wiecu.

Najbliżej wielkiej skały proboszcz ujrzał niedźwiedzie. Miały tak ciężką i olbrzymią budowę ciała, że wyglądały jak złomy kamienne. Położyły się i mrugały małymi oczkami. Widać było, że wstały ze swego snu zimowego, żeby udać się na wiec i że trudno im było zachować czujność. Za niedźwiedziami siedziało z kilkaset wilków w skupionych szeregach. Te nie były śpiące, lecz przeciwnie, teraz wśród nocy zimowej były bardziej ożywione niż kiedykolwiek w lecie. Siedziały jak psy na tylnych nogach, smagały ziemię ogonami i sapały głośno, z wywieszonymi ozorami. Za wilkami skradały się rysie o sztywnych nogach i ociężałych członkach, niby wielkie, niekształtne koty. Zdawały się lękać innych zwierząt i parskwały, kiedy się które zbliżało do nich. Następny szereg za rysiami tworzyły rosomaki, które posiadają oblicze kocie, a futro niedźwiedzie. Tym nie podobało się na ziemi, tupwały niecierpliwie szerokimi stopami i rwały się z powrotem na drzewa. Za nimi na całym obszarze, aż po skraj lasu, uwijały się lisy, łasice, kuny — zwierzęta drobne i wyjątkowo ładnie zbudowane, lecz o wyglądzie jeszcze o wiele dzikszym i bardziej krwiożerczym od największych drapieżników.

Proboszcz widział doskonale wszystkie te zwierzęta, gdyż miejsce było jasno oświetlone. Na wysokiej skale w pośrodku stał Duch Lasu, w rękę trzymał pochodnię płonąca jasnym ogniem. Duch był tak wielki jak najwyższe drzewo w lesie; miał płaszcz z gałęzi sosnowych, a włosy — z szyszek. Stał spokojnie i spoglądał w głąb lasu, wypatrując i nasłuchując.

Pomimo że proboszcz widział to wszystko dokładnie, wydawało mu się to tak dziwne i nieprawdopodobne, że po prostu oczom własnym nie dowierzał.

„Przecież to jest zupełnie niemożliwe — myślał. — Musiało mi się coś w głowie popsuć. Za długo jechałem wśród ciemności leśnych. To przecież tylko urojenie”.

Mimo to śledził wszystko z natężoną uwagą i pytał sam siebie, co też tutaj jeszcze zobaczy i co się tu dzieć będzie.

Nie czekał długo. Z lasu rozległ się dźwięk małego dzwonka. I niebawem usłyszał szelest kroków i trzask łamanych gałęzi, jak gdyby gromada zwierząt przedzierała się przez gąszcz.

Istotnie było to wielkie stado bydła domowego, które pięło się w górę. Zwierzęta wychodziły z lasu w takim porządku, jak gdyby znajdowały się w drodze do obory. Najpierw szła krowa—przodownica z dzwonkiem, potem byk, potem krowy i w końcu cielęta. Za nimi postępowały tłocząc się owce. Dalej kozy, a w końcu kilka koni i źrebiąt. Pies owczarski biegł obok stada, ale nie towarzyszył mu ani pasterz, ani pasterka.

Proboszczowi rozdzierało się serce z żalu, kiedy ujrzał zwierzęta domowe pędzące tak wprost na dzikie zwierzęta. Zagroziłby im chętnie drogę, ostrzegł głośnym krzykiem; czuł jednak dobrze, że dzisiejszej nocy kierowanie krokami zwierząt nie leżało w mocy ludzkiej, zachowywał się więc zupełnie spokojnie.

Widać było wyraźnie, jak zwierzęta domowe lękały się tej drogi, którą odbyć musiały. Miały wygląd zatrwożony i nędzny. Nawet krowa—przodownica szła naprzód z głową spuszczoną i krokiem niechętnym. Kozy nie okazywały ochoty do niczego — ani do skoków, ani do bodzenia, konie próbowały udawać odwagę, lecz dreszcz za dreszczem przebiega! im po grzbiecie. Najrozpaczliwiej wygląda! pies owczarski: skulił ogon i pełzał niemal przy ziemi.

Krowa—przodownica zaprowadziła cały pochód aż przed samego Ducha Lasu, który tam stał na skale. Obeszła skałę wokół i zwróciła się z powrotem ku lasowi, a żadne z dzikich zwierząt nie rzuciło się na nią. I tak samo przesunęło się całe stado przed drapieżnymi zwierzętami — nie tknięte.

Podczas kiedy domowe zwierzęta przechodziły przed Duchem Lasu, proboszcz zauważył, że Duch nad niektórymi z nich opuszcza! pochodnię i odwraca! oczy.

Ile razy to się zdarzało, zwierzęta drapieżne wydawały głośne ryki zadowolenia, szczególnie jeśli

pochoдня opuszczała się nad krową lub innym większym zwierzęciem. To zwierzę jednak, nad którym się pochoдня pochylała, wydawało głośny, przenikliwy krzyk, jak gdyby wbijano mu nóż w serce, a całe stado, do którego zwierzę należało, wybuchało również głośną skargą.

Teraz proboszcz zaczynał pojmować, co przed sobą widzi. Dawniej już słyszał o podaniu, według którego zwierzęta domowe w Dalsbo w każdą noc noworoczną muszą się zbierać na górze Blackasen, aby Duch Lasu mógł naznaczyć te z nich, które w ciągu tego roku padną ofiarą dzikich zwierząt. Proboszcza przejęła serdeczna litość nad biednym bydłem, które skazywano na pastwę dzikich zwierząt, choć właściwie nie powinno ono mieć innego pana nad człowieka.

Zaledwie się pierwsze stado cofnęło, kiedy już z lasu rozległ się znowu dźwięk dzwonka i bydlę z innej zagrody wkroczyło na górę. Wszystko odbyło się w ten sam sposób, jak za pierwszym razem. Zwierzęta podchodziły do Ducha Lasu, który stał na górze poważny i surowy, i to tu, to tam naznaczał zwierzę na śmierć.

A za tym stadem następowało inne.

Niektóre stadka były tak nieliczne, że składały się tylko z jednej krowy i kilku owiec, inne znów liczyły zaledwie kilka kóz. Widocznie należały do małych, ubogich gospodarzy w lesie. Ale i te musiały stawać przed Duchem, i one nie były oszczędzane.

Proboszcz myślał o wieśniakach z Dalsbo, którzy tak bardzo kochali swoje bydlę.

„Gdyby wiedzieli o tym, nie pozwoliliby na to! — pomyślał. — Woleliby raczej narazić własne życie, niż dać bydlę swemu wędrować do Ducha Lasu między niedźwiedzie i wilki”.

Nadchodziło ostatnie stado. Było to bydlę z probostwa. Proboszcz poznał z daleka odgłos dzwonka swojej krowy, a i koń musiał go poznać także. Zaczął bowiem drzeć na całym ciełe i pokrył się potem.

„Tak więc teraz na ciebie kolej stanąć przed Duchem i usłyszeć wyrok na siebie — rzekł proboszcz do konia. — Ale nie lękaj się. Rozumiem, po coś mnie tutaj sprowadził, i nie opuszczę cię”.

Wspaniałe bydlę proboszcza wysunęło się z lasu długim szeregiem i zbliżało się do dzikich zwierząt i do Ducha Lasu. Na końcu szedł koń, który przywiózł swego pana na górę Blackasen. Proboszcz nie zsiadł z niego, siedział spokojnie w siodle i pozwalał się nieść przed Duchem Lasu.

Nie miał on na swoją obronę ani strzelby, ani noża, wyjął tylko książkę do nabożeństwa i przyciskał ją mocno do piersi, przystępując do walki z nieczystymi siłami.

Z początku zdawało się, że nikt nie zauważył proboszcza. Tak jak inne stada, bydlę z probostwa również przechodziło przed Duchem Lasu, a ten nie opuścił pochodni ani razu. Dopiero kiedy nadszedł mądry koń, Duch uczynił gest, aby go naznaczyć na śmierć.

Ale w tej samej chwili proboszcz wyciągnął swą książkę do nabożeństwa i blask pochodni padł na krzyż znajdujący się na oprawie. Wtedy Duch Lasu wydał głośny, przeraźliwy okrzyk, pochoдня wypadła mu z ręki, a w tej samej chwili płomień zgasł.

W nagłym przejściu od światła do ciemności proboszcz nic nie mógł zobaczyć ani usłyszeć. Wokoło panowała ta sama głęboka cisza, jak zwykle w porze zimowej w tej głuszy.

Nagle rozproszyły się gęste chmury pokrywające niebo; spoza chmur ukazał się księżyc i blask jego padł na ziemię. Teraz proboszcz zobaczył, że obaj z koniem znajdują się na wierzchołku Blackasen zupełnie sami. Nigdzie nie było ani jednego dzikiego zwierzęcia, a ziemia nie nosiła żadnych śladów nóg tych wszystkich zwierząt domowych, które tu po niej stapały. On zaś sam siedział na swym koniu z książką do nabożeństwa w wyciągniętych dłoniach. A koń pod nim drżał i oblany był potem.

Kiedy proboszcz zjechał z góry i wrócił na probostwo, nie wiedział, czy to, co widział, było snem czy rzeczywistością; wiedział tylko, że było to ostrzeżenie, aby pamiętać o zwierzętach domowych, które stają się pastwą zwierząt drapieżnych. I nauczał odtąd wieśniaków w Dalsbo w tak płomiennych słowach, że za jego czasów wytępiono wszystkie niedźwiedzie i wilki w lesie. Co prawda, zdaje się, że

po jego śmierci powróciły one, niestety, na nowo.

Na tym Bernard skończył swoje opowiadanie. Chwalono go ze wszystkich stron i zdawało się nie ulegać wątpliwości, że jemu zostanie się nagroda. Większość żałowała Klemensa, że chciał współzawodniczyć z Bernardem.

Ale Klemens rozpoczął odważnie swe opowiadanie.

— Pewnego dnia chodziłem po Skansen, wielkim parku osobliwości pod Sztokholmem, i tęskniłem za stronami rodzinnymi — zaczął, a potem opowiedział o krasnoludku, którego wykupił, aby go nie wsadzono do klatki i nie pokazywano ludziom jak dzikie zwierzę. I opowiadał dalej, jak natychmiast otrzymał nagrodę za ten dobry uczynek. Opowiadał i opowiadał, a zdumienie słuchaczy wzrastało coraz bardziej. Kiedy wreszcie doszedł do opowiadania o lokaju królewskim i o wspaniałej księżce, wszystkie pasterki porzuciły swe robótki: siedziały nieruchome i patrzyły na Klemensa, który doświadczył tak cudownych przygód.

Zaledwie Klemens skończył, starsza pasterka oświadczyła, że szalik należy się jemu.

— Bernard — rzekła — opowiedział nam to, co zdarzyło się komu innemu, a Klemens sam przeżył całą tę historię. A to uważam za ważniejsze.

Wszyscy się z nią zgodzili. Od chwili kiedy się dowiedzieli, że Klemens rozmawiał z królem, patrzyli na niego zupełnie innymi oczami, a stary grajek starał się nie okazywać, jak bardzo czuł się dumny. Ale w tym radosnym nastroju ktoś zapytał nagle Klemensa, co też zrobił z krasnoludkiem.

— Nie miałem, niestety, czasu, żeby mu postawić niebieską miseczkę — rzekł Klemens — ale poprosiłem starego Lapończyka, aby to uczynił za mnie. Co się z nim później stało, nie wiem.

Zaledwie Klemens to wyrzekł, kiedy nagle spadła szyszka i uderzyła go w nos. Szyszka nie zleciała z drzewa i nie została rzucona przez człowieka. Nikt nie mógł pojąć, skąd się wzięła.

— Aj, aj, Klemensie — rzekła pasterka — zdaje mi się, że krasnoludki usłyszały, o czym tutaj mówiliśmy! Myślę, że nie powinienes być polecać komuś innemu, żeby postawił niebieską miseczkę, lecz że powinienes być to uczynić sam.

W MEDELPAD



Piątek, 17 czerwca

Następnego dnia wczesnym rankiem orzeł puścił się z chłopcem w dalszą drogę. Tego dnia Gorgo miał zamiar dolecieć aż do Västerbotten, lecz przypadkiem usłyszał, jak chłopiec mruczał do siebie, że niesposób jest chyba, aby się ludzie mogli wyżywić w takiej krainie jak ta, nad którą teraz przelatują. Kraina, ciągnąca się pod nimi, był to południowy Medelpad i na dalekiej przestrzeni wokoło nie było widać nic prócz dziewiczych, ciemnych lasów. Zaledwie jednak orzeł usłyszał słowa Nilsa Holgersona, zawołał:

— Tutaj w górach lasy są niwami!

Chłopiec pomyślał, jak bardzo różnią się pola połyskujące złotym zbożem z miękkimi źdźbłami, które w ciągu jednego lata wystrzelają wysoko — od ciemnych borów i ich twardych pni, którym potrzeba lat, aby stały się zdadne na ścięcie.

— Ten, kto chce się utrzymać z takiej roli, musi się uzbroić w porządną cierpliwość — odrzekł.

Więcej nie mówili o tym, dopóki nie dolecieli do miejsca, gdzie las był wycięty i ziemia pokryta pieńkami i gałęzmi pozostałymi po zrąbanych pniach. Kiedy lecieli nad tą porębą, orzeł usłyszał znów wyrzekania chłopca na tę strasznie brzydką i ubogą okolicę.

— Oto niwa, którą zżęto właśnie zeszłej zimy — odezwał się orzeł w odpowiedzi.

Chłopiec przypomniał sobie, jak to żniwiarze w jego wiosce rodzinnej wyruszają w jasny poranek letni ze swymi błyszczącymi, pięknymi, wielkimi kosiarkami i jak to w krótkim czasie całe pole bywa zżęte.

A plon tej oto roli zebrany został w zimie! Wtedy kiedy śnieg leżał wysoko, a mróz najbardziej dokuczał, drwale wyruszali w to pustkowienie. Jakaż to była ciężka praca ścięcie choćby jednego tylko drzewa! Żeby zaś ściąć tak wielką przestrzeń lasu jak oto ta, musieli robotnicy przebywać z pewnością kilka tygodni w lesie,

— Ci, którzy taką rolę potrafią zżąć, muszą być dzielnymi ludźmi — rzekł chłopiec.

Orzeł uderzył jeszcze kilka razy skrzydłami i wkrótce chłopiec ujrzał małą chatkę stojącą na wykarczowanym gruncie leśnym. Była sklecona z grubych, nie ociosanych kłód drzewa, nie miała okien, a

za drzwi służyło jej kilka zbitych desek. Dach pokryty był korą i gałęziami, które się już porozsuwały. Chłopiec widział, że we wnętrzu chaty było tylko kilka drewnianych ławek i kilka dużych kamieni, na których rozpalano ognisko.

Kiedy lecieli nad chatą, orzeł usłyszał, jak chłopiec pytał siebie, kto też mógł mieszkać w tak nędznej chałupie.

— Żniwiarze tu mieszkali wtedy, kiedy żęli niwę pokrytą lasem — odparł orzeł.

Chłopiec przypomniał sobie, jak to w jego okolicy żniwiarze wesoło i ochoczo wracali po pracy i jak gospodyni stawiała przed nimi wszystkie swoje najlepsze zapasy. Tutaj po ciężkiej pracy drwale musieli spać na twardych ławach, w chacie mniejszej od szopy. A czym się tutaj żywili, o tym nie miał po prostu pojęcia.

— Ach, tutaj nie wyprawia się z pewnością dożynek żniwiarzom! — rzeki.

W pewnym oddaleniu ujrzeni pod sobą strasznie złą drogę: była wąska i nierówna, zasiana kamieniami i pełna wybojów, a ciągnęła się w wężowych skrętach przez las i w wielu miejscach przecinały ją strumyki. Podczas kiedy orzeł leciał nad tą drogą leśną, chłopiec zapytał:

— Czy po takiej drodze mogą jeździć wozy?

— Po tej drodze zwożono plony do stodoły — rzekł Gorgo.

Chłopiec przypomniał sobie, jaka to była uroczystość w domu, kiedy wielkie wozy zaprzężone w dwa silne konie zwoziły zboże z pola. Parobek królował wysoko na wozie, konie paraskały z dumą, a dzieci wiejskie, którym pozwolono wleźć na wóz, siedziały na snopach na poły uszczęśliwione, na poły zaleknione, krzycząc i śmiejąc się na przemian. Tu zaś ładowano na wozy kłody drzewa i wieziono je po stromych zboczach to w górę, to na dół. Konie musiały być umęczone, a woźnica bywał często pewnie bliski rozpacz.

— Tutaj zapewne wesołe okrzyki nie przelatywały z wozu do wozu — rzekł chłopiec.

Orzeł potężnymi uderzeniami skrzydeł frunął coraz dalej i wkrótce dolecieli do rzeki. Ujrzeni wybrzeże zasypane wiórami, drzazgami i korą i orzeł usłyszał, że chłopiec pyta sam siebie, dlaczego tam w dole panuje taki nieporządek.

— Tutaj układano stogi ze snopów — odpowiedział mu.

Chłopiec pomyślał bezwiednie o stodołach w swojej okolicy, które ustawiano tuż obok chat, jak gdyby były najpiękniejszą ich ozdobą. Tu zaś sprowadzano plon nad odludny brzeg rzeki i tak go pozostawiano.

— Czy też choć jeden właściciel przychodzi na to pustkowie policzyć swoje snopy i porównać je z dobytkiem swych sąsiadów?! — zawołał chłopiec bezwiednie.

Wkrótce dolecieli do wielkiej rzeki Ljungan, która toczy się przez szeroką dolinę, i nagle zmieniło się wszystko tak, że można było przypuszczać, iż jest się w zupełnie innej okolicy. Ciemny las iglasty pozostał jedynie na stromych urwiskach nad doliną i zbocza pyszniły się wszędzie białopiennymi brzozami i wspaniałymi jesionami. Dolina była tak szeroka, że rzeka w wielu miejscach mogła się rozlewać tworząc jeziora, a na brzegu wznosiły się zamożne zagrody jedna obok drugiej. Lecąc nad doliną, orzeł usłyszał, jak chłopiec zapytywał siebie, czy te łąki i pola starczą na wyżywienie całej tej ludności.

— Tutaj mieszkają żniwiarze, którzy zżęli niwę w lesie — rzekł orzeł.

Chłopcowi przyszły na myśl niskie domostwa i ścieśnione zagrody w Skanii.

— Tutaj — rzekł — chłopci mieszkają po prostu w pańskich dworach i sądząc z tego, zdaje się, że praca w lasach opłaca się jednak bardzo dobrze.

Orzeł miał zamiar przelecieć w poprzek rzeki Ljungan. Kiedy jednak przeleciał już znaczną przestrzeń od brzegu, usłyszał, jak chłopiec pytał siebie, kto też dalej dba o to drzewo, które tam leży w sągach. Na to Gorgo zawrócił i skierował się na wschód.

— Dalej o drzewo dba rzeka, niesie je do młyna — rzekł.

Chłopiec przypominał sobie, jak troskliwie obchodzono się w domu ze snopami, aby z nich nic nie uronić. Tutaj kłody drzewa płynęły po wodzie w takiej ogromnej ilości, a nikt się o nie nie troszczył. Był przekonany, że nawet połowa z tego nie przybędzie tam, gdzie powinna. Jedne kłody płynęły wprawdzie środkiem rzeki, i wtedy wszystko szło dobrze, inne jednak woda wyrzucała na brzeg albo też uderzały o przylądki i zatrzymywały się w zatokach w wodzie stojącej. W jeziorach kłody gromadziły się w tak wielkiej ilości, że często pokrywały całą powierzchnię. Leżały na niej tak nieruchomo, jak gdyby miały tutaj spoczywać w nieskończoność. Zaczepiały się o mosty, przez wodospady przedzierały się środkiem, w potokach wciskały się między kamienie i piętrzyły się w wysokie, chwiejące się stosy.

— Chciałbym wiedzieć, ile czasu potrzeba takiemu zbożu, żeby się mogło dostać do młyna? — zapytał chłopiec.

Lecz Gorgo posuwał się stopniowo coraz dalej wzdłuż rzeki. Kilkakrotnie zatrzymywał się z szeroko rozpostartymi skrzydłami w powietrzu, aby chłopiec mógł zobaczyć, co się dzieje z plonem leśnych pól.

Po pewnym czasie dolecieli do miejsca, gdzie pracowali flisacy. Chłopca zadziwił widok ludzi biegających nad rzeką. Orzeł wyjaśnił mu krótko:

— Ci ludzie czuwają nad zbożem, które się zatrzymało po drodze.

Chłopiec przypominał sobie, jak spokojnie i łatwo ludzie w jego okolicy zwozili snopy do młyna. Tutaj zaś flisacy biegali po brzegu z długimi bosakami w rękach i popychali kłody z wielkim trudem i wysiłkiem. Brodzili w wodzie przy brzegu, zamoczeni od stóp do głów. Skakali z kamienia na kamień w nurtach potoku, stąpali po chwiejących się kłodach tak zręcznie, jak gdyby chodzili po stałym gruncie. Byli to dzielni i odważni ludzie!

— Patrząc na to wszystko tutaj, przypominam sobie mimo woli kowali w okręgu górniczym, którzy tak się obchodzili z ogniem, jak gdyby nie było w nim nic groźnego — rzekł chłopiec. — Ci flisacy znów igrają z wodą, jak gdyby byli jej panami. Wydaje się, iż tak ją okiełznali, że nie śmie uczynić im nic złego.

Wreszcie dotarli do ujścia rzeki i oto roztoczyła się przed nimi Cieśnina Botnicka. Gorgo nie poleciał prosto przed siebie, lecz w kierunku północnym wzdłuż brzegów. Niebawem ujrzeni pod sobą tartak, który tworzył prawdziwą, małą osadę. I podczas kiedy orzeł unosił się nad nią tam i z powrotem, usłyszał, jak chłopiec chwalał tę wspaniałą osadę.

— Oto masz wielki tartak zwany Svartvik! — zawołał orzeł.

Chłopiec pomyślał o wiatrakach w swojej okolicy, które stały tak spokojnie, otoczone zielonymi drzewami, obracając powoli skrzydłami. Ten młyn tutaj, w którym mielono plon lasów, położony był tuż nad brzegiem morza. Na wodzie przed nim pływało mnóstwo belek, które, jedna po drugiej, przyciągano żelaznymi łańcuchami najpierw na wygięty pomost, a z niego do budynku w rodzaju stodoły. Co tam z nimi robiono, tego chłopiec nie mógł zobaczyć, słyszał jednak głośny trzask i łomot, a po drugiej stronie budynku toczyły się wózki naładowane wysoko białymi deskami. Wózki toczyły się po gładkich szynach do cieślni, gdzie deski układano w wielkie stosy tworzące całe ulice, zupełnie jak domy w mieście. W jednym miejscu układano nowy stos, w drugim zwalano stary i ładowano deski na dwa wielkie statki czekające już na ładunek. Wszędzie roило się od robotników, których domy stały za cieślnią.

— Ależ tutaj tak wre praca, że w końcu cały las Medelpadu zostanie porznięty na deski — rzekł Nils.

Orzeł poruszył nieco skrzydłami i natychmiast chłopiec ujrzał nowy tartak z piłą, cieślnią, portem i domkami robotników, zupełnie podobny do pierwszego

— A oto nasz drugi z wielkich tartaków. Nazywa się Bjenenburg — rzekł Gorgo.

— Tak, widzę, że las dostarcza o wiele większego plonu, niż sądziłem — rzekł Nils Holgerson. — Ale chyba to już wszystko?

Orzeł, w odpowiedzi, poruszając wolniutko skrzydłami, przeleciał nad jeszcze kilku tartakami. Wreszcie dotarli do wielkiego miasta.

Gorgo, słysząc pytanie chłopca, co to jest za miasto, zawołał:

— To Sundsvall, stolica okręgu!

Chłopiec przypomniał sobie miasta w Skanii — były takie stare, szare i poważne. Tutaj w górze na zimnej północy miasto Sundsvall leżało nad piękną zatoką i miało wygląd nowy, jasny i promieniejący pięknnością. Widziane z góry wyglądało nadzwyczaj wesoło, gdyż pośrodku wznosiła się grupa pięknych, wysokich kamienic, jakich nie ma nawet w Sztokholmie. Wokoło tych wysokich, murowanych kamienic była przestrzeń wolna, potem dopiero następował wieniec drewnianych domów otoczonych ogródkami, miłych i pogodnych, które jak gdyby świadome tego, że są mniej ważne od kamienic, trzymały się na uboczu.

— To przecież bardzo duże, bogate miasto — rzekł chłopiec. — Czyżby jałowy grunt leśny mógł starczyć na utrzymanie takiego miasta? To chyba niemożliwe?!

Orzeł uderzył znowu skrzydłami i poleciał nad miejscowość Alnoen, położoną na wprost Sundsvallu. Tutaj chłopiec nie mógł się dosyć nadziwić licznym tartakom wznoszącym się na wybrzeżu.

Zbudowane były one jeden tuż obok drugiego, a na stałym lądzie naprzeciwko stał również tartak przy tartaku, cieślnia obok cieślni. Chłopiec naliczył ich co najmniej ze czterdzieści, ale zdawało mu się, że jest ich jeszcze więcej.

— Wszystko, co się tutaj w górze dzieje, jest bardzo dziwne — odezwał się po chwili, — Tyle życia i ruchu nie widziałem nigdzie w ciągu całej podróży. Cóż za cudowny kraj! Gdziekolwiek się obrócę, wszędzie znajduje się coś, dzięki czemu ludzie zdobywają sobie środki do życia.

RANEK W ÄNGERMANLANDZIE



CHLEB

Przeleciawszy następnego ranka wielką przestrzeń nad Ängermanlandem, orzeł oświadczył, że jest głodny i chce poszukać sobie pożywienia. Posadził Nilsa Holgersona na olbrzymiej sośnie, stojącej na wysokiej skale, i odleciał.

Chłopiec urządził sobie wygodne siedzenie na wygiętej gałęzi i stamtąd spoglądał w dół na Ängermanland. Ranek był przecudny, słońce ozłacało wierzchołki drzew, łagodny wiatr, jakby z pieśzczotą, muskał zielone igły, a cały las pachniał przyjemnie. Chłopcu było wesoło i lekko na duszy. Zdawało mu się, że nikomu nie może być teraz lepiej niż jemu. Widok był ze wszystkich stron otwarty, malec więc mógł się swobodnie rozglądać. Na wschód kraina obfitowała w kopulaste skały i szczyty gór, które im dalej, tym stawały się coraz wyższe i dziksze. Na zachód kraj był również falisty, lecz zniżał się i pochylał, aż w końcu nad samym morzem rozciągał się; w zupełną płaszczyznę. Wszędzie świeciły wody strumieni i rzek, które, płynąc między górami, spotykały w swym biegu liczne wodospady i progi, kiedy jednak zbliżały się do wybrzeża, rozszerzały swe koryto i jaśniały blaskiem. Nils widział także Zatokę Botnicką. W pobliżu lądu była ona najeżona wyspami i poszczerbiona przylądkami, ale w oddali powierzchnia wody lśniła ciemnym błękitem, jak niebo letnie.

„Kraj ten wygląda jak brzeg rzeki po deszczu — pomyślał chłopiec. — Płynie tu i ryje bruzdy dużo małych strumyków, które się wiją, skręcają i przeplatają. A widok to naprawdę piękny. Przypominam sobie dobrze, że stary Lapończyk w Skansen mówił zawsze, że Pan Bóg umieszczając Szwecję na ziemi ustawił ją stroną odwrotną. Inni wyśmiewali Lapończyka, on jednak twierdził, że gdyby widzieli, jak pięknie jest na północy, to przyznaliby, że to niepodobieństwo, aby pierwotnym zamiarem mogło być pozostawienie takiego kraju na uboczu. I zdaje mi się, że Lapończyk miał słuszość”.

Kiedy się chłopiec napatrzył dostatecznie krajobrazowi, zdjął swój tłumoczek, wyjął kawałek smacznego, białego chleba i zaczął zajadać.

— Zdaje mi się, że jeszcze nigdy w życiu nie jadłem tak dobrego chleba — rzekł. — A ile go jeszcze mam! Wystarczy na wiele dni! Wczoraj o tej porze nie uwierzylbym, że dziś będę posiadał takie bogactwo.

Zajadając ze smakiem, myślał o tym, w jaki sposób posiadał ten chleb.

„Smakuje mi pewnie dlatego tak wyśmienicie, że otrzymałem go w tak piękny sposób”.

Już poprzedniego wieczoru orzeł królewski opuścił Medelpad. Zaledwie dotarł do granicy Ängermanlandu, chłopiec ujrzał dolinę rzeki, która wielkością i pięknnością przewyższała wszystko, co widział dotychczas.

Dolina rozciągała się bardzo szeroko między górami i chłopiec zadawał sobie pytanie, czy nie wyźłobiła jej w dawnych czasach inna rzeka, o wiele większa i szersza od obecnej. Potem, kiedy dolina była już gotowa, musiała wskutek jakiegoś wypadku zostać zasypana piaskiem i ziemią, wprawdzie nie całkowicie, ale jednak na dość znacznej przestrzeni u podnóża góry. W tych bryłach ziemi rzeka obecna, bardzo szeroka i obfitująca w wodę, wyźłobiła sobie głębokie łóżysko. Wyrzeźbiła prześlicznie swe brzegi: ramowały ją urwiska pokryte czerwonym, niebieskim i żółtym przepyszny kwieciem oraz skały niby strome mury i wieże, zbyt twarde, aby woda mogła je skruszyć.

Kiedy orzeł niósł tak chłopca wysoko w powietrzu, Nils miał wrażenie, że może spoglądać jednocześnie na trzy różne światy. Nisko w dolinie, przez którą przepływała rzeka, był jeden świat. Tam spławiano belki, uwijały się parowce od przystani do przystani, pracowały tartaki, tam ładowano wielkie łodzie towarowe, odbywał się połów łososi, wiosłowano i żeglowano. Mnóstwo jaskółek, które miały gniazda w pobliżu brzegów, przelatywało nad rzeką.

O piętro wyżej, na tak zwanej równej ziemi, która ciągnęła się aż do krawędzi gór, był drugi świat. Tam stały zagrody, wsie i kościoły, tam chłopci uprawiali swe pola, pasło się bydło, zieleniły się łąki, tam kobiety pracowały pilnie w swych małych ogródkach warzywnych, w różne strony ciągnęły się szosy, pędziły pociągi.

A potem, het, daleko od tego wszystkiego, w górze na pokrytych lasem wyżynach, był trzeci świat. Tam samiczka głuszka siedziała na jajach. Tam stał łos ukryty w gąszczu leśnym, czaił się ryś, skakała wiewiórka, tam pachniały sosny, kwitły czernice, drozd popisывał się śpiewem.

Nils Holgerson ujrawszy bogatą dolinę rzeki, zaczął narzekać na głód.

— Oto już całe dwa dni nie dostałem nic do jedzenia — mówił — jestem śmiertelnie głodny.

Gorgo nie mógł znieść tej myśli, że ktoś mógłby kiedyś powiedzieć, iż chłopcu działo się przy nim gorzej niż przy dzikich gęsiach, i natychmiast zwolnił lotu.

— Dlaczegoś tego wcześniej nie powiedział? —: zapytał. — Możesz dostać tyle jedzenia, ile tylko zechcesz. Skoro masz orła za towarzysza podróży, nie ma potrzeby, abyś się głodził.

Wkrótce potem orzeł ujrzał wieśniaka zasiewającego pole nad rzeką. Ziarno do siewu wieśniak niósł w koszyku zawieszonym na piersi, a kiedy kosz się opróżniał, sięgał po nowy zapas do worka, który stał na skraju roli. Orzeł przypuszczał słusznie, że worek ten napełniony był tym, czego sobie chłopiec najbardziej mógł życzyć, toteż zniżył lot.

Ale zanim zdążył się na ziemi, powstał wokoło niego straszliwy hałas: wrony, wróble i jaskółki, przekonane, że orzeł chce porwać ptaka, zleciały się z głośnym wrzaskiem.

— Precz, precz, ty rabusiu! Precz, precz, ty morderco ptaków! — krzyczały i narobiły takiego gwałtu, że zwróciły uwagę wieśniaka, który przybiegł także. Orła zmuszono do ucieczki i chłopcu nie zostało się ani jedno ziarno.

Małe ptaszki zachowywały się szczególnie napastliwie. Nie tylko zmusiły orła do ucieczki, ale jeszcze goniły go przez dolinę na dość znacznej przestrzeni, I wszędzie ludzie zwracali uwagę na głośny wrzask ptactwa. Kobiety wybiegały z domów i klaskały tak głośno w dłonie, że brzmiało to jak salwy

wystrzałów, a wieśniacy chwyтали dubeltówki w ręce.

Tak powtarzało się za każdym razem, kiedy orzeł chciał się spuścić na ziemię. I chłopiec stracił już nadzieję, że orzeł będzie mógł mu dostarczyć choć trochę pożywienia. Ach, nie wiedział dotychczas wcale, jak znienawidzony był Gorgo! Żał mu go było serdecznie i sądził niemal, że orłu dzieje się krzywda.

Po pewnym czasie przelatywali nad piękną zagrodą chłopską, w której gospodyni zajęta była wypiekiem chleba. Świeżo upieczone chleby pszenne leżały stygnąc na dworze, a gospodyni stała obok, pilnując, aby pies lub kot czegoś nie ściągnął.

Orzeł chciał się spuścić do zagrody, ale nie śmiał porwać chleba w oczach gospodyni. Bezradnie latał tam i z powrotem; kilka razy był już tuż nad kominem, za każdym razem jednak wznosił się na nowo w górę.

W pewnej chwili gospodyni spostrzegła orła, podniosła głowę i patrzyła za nim.

— Jakże się ten ptak dziwnie zachowuje! — rzekła. — Zdaje mi się, jak gdyby chciał mego chleba.

Była to bardzo piękna kobieta, wysoka i jasnowłosa, o otwartej, pogodnej twarzy. Śmiejąc się serdecznie, zdjęła z blachy jeden chleb i podniosła go wysoko nad głowę.

— Jeśli chcesz, weź go sobie! — zawołała.

Orzeł nie mógł zrozumieć, co kobieta mówiła, ale pojął natychmiast, że chce mu dać chleb. Szybko jak błyskawica spadł na dół, schwycił chleb z ręki i wznosił się znowu w powietrze.

Kiedy chłopiec ujrzał orła chwytającego chleb, stanęły mu łzy w oczach: z jednej strony, z radości, że teraz nie będzie już przez wiele dni głodował, a z drugiej strony, z głębokiego wzruszenia, iż wieśniaczka podzieliła się chlebem z drapieżnym ptakiem.

I oto, siedząc teraz na wierzchołku sosny, Nils Holgerson przywoływał w pamięci obraz wysokiej, jasnowłosej kobiety. Widział ją zupełnie wyraźnie przed sobą, jak stała przed zagrodą i podnosiła chleb w górę. O, wiedziała bez wątpienia, że wielki ptak był orłem królewskim, rabusiem, którego ludzie zwykle częstują celnym strzałem, i zauważyła pewnie także dziwaczne stworzenie niesione przez niego na grzbiecie! Ale nie traciła czasu na pytanie, kim byli obaj. Skoro zrozumiała, że byli głodni, podzieliła się z nimi swym smacznym chlebem.

„Jeśli się stanę kiedyś znowu człowiekiem — myślał chłopiec — wtedy wybiorę się w drogę i odszukam piękną wieśniaczkę nad wielką rzeką, aby jej podziękować za to, że była dla nas taka dobra”.

POŻAR LASU

W czasie gdy Nils Holgerson zajęty był jeszcze swoim śniadaniem, poczuł nagle dochodzącą z północy słabą woń spalenizny. Zwrócił się zaraz w tamtą stronę i ujrzał lekki słup dymu unoszący się z lesistego wzgórza, i to nie z tego, które znajdowało się najbliżej niego, lecz z jednego z tych, które tworzyły sterczący poza nim łańcuch pagórków. Ten dym, wydobywający się z wnętrza dziewiczego lasu, zastanowił chłopca. Potem jednak pomyślał sobie, że prawdopodobnie w pobliżu znajduje się szałas pasterski i że pasterki gotują właśnie kawę.

A jednak było to bardzo dziwne, gdyż dym rósł i rozchodził się coraz dalej! Nie mógł więc pochodzić z szałas. W Skansen chłopiec widział węglarnię i mielerzysko i słyszał, że w tych lasach także wypalano węgle w różnych miejscach. Lecz właściwie węglarze rozpalają mielerzyska tylko na wiosnę i w zimie.

Dym rozszerzał się z każdą chwilą: teraz wił się już nad całym wzgórzem. Z mielerzyska nie mogło się wydobywać tyle dymu — to było wykluczone. Musiał chyba wybuchnąć pożar. Chłopiec ujrzał także mnóstwo ptaków wznoszących się w górę i przelatujących na sąsiednie wzgórza. Jastrzębie, głuszce i

różne małe ptaki, których chłopiec nie mógł rozpoznać z takiej odległości — wszystkie uciekały przed pożarem.

Niewielki, biały słup dymu zamienił się teraz w ciężką, białą chmurę kłębiącą się na skraju wzgórza i stamtąd opuszczającą się w dolinę. Z chmury wydobywały się iskry i płatki sadzy, a kiedy niekiedy ukazywały się wśród dymu czerwone płomyki. Tam w oddali musiał z pewnością wybuchnąć ogromny pożar! Ależ, na miłość Boską, co mogło się tam palić?! Przecież żadna zagroda chłopska nie może się ukrywać tak głęboko w lesie!

A zresztą tak wielki ogień mógł pochodzić tylko z większej ilości płonących zagród. Teraz dym buchał już nie tylko ze wzgórza, lecz i z doliny unosiły się wielkie kłęby dymu, czego zresztą chłopiec dobrze dojrzeć nie mógł, bo wzgórze sąsiednie zakrywało widok. Nie mogło to być nic innego, tylko ogień ogarnął las!

Chłopcu trudno było sobie wyobrazić, żeby świeży, zielony las mógł się palić. A jednak tak być musiało. I jeśli las pali się naprawdę, to przecież ogień może się i do niego dostać.

„Nie wiadomo wprawdzie, czy to nastąpi, a jednak byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby orzeł niedługo powrócił — myślał chłopiec. — Żebym tylko mógł wydostać się stąd!” I już samego zapachu spalenizny, którym musiał oddychać, nie mógł znieść.

Nagle rozległ się wokoło straszliwy trzask i huk. Dochodził on z najbliższego pagórka. Tam na samym szczycie stała sosna, równie wielka jak ta, na której chłopiec siedział. Była ona bardzo wysoka i przewyższała wszystkie inne drzewa. Poprzednio słońce poranne oświecało ją czerwonym blaskiem, teraz nagle ogarnął ją cały ogień, zapłonęły wszystkie jej igły. Nigdy jeszcze nie była tak piękna, lecz ostatni to raz pyszniła się swą pięknnością. Była ona pierwszym drzewem na wzgórzu ogarniętym przez płomień i chłopiec nie mógł pojąć, jak to się stało. Czyżby ogień przyfrunął na czerwonych skrzydłach? Albo przypełznął z sykiem po ziemi jak wąż? Trudno to było odgadnąć, w każdym razie ogień był i całe drzewo spłonęło jak stos chrustu. Lecz oto teraz dym wzbiał się jednocześnie w różnych miejscach na wzgórzu. Pożar był zarazem ptakiem i węzem: mógł się równie dobrze przenosić powietrzem, jak pełzać po ziemi. Ogarnął całe wzgórze leśne na raz!

Teraz powstał prawdziwy popłoch. Ptaki uciekały w szalonym pośpiechu. Wylatywały z dymu jak wielkie płaty sadzy i przelatywały przez dolinę na wzgórze, na którym znajdował się chłopiec. Puchacz siadł tuż obok chłopca, a jastrząb umieścił się nad nim na gałęzi.

Kiedy indziej byliby to niebezpieczni sąsiedzi, teraz jednak ptaki wcale nie zwracały uwagi na chłopca. Wpatrywały się w ogień nie mogąc pojąć, co się dzieje w lesie, Kuna wbiegła na drzewo, stanęła na końcu gałęzi i nie spuszczała oka z płonącego wzgórza. Tuż obok kuny siadła wiewiórka, ale obie zdawały się wzajemnie siebie nie widzieć.

A ogień pędził już w dół urwiska. Syczał i huczał jak burza. Poprzez dym można było widzieć płomienie przeskakujące z drzewa na drzewo. Zanim sosna ogarnięta została ogniem, otulał ją najpierw, niby welonem, lekki obłok dymu, następnie czerwieniały jej igły, a potem zaczynała trzeszczeć i płonąć.

Na dole przez dolinę przepływał strumyk obramowany brzoźami i jesionami. Zdawało się, że tutaj ogień musi się zatrzymać: nie chwycił się tak łatwo drzew liściastych jak iglastych. I rzeczywiście ogień stanął jak przed murem i przestał posuwać się dalej. Płonął i pryskał usiłując przeskoczyć przez strumień do lasu iglastego, położonego po drugiej stronie, lecz mu się to nie udawało.

Na jakiś czas ogień został powstrzymany. Wkrótce jednak długi, płomienisty język wpłynął na wysoką, obumarłą sosnę rosnącą u stóp urwiska. Natychmiast całe drzewo stanęło w jasnym ogniu i pożar przedostał się w ten sposób na drugą stronę strumienia.

Żar był straszliwy, wszystkie drzewa na całym urwisku znalazły się w największym niebezpieczeństwie. W każdej chwili mógł ogarnąć je płomień.

Po przeciwległym wzgórzu ogień szalał teraz z tak dzikim szumem i hukiem, jaki wydaje tylko najgwałtowniejsza burza albo najdzikszy wodospad.

Jastrząb i puchacz rozpostarli skrzydła i uciekli. Kuna zbiegła z drzewa. Ogień mógł lada chwila ogarnąć sosnę, na której siedział chłopiec, i Nils musiał też pomyśleć o ucieczce. Nie było to jednak dla niego takie łatwe zsunąć się po wysokim, prostym pniu sosny. Czepiał się, gdzie się dało, i opuszczał się tak z gałęzi na gałąź, aż w końcu spadł ciężko na ziemię. Ale nie miał czasu zastanawiać się, czy nie zrobił sobie szkody. Aby dalej, aby dalej! To jedno mogło go zbawić. Z sykiem, jak błyskawica, uderzył ogień w sosnę, rozżarzona ziemia pod nią zaczynała dymić.

Z jednej strony chłopca biegł ryś, z drugiej pełzła długa żmija, a tuż obok żmii gdakała samiczka głuszca uciekając ze swymi puchem okrytymi pisklętami.

Kiedy uciekający zbiegli z urwiska i dotarli do doliny, spotkali ludzi, którzy wyruszyli gasić pożar. Musieli być już od dawna tym zajęci, tylko że chłopiec, wpatrując się tak bezustannie w stronę, skąd ogień się dobywał, nie spostrzegł ich wcześniej. W dodatku przez dolinę przepływał strumyk gęsto zarośnięty drzewami i ludzie pracowali właśnie za tymi drzewami.

Ścinali drzewa iglaste stojące w pobliżu jesionów, przynosili wodę ze strumienia i leli ją na ziemię, wyrwali wrzosa i zioła, aby ogień nie mógł sobie torować drogi przez zarośla.

Ludzie ci nie myśleli o niczym innym, tylko o pożarze, który szalał coraz bardziej. Uciekające zwierzęta przebiegały im tuż koło nóg, lecz oni nie zwracali na nie uwagi. Nie myśleli zabijać żmii, nie usiłowali schwytać samiczki głuszca, biegnącej ze swymi małymi bezradnie tam i z powrotem nad brzegiem strumienia, nie zważali nawet na Paluszkę. Stali trzymając w rękach wielkie gałęzie iglaste, które poprzednio umaczali w strumieniu i których widocznie chcieli użyć do gaszenia ognia. Nie było ich wielu i przedstawiali niezwykle widok, gdy tak stali spokojnie, gotowi do walki, podczas kiedy wszystko, co żywe, uciekało.

Gdy ogień z głośnym traskiem i hukiem, roznosząc piekielny żar i duszący dym, pędził ze wzgórza na dół i nie czekając ani chwili zabierał się do przeskoczenia przez strumień i otaczające go zielone drzewa, ludzie cofnęli się z początku mimo woli, jak gdyby w obawie, że nie wytrzymają. Lecz nie uciekli daleko i powrócili niebawem.

Teraz pożar szerzył się z szaloną gwałtownością. Iskry sypały się na drzewa liściaste jak deszcz ognia. Długie, ogniste języki wysuwały się z sykiem z dymu, jak gdyby las po drugiej stronie przyciągał je do siebie.

Lecz drzewa liściaste powstrzymywały ogień, a pod drzewami pracowali ludzie. Tam gdzie ziemia zaczynała dymić, znosili wodę w wiadrach i polewali ją. Gdy dym ogarniał drzewo, podcinali je potężnymi uderzeniami siekiery, obalali i gasili płomienie.

Tam gdzie ogień tlił się w paprociach i wrzosach, tłumili go mokrymi gałęziami i dusili.

Dym był teraz tak gęsty, że przesłaniał wszystko. Nie można było dojrzeć, jak się walka odbywała, ale łatwo było zauważyć, że była ciężka, a niejednokrotnie niewiele już brakowało, aby ogień odniósł zwycięstwo.

Lecz — na szczęście — po pewnym czasie głośny huk i trzask szalejącego ognia zaczęły ustawać i dym powoli rozpraszał się.

Drzewa liściaste utraciły wszystkie swe liście, ziemia u ich stóp była całkowicie opalona, ludzie poczernieli od dymu i ociekali potem, lecz pożar został stłumiony — las przestał płonąć.

Dym biały i miękki wił się teraz po ziemi, a z niego wyłaniało się mnóstwo czarnych pni. To było wszystko, co pozostało ze wspianego lasu.

Chłopiec wdrapał się na złom skalny i stamtąd przypatrywał się walce ludzi z ogniem.

Teraz jednak, kiedy las był uratowany, Paluszkowi zaczęło grozić inne niebezpieczeństwo: nagle

zwrócili na niego uwagę puchacz i jastrząb.

Lecz w tej samej chwili chłopiec usłyszał dobrze znany głos, wołający go po imieniu. To Gorgo, orzeł królewski, przelatywał z szumem nad lasem. I niebawem chłopiec, uwolniony od wszelkiego niebezpieczeństwa, unosił się wysoko w powietrzu.

VÄSTERBOTTEN I LAPONIA



PIĘCIU WYŚLAŃCÓW

Podczas swego pobytu w Skansen Nils Holgerson siedział pewnego razu pod schodami chaty z Bollnäs i słuchał, jak Klemens Larson i stary Lapończyk rozmawiali o Laponii. Obaj zgadzali się na to, że Norrland jest najpiękniejszą częścią Szwecji; tylko że Klemensowi podobala się najbardziej okolica położona na południe od rzeki Ängerman, Lapończyk zaś utrzymywał, że godniejsze uwagi są okolice położone na północ od tej rzeki.

W ciągu rozmowy okazało się jednak, że Klemens nie był nigdy na północy dalej niż w Härnösand, wobec czego Lapończyk nie mógł się powstrzymać od śmiechu, iż Klemens wyraża się z tak wielką pewnością o okolicach, których nigdy nie oglądał.

— Widzę, Klemensie, że będę ci musiał opowiedzieć historię, z której się dowiesz, jak wygląda Västerbotten, Laponia i wielki Sameland, gdzie dotychczas jeszcze nie byłeś — rzekł.

— Nikt o mnie nie może powiedzieć, żebym wymawiał się kiedykolwiek od słuchania opowiadań, zarówno jak nikt nie powie o tobie, że odmówiłeś kiedykolwiek filiżanki kawy — odrzekł Klemens.

I stary Lapończyk rozpoczął swe opowiadanie.

— Słuchaj tedy, Klemensie. Zdarzyło się raz, że ptaki gnieźdzące się na południu Szwecji poniżej starego Samelandu orzekły, iż siedzą zbyt ciasno jedne przy drugich i że brak im miejsca, aby się wygodniej osiedlić. Postanowiły więc przenieść się dalej na północ.

Zebrały się na naradę. Młode i niecierpliwe chciały zaraz puścić się w drogę, lecz stare i rozważne ptaki obstawały przy tym, aby, najpierw wysłać kilka spośród siebie na zwiady dla zbadania kraju.

„Każda z pięciu wielkich gromad ptasich ma wysłać jednego ptaka spośród siebie — rzekli mędrcy — żebyśmy się wszystkie dowiedziały zawczasu, czy znajdziemy tam w górze odpowiednie miejsca do wylęgu, dostateczną ilość pożywienia i bezpieczne kryjówki.

Węc pięć wielkich gromad ptasich wybrało od razu pięć dzielnych, rozsądnych ptaków. Ptaki leśne — głuszka, ptaki polne — skowronka, ptaki morskie — mewę, ptaki nadbrzeżne — kraskę, a ptaki

górskie — pardwę.

Zanim tych pięć ptaków puściło się w drogę, głuszec, największy i najpotężniejszy z całej piątki, rzekł:

„Mamy do przebycia bardzo wielkie przestrzenie. Jeżeli będziemy leciały wszystkie razem, potrwa to zbyt długo, nim przelecimy nad całą krainą, którą powinniśmy zbadać. Jeśli jednak każde z nas polecą w innym kierunku i samo na swoją rękę zbada pewną część okolicy, to wtedy uda nam się wykonać nasze zadanie w ciągu kilku dni”.

Reszta ptaków zgodziła się na tę propozycję i przystąpiła natychmiast do jej wykonania. Postanowiły więc, że głuszec ma zbadać środkową część kraju, skowronek ma polecieć na wschód, mewa jeszcze dalej w kierunku wschodnim, tam gdzie ląd styka się z morzem, kraska podjęła się polecieć na zachód, aż nad samą granicę lądu, a pardwa wprost na północ.

W takim porządku pięć ptaków poleciało na północ, tak daleko, jak ląd sięgał. Po pewnym czasie powróciły i opowiedziały zgromadzonym ptakom to, co widziały.

Mewa, która leciała wzdłuż brzegów morskich, przemawiała pierwsza.

„Kraj tam, w górze, na północy jest odpowiedni — rzekła. — Składa się z jednego jedyne szereguszkier. Wszędzie widać zarybione zatoki i lesiste przylądki i wyspy, z których większość jest nie zamieszкана. Ptaki więc nadmorskie znajdują tam wszędzie doskonałe miejsca do wylęgu. Ludzie zajmują się po trosze rybołówstwem i żeglarstwem po zatokach, ale nie na tyle, aby to nam, ptakom, mogło przeszkadzać. Jeśli ptaki morskie posłuchają mojej rady, wybiorą się natychmiast w drogę na północ”.

Po mewie zabrał głos skowronek, który zwiedził część kraju leżącą przy wybrzeżu.

„Nie rozumiem, co tam mewa opowiada o przylądkach i o wyspach — rzekł. — Ja widziałem tylko wielkie pola i przepyszne, kwitnące łąki. Jak długo żyję, nie spotkałem jeszcze krainy, którą by przerzynało tyle rzek. Z prawdziwą przyjemnością patrzyłem, jak cicho i jednostajnie toczą przez równinę te wszystkie potoki i strumienie ogromne masy swych wód. Na brzegach stoją zagrody chłopskie tak gęsto jedna przy drugiej jak domy przy ulicy, a przy ujściach rzek wznoszą się miasta. Poza tym kraina ta jest bardzo opuszczona i skąpo zaludniona. Jeśli ptaki polne posłuchają mojej rady, wyruszą natychmiast w drogę na północ”.

Po skowronku przyszła kolej na głuszcę, który zwiedził wnętrze krainy.

„Ja nie rozumiem ani tego, co skowronek opowiada o swoich łąkach, ani tego, co mewa mówi o swoich szkierach — rzekł. — Podczas podróży nie widziałem nic prócz lasów sosnowych i świerkowych, ogromnej ilości mokradeł i mnóstwa burzliwych rzek. Wszystko, co nie było trzęsawiskiem albo rzeką, było ciemnym borem; nie widziałem zaś ani pól, ani siedzib ludzkich. Gdyby ptaki leśne posłuchały mojej rady, puściłyby się zaraz w drogę na północ”.

Po głuszcę zdawała sprawę kraska, która zbadała część kraju po drugiej stronie lasów.

„Nie pojmuję, gdzie skowronek i mewa miały oczy — rzekła. — Przecież tam, w górze, nie ma prawie wcale ziemi. Tylko same wielkie jeziora, ujęte w piękne brzegi, świecą ciemnym błękitem, tu i ówdzie rozszerzając się i tworząc szumiące wodospady. Nad niektórymi z tych jezior widziałam kościoły i wsie, inne jednak spoczywały samotnie i cicho. Gdyby ptaki rzeczne posłuchały mojej rady, wyruszyłyby zaraz w drogę na północ”.

Na zakończenie zabrała głos pardwa, która poleciała nad samą granicę lądu z morzem.

„Nie pojmuję, co się krasce śni o jeziorach, a nie rozumiem już zupełnie, jaki to kraj widziały głuszec, skowronek i mewa — rzekła. — Ja znalazłam tam, w górze, rozległy kraj górzysty. Nigdzie nie spotkałam równin, tym bardziej wielkich lasów, tylko szczyty górskie przy szczytach, skały przy skałach. Widziałam pola lodowe i śniegi, a także potoki górskie o śnieżnobiałej wodzie. Żadnych pól, żadnych łąk, jak daleko

oko sięgało, tylko wielkie stopy pokryte wierzbą, karłowatymi brzozaami i mchem reniferowym. Nie spotkałam ani wieśniaków, ani zwierząt domowych, ani zagród, lecz Lapończyków, renifery i namioty lapońskie. Jeśli ptaki górskie posłuchają mojej rady, wyruszą w drogę”.

Skończywszy swe przemówienia, pięciu wysłańców zaczęło się sprzeczać, nazywać wzajemnie kłamcami i byli już gotowi rzucić się na siebie, aby walką poprzeć prawdę swych słów. Lecz stare, rozumne ptaki, które wysłały je na zwiady, wysłuchały sprawozdania z wielką radością i uspokoiły zwaśnionych,

„Nie sprzeczaście się! — rzekły. — Ze słów waszych wnioskujemy, że tam, w górze, na północy jest i piękna kraina górska, i bogaty łód nadmorski, i rozległa okolica lesista, i urocza kraina jezior, i wielka ilość szkier. Jest to więcej, niż oczekiwaliśmy. Zaprawdę, niewiele państw może się tym poszczycić, że mieszczą to wszystko w obrębie swych granic”.

WĘDRUJĄCA ZIEMIA

Sobota, 18 czerwca

Teraz, kiedy Nils Holgerson przelatywał nad krainą, o której opowiadał Lapończyk, przypomniła mu się znowu ta historia. Orzeł

mówił mu, że płaski pas nadbrzeżny, który się rozpościera pod nimi, to Västerbotten, a wyżyny błękitniejące daleko na wschodzie — to Laponia.

Ach, jakże Nils Holgerson był szczęśliwy, że siedzi znów, cały, na grzbiecie orła, po tym strachu, jaki przeżył podczas pożaru lasu! Już to uczucie było samo przez się radosne, a przy tym i podróż była cudownie piękna. Rano wiatr dął od północy, teraz zmienił kierunek — wędrowcy mieli go z tyłu i dlatego nie odczuwali go wcale. Ponieważ lot orła był zupełnie równy, chłopcu zdawało się niekiedy, że Gorgo tkwi nieruchomo w powietrzu i porusza tylko ciągle skrzydłami, a sam nie rusza z miejsca. Natomiast wszystko, co Nils widział pod sobą, zdawało się być w ruchu. Cała ziemia i wszystko, co było na niej, posuwało się powoli w kierunku południowym. Lasy, domy, łąki, płoty, rzeki, wioski, szkiery, tartaki — wszystko wędrowało! Chłopiec zastanawiał się, dokąd to wszystko dąży. Czy tym wszystkim rzeczom sprzykrzyło się tak długo stać na północy i chciały się przenieść teraz na południe?

Wśród tego wszystkiego, co się poruszało i wędrowało na południe, jedna tylko rzecz stała nieruchomo — mianowicie pociąg. Znajdował się właśnie pod nimi, a działo się z nim zupełnie to samo, co z orłem. Aż tutaj w górze chłopiec słyszał, że koła turkoczą głośno po szynach, ale sam pociąg nie ruszał się.

Mknęły pod nimi lasy, przesuwwały się domki dróżników, rogatki słupy telegraficzne, ale pociąg stał na miejscu. Szeroka rzeka, przecięta długim mostem, płynęła mu naprzeciw; ale rzeka z mostem przesunęły się bez żadnych trudności pod pociągiem.

W końcu nadbiegła stacja kolejowa. Naczelnik stacji stał na torze z czerwoną chorągiewką w ręku i posuwał się powoli ku pociągowi. Kiedy podniósł chorągiewkę, lokomotywa wyrzuciła jeszcze czarniejsze kłęby dymu niż poprzednio i zaświstała przeraźliwie, jak gdyby się skarżyła, że nie może ruszyć z miejsca. Ale w tejże chwili pociąg ruszył i razem ze stacją oraz ze wszystkim, co się znajdowało wokoło, sunął teraz w kierunku południowym. Chłopiec widział, jak otwierały się drzwi od wagonów, podróżni wysiadali, chociaż wraz z pociągiem posuwali się dalej w kierunku południowym. Lecz teraz Nils Holgerson odwrócił wzrok od ziemi i próbował patrzeć wprost przed siebie. Widok tego cudownego pociągu przyprawił go o porządny zawrót głowy.

Począł przyglądać się tedy pilnie białej chmurze, a po chwili, kie — dy ta rozrywka sprzykrzyła mu się, znowu zaczął patrzeć w dół. Wciąż jeszcze zdawało mu się, że orzeł tkwi nieruchomo w powietrzu, podczas gdy, wszystko wokoło pędziło na południe. Siedząc tak na grzbiecie orła i nie mogąc się zająć niczym innym, poza własnymi myślami, chłopiec dla rozrywki wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby całe Västerbotten ruszyło i pociągnęło na południe. Gdyby tak oto pole, które właśnie przesunęło się pod nimi — a musiało być dopiero co zasiane, gdyż nigdzie nie było widać ani jednego zielonego źdźbła — pomknęło ku południowej równinie Skanii, tam gdzie żyto o tej porze już się kłosi.

Tutaj, wysoko, lasy iglaste zmieniły swój wygląd. Drzewa rosły daleko jedno od drugiego, miały krótkie gałęzie i prawie czarne igły. Na wielu drzewach wierzchołki były poschnięte — musiały być chore. Ziemię pod nimi pokrywały zwalone kłody, których nikt nie myślał uprzętać. A gdyby taki las mógł zawędrować tak daleko, że zobaczyłby Kolmården?! Jakże nędznym musiałby wydawać się po tym sam sobie!

A ogród, który Nils właśnie widział pod sobą? Rosły w nim piękne drzewa, ale nie były to ani drzewa owocowe, ani szlachetne lipy czy kasztany, lecz jarzębiny i brzozy. Rosły w nim także piękne krzewy, ale nie był to jaśmin ani pachnący bez, tylko czeremcha trzmielina. Chłopiec widział także grządki warzywne, nie były jednak ani skopane, ani zasadzone. A gdyby taki ogródek zajechał przed któryś z pańskich ogrodów w Sörmland?! Odtąd uważałby pewnie sam siebie za pustynię!

Albo też tamta łąka, pokryta tyloma małymi, szarymi stodołami, że wyglądała, jakby połowa gruntu użyta została pod budowle! Jakżeby się wieśniacy tamtejsi zdziwili, gdyby zawędrowała ona na równinę ostrogocką!

Lecz gdyby to wielkie trzęsawisko, które teraz ciągnęło się pod nimi z mnóstwem sosen, nie rosnących jednak prosto i równo, jak w zwykłych lasach, tylko rozrzuconych w pięknych grupach, o rozgałęzionych konarach i bujnych koronach, na najpiękniejszym dywanie z mchu reniferowego — gdyby to trzęsawisko przeniosło się do klasztoru w Öved, wspaniały park tamtejszy musiałby przyznać, że znalazł coś równego sobie.

A gdyby tak drewniany tutejszy kościół, oszalowany czerwonymi deskami, z różnokolorową dzwonnica i mnóstwem starych zabudowań kościelnych, w których nocowały rodziny przybywające z daleka — gdyby kościół ten pokazał się jednemu z tych wielkich, kamiennych kościołów na wyspie Gottlandii! Na pewno miałyby sobie wzajemnie dużo do powiedzenia!

Lecz dumę i chlubę całej okolicy stanowiły rzeki o ciemnych wodach, ze swymi wspaniałymi dolinami, tymi dolinami, które miały tak liczne zagrody, obfitowały w drzewo budulcowe, w tartaki, we wsie i przy ujściach roiły się mnóstwem parowców! Gdyby taka rzeka przepasała kraj położony niżej, chyba wszystkie rzeki i strumienie w nim zapadłyby się w ziemię ze wstydu!

A co by to było, gdyby równina taka olbrzymia, tak dobrze położona, tak łatwo nadająca się do uprawy, jak ta oto równina, przesunęła się przed oczyma ubogich wieśniaków smålandzkich! Porzuciliby natychmiast swe małe pólka i kamieniste łąki i wzięliby się gorliwie do kopania i uprawy!

I patrzcie, w jedno tylko kraj ten bogatszy był od wszystkich innych, a mianowicie — w światło. Żurawie spały stojąc na mokradłach — noc musiała już nastąpić, ale światło nie zniknęło. Słońce nie posunęło się na południe, jak to zazwyczaj czyni. Przeciwnie, posunęło się tak daleko na północ, że świeciło chłopcu promieniami swymi prosto w oczy. I widocznie nie miało wcale zamiaru zniknąć za horyzontem.

A gdyby tak to światło i to słońce świeciły w Vestvemmenhög?! Bardzo by się to podobało chałupnikowi Holgerowi Nilsonowi i jego żonie — dzień roboczy trwałby dwadzieścia cztery godziny.

Niedziela, 19 czerwca

Nils Holgerson podniósł głowę i nagle rozejrzał się przytomnie wokoło siebie. A to dziwne! Oto leży tutaj i spał najwidoczniej w miejscu, w którym nigdy jeszcze dotychczas nie był. Nie, tej doliny, w której teraz się znajduje, zarówno jak i otaczających ją gór, nie widział nigdy. Nie przypominał sobie okrągłego jeziora leżącego pośrodku doliny, nie pamiętał też, aby kiedykolwiek oglądał tak nędzne i skarłowaciałe brzozy jak te, pod którymi spoczywał.

A gdzie jest orzeł? Nie mógł go nigdzie dojrzeć! Gorgo musiał go porzucić. A to dopiero przygoda!

Chłopiec położył się znowu na ziemi, zamknął oczy i usiłował wywołać w pamięci wszystko to, co zaszło przed jego zaśnięciem.

Przypominał sobie, że przez cały czas, kiedy przelatywali nad Västerbotten, zdawało mu się, iż orzeł wisi wciąż nieruchomo w powietrzu na jednym miejscu, gdy tymczasem cała kraina pod nimi wędruje na południe. Potem jednak orzeł zwrócił się na północno — zachód i w tejże chwili ziemia pod nim stanęła i chłopiec uczył, że orzeł niesie go z chyżością wiatru.

— Lecimy teraz do Laponii — rzekł Gorgo. chłopiec natychmiast wysunął głowę, aby zobaczyć krainę, o której tyle słyszał.

Ale doznał pewnego rozczarowania, gdyż ujrzał same tylko wielkie lasy i rozległe mokradła. Nic, oprócz lasów i mokradeł — mokradła i lasy bez końca. Wielka jednostajność przyprawiła go w końcu o taką senność, że o mało co nie spadł na ziemię.

Powiedział więc do orla, że nie może dłużej usiedzieć na jego grzbiecie i musi się koniecznie trochę przespać. Gorgo natychmiast opuścił się w dolinę i chłopiec rzucił się w mech. Niebawem jednak Gorgo ujął go w szpony i uniósł się z nim znowu w powietrze.

— Spij sobie, Paluszkule! — zawołał. — Mnie trzeźwi blask słoneczny, chcę więc lecieć dalej.

I mimo że chłopiec wisiał bardzo niewygodnie w szponach orla, zasnął jednak i wtedy nawiedził go sen.

Śnił, że znajduje się na szerokiej drodze w południowej Szwecji i że biegnie po niej tak szybko, jak go tylko małe nogi unieść mogą. Nie był jednak sam, mnóstwo wędrowców ciągnęło tą samą drogą. Tuż obok niego maszerowały łodygi żyta z ciężkimi kłosami na wierzchu, szafirowe bławatki i inne barwne kwiatki polne. Jabłonie ugiwały się pod ciężarem swych owoców, za nimi dążyły fasola groch z pełnymi strąkami, dalej bujne kępy mleczów i całe zarośla krzewów jagodowych. Wielkie drzewa liściaste: buki, dęby i lipy, kroczyły spokojnie środkiem drogi. Korony ich szumiały z dumą, a one nie ustępowały z drogi nikomu. Małe rośliny — krzaczki poziomek, sasanki, lwia paszcza, konieczyna i niezapominajki — plątały się wielkim pod nogami. początku chłopiec sądził, że same tylko rośliny wędrują po tej drodze, lecz wkrótce przekonał się, że są tam i ludzie, i zwierzęta. Wśród sunących naprzód roślin brzęczały owady, w rowach płynęły ryby, na wędrujących drzewach śpiewały ptaki, oswojone i dzikie zwierzęta biegły na wyścigi. A wśród tego tłumu dążyli ludzie: jedni nieśli motyki i kosy, inni siekiery, inni jeszcze strzelby, a niektórzy przybory rybackie.

Pochód posuwał się wesoło i ochoczo naprzód, co nie dziwiło chłopca wcale, skoro ujrzał, kto go prowadzi. Było to bowiem, ni mniej, ni więcej, tylko samo słońce. Ono to toczyło się po drodze przed nimi niby olbrzymia, błyszcząca głowa otoczona różnobarwnie promieniejącymi włosami, z obliczem świecącym wesołością dobrocią.

— Naprzód! — wołało bezustannie. — Niech się nikt nie lęka, dopóki ja jestem. Naprzód! Naprzód!

— Chciałbym wiedzieć, dokąd słońce zamierza nas zaprowadzić? — zapytał chłopiec.

Żdźbła żyta, które szły obok niego, usłyszały pytanie chłopca i odrzekły natychmiast:

— Słońce chce nas poprowadzić do Laponii, gdzie mamy walczyć z olbrzymem, pod którego tchnieniem wszystko zamienia się w kamień.

Nils Holgerson ujrzał wkrótce, że stopniowo niektórzy spośród wędrowców zaczęli się wahać, ociagać i w końcu stanęli. Widział, jak zatrzymały się wielkie buki. Samy i pszenica stanęły nad brzegiem rowu, podobnie i krzaki jeżyn, i żółte mleczce, kasztany i kuropatwy.

Obejrzał się, żeby zbadać, dlaczego tylu wędrowców zatrzymało się, i stwierdził, że nie znajduje się już w południowej Szwecji — podróż poszła nadzwyczaj szybko, znajdowali się już w Svealandzie.

Tutaj dąb posuwał się coraz powolniejszymi krokami. Stanął na chwilę, zrobił jeszcze kilka wahających się kroków i zatrzymał się zupełnie.

— Dlaczego dąb nie idzie z nami? — zapytał chłopiec.

— Boi się olbrzyma — odezwała się jasna, zielona brzoźka, która kroczyła naprzód tak wesoło i ochotczo, że przyjemnie było na nią patrzeć.

Chociaż już wielu podróżnych pozostało w tyle, to jednak jeszcze duża gromada wędrowała z wielką ochotą. A słońce toczyło się przez cały czas przed nią i wołało:

— Naprzód! Naprzód! Niech się nikt nie lęka, dopóki ja jestem!

Pochód dążył dalej z tym samym pośpiechem. Wkrótce dotarł do

Norrlandu. Ale teraz nie pomogły już żadne prośby ani błagania słońca. Stanęła jabłoń, stanęła wiśnia i owies stanął również.

Chłopiec zwrócił się do nich:

— Dlaczego nie chcecie iść z nami? Dlaczego opuszczacie słońce? — zapytał.

— Nie mamy odwagi. Boimy się olbrzyma, który mieszka tam, wysoko, w Laponii — odrzekły.

Chłopiec wywnioskował stąd, że musieli zejść już bardzo daleko w głąb Laponii, gdyż gromada zmniejszała się coraz bardziej. Żyto i jęczmień, poziomka i borówka, porzeczka i fasola — doszły aż tutaj; łosie i krowy wędrowały dotąd głowa przy głowie — teraz jednak stanęły wszystkie. Ludzie szli jeszcze jakiś czas dalej, lecz i oni zatrzymali się w końcu. Słońce zostałoby prawie zupełnie opuszczone, gdyby nie przybyli nowi towarzysze podróży. Do pochodu przyłączyły się zarośla wierzbowe i mnóstwo innych krzaków, a także i Lapończycy, i renifery, sowy górskie, lisy niebieskie i pardwy.

Teraz chłopiec usłyszał, że coś biegnie im na spotkanie. Mnóstwo strumieni i rzek pędziło z gwałtownym szumem i hukiem.

— Dokąd one tak śpieszą? — zapytał chłopiec.

— Uciekają przed olbrzymem, który mieszka tam wysoko w górach — odrzekła pardwa.

Nagle Nils Holgerson ujrzał wprost przed sobą wysoki, ciemny mur zakończony ostrymi szczytami. Na widok tego muru wszyscy chcieli się cofnąć, ale słońce zwróciło szybko promienne swe oblicze na mur i sypnęło nań swym światłem. I patrzcie! Nie było już muru przed nimi, lecz cudnie piękne góry piętrzące się jedne nad drugimi. Wierzchołki lśniły w blasku słonecznym, a stoki przeświecały błękitem w złociste pasy.

— Naprzód! Naprzód! Nie ma niebezpieczeństwa, dopóki ja tu jestem! — zawołało słońce i potoczyło się po stromych urwiskach,

Ale na tej drodze pod górę opuściły słońce dzielna młoda brzoza silna sosna i wytrzymały świerk. Tutaj opuściły je także renifery zostali jedynie Lapończycy i krzaki wierzbowe. I w końcu kiedy słońce dotarło na szczyt góry, nie było już nikogo przy nim, prócz małego Nilsa Hoigersona,

Słońce potoczyło się w przepaść, której ściany pokryte były lodem, i Nils Holgerson chciał podążyć za nim, ale doszedł zaledwie do skraju przepaści, gdy nagle ujrzał coś strasznego. W głębi przepaści siedział stary potwór, ciało miał z lodu, włosy z sopli lodowych i płaszcz ze śniegu. Przed potworem

leżały trzy czarne wilki, które podniosły się na widok słońca i otwały szeroko swe paszcze. A wówczas z jednej paszczy wilczej buchnęło lodowate zimno, z drugiej — siekący wiatr północny, z trzeciej — czarne ciemności,

„To jest zapewne ów olbrzym zamieniający wszystko w kamień!” — pomyślał chłopiec. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że uczyniłby najlepiej, gdyby wziął nogi za pas i uciekł, był jednak zbyt ciekawy, jak się odbędzie spotkanie między słońcem a potworem, został więc i czekał.

Potwór nie ruszał się. Straszne swe lodowe oblicze zwrócone miał nieruchomo w stronę słońca, a słońce stało również zupełnie cicho, śmiejąc się i promieniejąc bezustannie. Tak minął jakiś czas i chłopcu zdawało się, że potwór zaczyna wzdychać i jęczeć. Płaszcz ze śniegu zsunął mu się z ramion, a trzy straszliwe wilki nie wyły już tak głośno.

Wtem słońce zawołało nagle:

— Teraz mój czas się skończył! — i potoczyło się za przepaść.

Wówczas potwór wypuścił swoje trzy wilki i naraz z przepaści wypadły mróz, wiatr północny i ciemności i pognały za słońcem.

— Wypędźcie je precz! — krzyczał potwór. — Wypędźcie je tak daleko, żeby nigdy wrócić nie mogło! Pokażcie mu, że Laponia do mnie należy!

Nils Holgerson, usłyszawszy, że słońce ma być wygnane z Laponii, przeraził się nadzwyczajnie, zerwał z głośnym krzykiem i... obudził się.

Kiedy przyszedł nieco do siebie, zobaczył, że leży w wielkiej dolinie skalistej, otoczonej górami. Ale gdzie był Gorgo? I jakżeż się orzeł dowie o tym, gdzie on, Nils, przebywa?

Podniósł się i rozejrzał wokoło. Wtem wzrok jego padł na dziwaczne gniazdo uwite z gałęzi choinowych na wysokiej skale.

„To jest zupełnie takie samo gniazdo orle, jakie Gorgo...”

Ale Nils Holgerson nie skończył swojej myśli. Zamiast tego zerwał czapkę z głowy, rzucił ją w powietrze i krzyknął: „Wiwat!” Odgadł, gdzie go Gorgo zaniósł! Oto była dolina, w której na urwisku skalnym mieszkały orły, a w dole — dzikie gęsi. Był u celu! Za chwilę połączy się znowu z gąsiorem Marcinem, z Akką i wszystkimi towarzyszami podróży.

U CELU

Chłopiec począł chodzić powoli wokoło i szukać swoich przyjaciół. W całej dolinie było zupełnie cicho. Słońce nie wyjrzało jeszcze spoza ścian skalnych, godzina więc musiała być bardzo wczesna i dzikie gęsi nie mogły się jeszcze obudzić. Zaledwie chłopiec zrobił kilka kroków naprzód, gdy stanął z uśmiechem, ujrawszy coś bardzo pięknego. W trawie spała dzika gęś w małym gniazdku, a obok niej stał gąsior. I on spał, ale widocznie dlatego stanął tak blisko, aby w razie niebezpieczeństwa być w pogotowiu.

Nie przeszkadzając tej parze, chłopiec poszedł dalej i zaglądał między małe krzaki wierzbowe, które rosły tu wszędzie. Wkrótce też odkrył znowu parę gęsi. Te nie należały do jego stada, były obce, ale chłopiec ucieszył się jednak bardzo ich widokiem. I nagle zanucił wesołą piosenkę z samej radości, że je tutaj spotkał.

Teraz szukał znów w krzakach, aż znalazł wreszcie znajomą parę. Siedząca na jajach gęś to była z całą pewnością Neli, gąsior zaś, stojący przed nią, to — Kolme. Tak, tak, na pewno! Nie podobna było się mylić!

Miał wielką ochotę obudzić oboje, porzucił jednak ten zamiar i udał się w dalszą drogę.

W sąsiednich zaroślach znalazł Visi i Kusi, a niedaleko od nich Yksi i Kaksi. Wszystkie cztery spały i chłopiec przeszedł obok, nie budząc ich.

Kiedy się zbliżył do następnego krzaka, zdawało mu się, że spostrzega coś białego, przeświecającego między gałęziami, i natychmiast serce zaczęło mu bić z radości głośno i prędko. Tak, tego się spodziewał! Tam w głębi siedziała na jajach Lekkopuszką, taka milutka jak zawsze, a obok niej stał biały gąsior. Chłopiec zauważył, iż nawet we śnie można było poznać po nim, jaki był dumny z tego, że może tutaj wysoko w górach laplandzkich stać na straży przy swej małżonce.

Lecz i białego gąsiora chłopiec nie chciał budzić i poszedł cicho dalej.

Musiał dość długo szukać, zanim napotkał znowu inną parę dzikich gęsi. Ale nagle odkrył na małym pagórku coś, co przypominało szarą grudkę ziemi. A gdy się zbliżył do podnóża tego pagórka, grudka ziemi okazała się Akką z Kebnekajse, która, zupełnie przytomna i rozbudzona, rozglądała się wokoło, jak gdyby czuwała nad całą doliną.

— Dzień dobry, matko Akko! — zawołał chłopiec. — Jak to dobrze, żeście się zbudzili. Czy zechcecie jeszcze trochę zaczekać z obudzeniem innych gęsi? Chciałbym bardzo porozmawiać z wami chwilę na osobności.

Stara przodownica rzuciła się z pagórka w dół, wprost na chłopca. Najpierw schwyciła Nilsa i potrząsnęła nim, potem przesunęła dziobem po całym jego ciałku tam i z powrotem, a potem potrząsnęła nim jeszcze raz. Ale nie powiedziała ani słowa, prosił ją przecież, żeby nie budziła tamtych.

Paluszek ucałował starą matkę Akkę w oba policzki, a potem zaczął opowiadać, jak go schwytano i przyniesiono do Skansen.

— A teraz mogę wam jeszcze opowiedzieć, że lis Mykita z odgryzionym uchem, siedział uwięziony w klatce z lisami w Skansen — ciągnął chłopiec dalej, skończywszy opowiadanie o swoich przygodach. — A chociaż postępował bardzo brzydko względem nas, było mi go jednak serdecznie żal. Znajdowało się tam jeszcze wiele innych lisów w owej wielkiej klatce na lisy i te zdawały się tam czuć bardzo dobrze, lecz Mykita siedział zawsze bardzo smutny i tęsknił za wolnością. Powoli pozyskałem sobie w Skansen bardzo wielu dobrych przyjaciół i pewnego dnia dowiedziałem się od psa lapońskiego, że do Skansen przybył człowiek, który chce kupić lisy. Pochodzi z wyspy leżącej daleko na morzu. Na tej wyspie wytrzebiono wszystkie lisy, wskutek czego nie można się teraz opędzić od szczurów i dlatego chcą sprowadzić je tam na nowo.

Skoro się tylko dowiedziałem o tym, podszedłem do klatki lisiej i powiedziałem: „Mykito, jutro przyjdą tutaj ludzie, którzy chcą kupić kilka lisów. Nie chowaj się więc, lecz zostań na widoku i staraj się, aby cię zabrano, wtedy odzyskasz wolność”. Posłuchał mojej rady i teraz biega zapewne wolny po owej wyspie. Co powiecie na to, matko Akko? Czy to był czyn według waszej myśli?

— Gdybym ja sama była na twoim miejscu, nie mogłabym lepiej postąpić — odrzekła Akka.

— Cieszy mnie, że pochwalacie moje postępowanie — rzekł chłopiec. — Teraz jednak chciałbym się was zapytać o coś innego. Pewnego dnia ujrzałem, że orzeł Gorgo, ten sam, który wówczas walczył z gąsiorem Marcinem, został przywieziony do Skansen jako więzień i osadzony w klatce z orłami. Wyglądał bardzo nędznie i był smutny. Niekiedy miałem ochotę wypiłować dziurę w klatce drucianej nad jego głową, aby mógł wylecieć. Ale potem myślałem sobie: „Nie, nie, przecież to niebezpieczny rabuś i morderca ptaków!” Nie wiedziałem, czy byłoby słuszne wypuszczać takiego winowajcę, i dlatego pomyślałem w końcu, że będzie chyba najlepiej, jeśli zostanie tam, gdzie jest. Co powiecie na to, matko Akko? Czy dobrze zrobiłem?

— Nie, nie miałeś wcale racji — rzekła Akka. — Można o orłach myśleć, co się chce, ale to pewne, że mają one więcej godności i umiłowania swobody od wszystkich innych zwierząt, i wielką krzywdą jest trzymanie ich w więzieniu. Wiesz, co ci proponuję? Skoro wypoczniesz, polecimy oboje na dół do

wielkiego więzienia ptasiego i uwolnimy Gorga.

— Takich słów oczekiwałem od was, matko Akko. Niektórzy twierdzą, że nie macie już serca dla ptaka, którego wychowaliście z tak wielkim trudem, dlatego że żyje on tak, jak orzeł żyć musi, idąc za głosem swej natury. Ale oto usłyszałem od was, że tak nie jest. Teraz pójde zajrzeć, czy gąsior Marcin się już obudził, a wy, jeśli tymczasem chcecie podziękować temu, który mnie do was przyniósł, to znajdziecie go z pewnością w górze na urwisku skalnym, gdzieście niegdyś znaleźli bezradne pisklę orle.

GĘSIARKA AZA I JEJ BRACISZEK MATS



CHOROBA

W tym roku, kiedy Nils Holgerson podróżował z dzikimi gęśmi, mówiono dużo o dwojgu dzieci wędrujących po kraju. Pochodziły one ze Smålandu z okręgu Sunnerbo i mieszkały niegdyś z rodzicami i czworgiem rodzeństwa w chacie na wielkim stepie Ljungheide. Kiedy dzieci były jeszcze bardzo małe, pewnego wieczoru zastukała do drzwi domku uboga kobieta prosząc o nocleg. Chociaż w chacie było mało miejsca nawet dla mieszkańców, przyjęto ją jednak chętnie i matka przygotowała jej poślanie na podłodze. Przez całą noc biedaczka kaszłała tak strasznie, iż dzieciom zdawało się, że dach zawali im się nad głową, a następnego ranka czuła się tak chora, że nie mogła się ruszyć z miejsca.

Gospodarz i gospodyni byli dla niej dobrzy, na ile ich tylko było stać. Położyli ją do własnego łóżka, a sami spali na podłodze. Gospodarz poszedł nawet do doktora i przyniósł krople dla niej. Przez pierwsze dni kobieta zdawała się nie być przy zdrowych zmysłach, wciąż tylko żądała czegoś, nie dziękując ni słowem. Stopniowo jednak złagodniała, zmiękła i stała się pokorna i wdzięczna.

W końcu prosiła tylko ciągle, aby ją wyniesiono przed dom na step, żeby tam mogła umrzeć. A kiedy gospodarze nie chcieli spełnić jej żądania, opowiedziała im, że przez długie lata włóczyła się z gromadą Cyganów, chociaż nie jest pochodzenia cygańskiego. Jest córką zamożnego gospodarza, uciekła jednak z domu i połączyła się z Cyganami. A teraz zdaje się jej, że Cyganka, która czuła do niej nienawiść, sprowadziła na nią przekleństwem tę chorobę. Nie dość jednak na tym, Cyganka zagroziła jej, że nieszczęście spotka także każdego, kto ją przyjmie pod swój dach i będzie dla niej dobry. A ona wierzy temu przekleństwu — i dlatego prosi ich tak gorąco, aby ją wyrzucili z domu i nie troszczyli się o nią więcej, gdyż nie chce sprowadzić nieszczęścia na tak dobrych ludzi. Lecz gospodarze nie spełnili życzenia chorej.

Trudno wprawdzie powiedzieć, czy lęk ich nie ogarnął, ale nie mieli jednak serca wyrzucić za drzwi tak biednej, śmiertelnie chorej kobiety. —

Wkrótce kobieta umarła, a biednych ludzi nawiedziło niebawem nieszczęście. Dawniej w domu ich zamieszkiwało tylko wesele. Ubodzy byli wprawdzie zawsze, ale nie wpadli nigdy w ostateczną nędzę. Ojciec wyrabiał czółenka tkackie, a matka i dzieci pomagały mu przy tym. Ojciec toczył czółenka, a

matka i starsza siostra spajały je. Małe dzieci heblowały cewki i wykańczały je. Cała rodzina pracowała od rana do wieczora, wszyscy byli jednak zawsze weseli i dobrej myśli, szczególnie gdy ojciec opowiadał o owych czasach, kiedy wędrował po obcych krajach i sprzedawał swoje czółenka. Ojciec miał pogodne usposobienie i opowiadał często tak wesoło, że rozśmieszał matkę i dzieci do łez.

Czas po śmierci owej biednej kobiety stawał zawsze przed oczyma dzieci jak zły sen. Nie wiedziały już, czy trwało to długo, czy krótko, przypominały sobie tylko, że w domu jeden pogrzeb następował po drugim. Rodzeństwo ich umierało i kładziono je kolejno do grobu. Nie miały wprowadzić więcej nad czworo rodzeństwa, lecz dzieciom wydawało się, że było ich znacznie więcej. W końcu w chacie zapanowała straszliwa cisza i pustka. Było tak, jak gdyby co dzień odbywał się tam pogrzeb.

Matka trzymała się jakoś dzielnie, ale ojciec zmienił się zupełnie. Nie mógł już pracować ani żartować, siedział od rana do wieczora z głową ukrytą w rękach, pogrążony w zadumie.

Raz — było to po trzecim pogrzebie — wybuchnął gwałtownymi, rozpaczliwymi słowami, które przejęły dzieci strachem.

— Nie, nie mogę pojąć, dlaczego nawiedziło nas takie nieszczęście! — wołał. — Przecież zrobiliśmy tylko dobry uczynek pomagając chorej. Czyż na świecie zło ma większą moc od dobra?

Matka próbowała pocieszać go rozsądnymi słowami, ale nie udawało się jej tchnąć w niego tego spokoju i poddania się, jakim sama była przejęta.

W kilka dni później utracili ojca. Nie umarł wprowadzić, lecz porzucił ich. Ach, właśnie wtedy zachorowała najstarsza siostra, a ta była zawsze ulubienicą ojca! Kiedy się przekonał, że i ona musi umrzeć, uciekł, aby na to nie patrzeć. Matka powiedziała tylko, iż dla ojca lepiej jest, że go teraz nie ma przy nich. Oszalałby w końcu. Można przecież stracić rozum i zmysły rozmyślając ciągle nad tym, jak Bóg mógł dopuścić do tego, aby zły człowiek sprowadził tyle nieszczęścia na świat.

Kiedy ojciec odszedł, zubożeli bardzo. Z początku przysyłał im pieniądze, ale potem musiało się i jemu źle wieść, gdyż nie przysyłał już nic, i w dzień, kiedy starszą siostrę pochowano, matka zamknęła chatę i opuściła rodzinne strony z dwojgiem dzieci, które jej jeszcze pozostały. Udała się do Skanii, gdyż tam spodziewała się dostać robotę w polu. Otrzymała miejsce w cukrowni w Jordeberdze. Matka była doskonałą pracownicą i miała wesołe, pogodne usposobienie. Wszyscy ją lubili. Niejeden dziwił się temu, że po wszystkich swych przejściach mogła jeszcze zachować taki spokój; lecz ona miała silne i wytrzymałe serce. Gdy chwalono jej dwoje prześlicznych dzieci, odpowiadała tylko: „I one wkrótce umrą”, A mówiła to bez drżenia w głosie i bez łez w oczach. Przywykła już do tego, aby się niczego innego nie spodziewać.

Nie stało się jednak tak, iak myślała. Natomiast ona sama zachorowała. A koniec jej zbliżał się szybko, jeszcze prędzej niż u jej dzieci. Na początku lata przeniosła się do Skanii, a kiedy nadeszła jesień, dzieci zostały same.

Podczas swej choroby matka mówiła niejednokrotnie do dzieci, iż nigdy nie żałowała, że przyjęła wówczas do siebie ową biedną kobietę, i żeby dzieci tego nigdy nie zapomniały. Gdyż jeżeli się czyniło dobrze, to i śmierć łżej przychodzi. Wszyscy ludzie muszą umrzeć, nikt nie może ująć przed śmiercią, a czy umierać będziemy z czystym, czy z nieczystym sumieniem — to zależy tylko od nas.

Zanim matka umarła, starała się jeszcze, o ile mogła, zabezpieczyć dzieci. Prosiła ludzi, u których mieszkała, aby pozwolili dzieciom mieszkać nadal w tej samej izdebce, w której mieszkali we troje. Skoro tylko dzieci mieć będą jakiś swój kącik, nie staną się ciężarem dla nikogo: wie, że mogą utrzymać się same.

Dzieciom pozwolono oczywiście mieszkać w izdebce, musiały jednak za to pasać gęsi, gdyż do tego zajęcia nie łatwo znaleźć odpowiednie dzieci. I stało się tak, jak matka przewidziała: dzieci starały się same o swoje utrzymanie. Dziewczynka umiała przyrządzać lekarstwo od kaszlu, a chłopiec umiał

wyrabiać z drzewa rozmaite zabawki, które sprzedawał w okolicznych zagrodach. Dzieci miały także zdolności kupieckie i po pewnym czasie zaczęły skupywać u chłopów jaja i masło, które potem odprzedawały robotnikom w cukrowni. Były bardzo pracowite i słowne i można było na nich we wszystkim polegać. Dziewczynka była starsza. Mając zaledwie trzynaście lat była już osobą tak odpowiedzialną jak człowiek dorosły. Cicha i poważna, różniła się od chłopca, który tak był gadatliwy i wesoły, iż siostra mówiła o nim zawsze, że na łące trąjkocze na wyścigi z gęśmi.

Kiedy dzieci mieszkały już dwa lata w Jordeberdze, ogłoszono pewnego wieczoru odczyt w szkole. Odczyt był wprawdzie przeznaczony tylko dla dorosłych, ale dwoje smälandzkich dzieci siedziało także wśród słuchaczy. Ani bowiem inne dzieci, ani nawet dorośli nie zaliczali ich wcale do dzieci. Mówca mówił o owej smutnej chorobie, gruźlicy, której ofiarą pada co rok w Szwecji tyle ludzi. Mówił bardzo jasno i prosto i dzieci rozumiały każde słowo.

Po odczycie stanęły przed szkołą i czekały. Gdy mówca wyszedł na ulicę, wzięły się za ręce, podeszły z powagą do niego i zapytały go, czy mogłyby pomówić z nim o czymś.

Mówca spojrzał trochę zdziwiony na tych dwoje dzieci o okrągłych, różowych twarzyczkach, które stały przed nim i przemawiały z powagą właściwą ludziom trzy razy starszym. Mimo to wysłuchał je bardzo przyjaźnie.

Dzieci opowiedziały o tym, co przeżyły, i zapytały potem mówcy, czy sądzi, że ich rodzeństwo i matka umarły na tę chorobę, którą właśnie opisywał w swym odczycie.

— Tak, to bardzo prawdopodobne — odpowiedział mówca. — Nie mogła to chyba być inna choroba.

Dzieci pytały dalej. Czy gdyby ojciec i matka wiedzieli już wówczas to, czego się one dowiedziały tego wieczoru, i mieli się na baczności, gdyby spalili ubranie chorej i nie spali w tym samym łóżku — czy wtedy ci, których teraz opłakują, byłiby jeszcze przy życiu?

Mówca odpowiedział, że tego nikt z zupełną pewnością twierdzić nie może, ale wydaje mu się, że gdyby ich bliscy potrafili wtedy ustrzec się od zarażenia, nikt z nich nie musiałby umierać.

Teraz dzieci ociągały się przez chwilę z następnym pytaniem, lecz nie odchodziły, gdyż pytanie, na które chciały mieć odpowiedź, było dla nich najważniejsze. Wreszcie zapytały. Czy więc nie jest prawdą, że to Cyganka sprowadziła na nich chorobę za to, że przyszli z pomocą biednej kobiecie, do której Cyganka czuła nienawiść? Czy nie przekleństwo, rzucone przez nią, spowodowało ich nieszczęście?

— Nie, z pewnością nie — odrzekł mówca. Może ich o tym zapewnić z całą stanowczością. — Żaden człowiek nie ma takiej mocy, aby w ten sposób sprowadzić chorobę na drugiego człowieka.

Wiedzą zresztą przecież, że choroba zagnieździła się w całej okolicy, prawie we wszystkich domach, chociaż nie wszędzie zabrała tyle ofiar, co w ich rodzinie.

Dzieci podziękowały i wróciły do domu.

Następnego dnia przyszły do swego chlebobawcy i wymówiły miejsce. Powiedziały, że nie mogą tego roku pasać gęsi, ponieważ muszą się przenieść gdzie indziej. „Dokąd chcą pójść?” — zapytano. Pójdą szukać swego ojca — brzmiała odpowiedź. — Muszą mu powiedzieć, że matka i rodzeństwo umarły na zwykłą chorobę, a nie z powodu przekleństwa rzuconego przez złych ludzi. One tak się cieszą, że się o tym dowiedziały, dlatego też uważają za swój obowiązek podzielić się tą wiadomością z ojcem, gdyż myśl o przekleństwie zapewne do dziś zatrzuwa mu życie.

Najpierw dzieci udały się do swojej dawnej siedziby na stepie w Sunnerbo. A kiedy tam zaszły, ujrzały z wielkim zdziwieniem chatę swą w płomieniach.

Potem poszły do proboszcza i dowiedziały się od niego, że jakiś człowiek, który pracował przy kolei, spotkał ich ojca w Malmberget, wysoko w Laponii.

Wówczas pracował w kopalniach rudy i dziś może jeszcze tam pracuje, choć to nie jest pewne. Proboszcz, dowiedziawszy się, że dzieci chcą iść na poszukiwanie ojca, przyniósł mapę kraju, pokazał

im na niej, jak daleko jest do Malmberget, i odradzał im tę podróż. Ale dzieci powiedziały, że muszą tam pójść, gdyż chcą odnaleźć ojca. Porzucił on kraj rodzinny dlatego, że wierzył w coś, co było nieprawdą, muszą więc mu powiedzieć, że się mylił.

Dzieci zaoszczędziły sobie na handlu trochę pieniędzy, nie chciały ich jednak wydawać na kolej i postanowiły pójść pieszo. I nie żałowały tego potem wcale, ponieważ była to cudownie piękna wędrówka.

Jeszcze zanim opuściły Småland, wstąpiły pewnego dnia do zagrody wiejskiej, aby sobie kupić coś do zjedzenia. Gospodyni była wesoła i rozmowna, pytała dzieci, kim są i skąd idą, a dzieci opowiedziały jej całą swą historię. „Ach, mój Boże! Ach, mój Boże!” — wołała kobieta raz po raz podczas opowiadania dzieci. Potem postawiła przed nimi dużo dobrego jedzenia i nie chciała wziąć za to zapłaty. A kiedy, podziękowawszy, zabierały się do odejścia, gospodyni zapytała, czy nie chciałyby wstąpić do jej brata w sąsiedniej wsi, i powiedziała im, jak brat się nazywa i gdzie mieszka. Owszem, dzieci zgodziły się na to chętnie.

— Pokłońcie mu się ode mnie i opowiedzcie mu wszystko, coście przeżyły — poleciła im jeszcze w końcu.

Dzieci uczyniły tak, jak im zaleciła gospodyni, i brat jej ze swą żoną przyjęli je również bardzo serdecznie. Gospodarz zawiózł je do znajomych w pobliskiej wsi i tam przyjmowano je także życzliwie. I za każdym razem, kiedy opuszczały jakiś dom, mówiono im zawsze: „Wstąpcie tam lub ówdzie, wejdźcie i opowiedzcie o tym, coście przeżyły”.

W domostwach, do których dzieci wstępowały, znajdował się zawsze ktoś chory na gruźlicę. I nie wiedząc nawet o tym, dwoje tych dzieci wędrowało po kraju i pouczało ludzi, jaka to groźna choroba wkradła się pod ich dach i jak ją najskuteczniej można zwalczyć.

Podanie mówi, że w dawnych czasach, kiedy dżuma, zwana czarną zarazą, pustoszyła kraj, od zagrody do zagrody wędrowało po wsiach dwoje dzieci. Chłopiec niósł grabie w rękę i kiedy się zatrzymał przed zagrodą i stuknął grabiami w drzwi, to znaczyło, że wielu mieszkańców chaty umrze, nie wszyscy jednak, gdyż zęby w grabiach rozstawione są szeroko i nie zbierają wszystkiego. Dziewczynka zaś trzymała miotłę w rękę i kiedy zamiatała nią przed jakimiś drzwiami, znaczyło to, że wszyscy w chacie umrą, gdyż miotła jest narzędziem, które wymiata wszystkie śmieci.

Czyż więc nie był to dziwny zbieg okoliczności, że w naszych czasach dwoje dzieci wędrowało po kraju także z powodu ciężkiej, groźnej choroby? Tylko że te dzieci nie straszyły nikogo grabiami ani miotłą, lecz, przeciwnie, mówiły do ludzi: „Nie powinniśmy poprzestawać tylko na grabieniu dziedzińca i zmiataniu podłogi. Musimy również używać szczotki i mydła i dbać o higienę. Nasz dom musi być czysto wyszorowany, zarówno na zewnątrz jak i wewnątrz, a my sami musimy dbać o czystość naszego ciała. W ten sposób opanujemy w końcu chorobę”.

POGRZEB MAŁEGO MATSA

Mały Mats umarł. Wszystkim, którzy go jeszcze przed kilkoma godzinami widzieli zdrowym i wesołym, zdawało się to nieprawdopodobne — niestety jednak tak było. Mały Mats umarł i miał być pochowany. Umarł wczesnym rankiem i prócz jego siostrzyczki Azy nikogo przy nim nie było.

— Nie wołaj nikogo — rzekł Mats czując, że koniec jego się zbliża.

I siostra spełniła jego prośbę.

— Taki jestem rad, że nie umieram na tamtą chorobę, Azo — mówił Mats. — Ty także, prawda? — A kiedy siostra nie odpowiadała, mówił dalej: — Nic sobie nie robię ze śmierci, abym tylko nie umarł na

to samo, co matka i rodzeństwo. Bo gdyby tak się stało, to nie mogłabyś chyba przekonać ojca, że oni umarli na zwykłą chorobę. A teraz, zobaczysz, uda ci się z pewnością.

Kiedy Mats umarł, Aza siedziała jeszcze długo przy zmarłym braciszku i myślała o tym, ile to mały Mats musiał przecierpieć w swym życiu. I myślała także, że znosił on istotnie wszystkie nieszczęścia i kłęski z męstwem dorosłego człowieka. Przypomniały jej się jego ostatnie słowa. Jaki też on był zawsze mężny! Zdawała sobie jasno sprawę z tego, że małego Matsa należało pochować równie uroczyście, jak człowieka dojrzałego.

Rozumiała wprawdzie, ile trudności ją czeka, ale pragnęła tego z całego serca i dla braciszka swego gotowa była uczynić wszystko.

Gęsiarka Aza znajdowała się w tym czasie wysoko w Laponii, w wielkiej kopalni zwanej Malmberget. Dziwne to było, że się właśnie tam znajdowała, ale może i dobrze się stało, że dzieci aż tam zawędrowały.

Zanim nareszcie dostali się tutaj, Aza i Mats szli przez wielkie, nie kończące się lasy. Przez wiele dni nie widzieli ani pól, ani zagród, jedynymi siedzibami ludzkimi były tutaj tylko małe budynki pocztowe; aż w końcu przybyli zupełnie niespodziewanie do wielkiej wsi Gellivare.

Wieś ta, z kościołem, stacją kolejową, ratuszem, bankiem, apteką i hotelem, leżała u stóp wysokiej góry, na której i teraz jeszcze, wśród lata, świeciły białe płaty śniegu, Domy w Gellivare były prawie wszystkie jeszcze zupełnie nowe, ładne i porządnie zbudowane.

Gdyby dzieci nie widziały śniegu na górach i brzóz, które stały jeszcze zupełnie nagie, Gellivare nie wydałoby im się wcale miejscowością położoną tak wysoko w Laponii. Gellivare jednak nie było jeszcze tą miejscowością, gdzie miał się znajdować ich ojciec. Miał on przebywać w Malmberget, miejscowości położonej znacznie dalej na północ, a tam nie było z pewnością takiego ładu jak tutaj w Gellivare.

A stało się to z powodów następujących. Chociaż ludzie już od dawna wiedzieli, że w pobliżu Malmberget znajduje się dużo rudy żelaznej, to jednak zaczęto ją wydobywać dopiero przed kilkoma laty, kiedy ukończona została kolej żelazna. Wtedy zbiegło się od razu kilka tysięcy ludzi i chociaż roboty starczyło dla wszystkich, to brakowało pomieszczeń i musiano w pośpiechu, jak bądź, stawiać domy. Jedni kłecili chaty z nie ociosanych belek, inni mieszkali w szopach, które budowali ze skrzyń i opróżnionych puszek po dynamicie układanych jedne na drugich jak cegły.

Stopniowo powstało tam także dość dużo okazałych domów, ale cała miejscowość wyglądała bądź co bądź osobiwie. Były w niej obszerne dzielnice z pięknymi, nowymi domami, lecz nagle spotykało się wśród nich nie wykarczowany grunt leśny z pieńkami i głazami. Inspektorzy i inżynierowie mieli piękne, wielkie domy mieszkalne, a obok stały niskie, śmieszne baraki pochodzące jeszcze z pierwszych czasów. Poza tym były tam koleje żelazne, światło elektryczne i wielkie hale maszyn. Tunelem oświetlonym żarówkami można było wjechać daleko w głąb góry. Wszędzie wrzał ożywiony ruch i jeden pociąg za drugim, naładowany rudą, wyjeżdżał ze stacji. Lecz wokoło ciągnęła się jeszcze wielka puszcz, gdzie nie było ani jednego uprawnego pola, ani jednego domu, gdzie nikt nie mieszkał prócz Lapończyków wędrujących ze swymi reniferami.

Aza siedziała nad zwłokami brata i myślała o tym, że w życiu dzieje się tak samo jak w tej miejscowości. Najczęściej idzie wszystko składnie i spokojnie; ale zdarzało się jej przecież tu i ówdzie zobaczyć coś dziwnego i niezwykłego i miała uczucie, że tutaj może łatwiej jest niż gdziekolwiek indziej uczynić coś, co przekracza zwykłe granice.

Myślała o tym, jak im się działo, kiedy przybyli do Malmberget i rozpytywali o robotnika nazwiskiem Jon Assarson, mającego zrosnięte brwi. Te bowiem zrosnięte brwi zwracały przede wszystkim uwagę. One przypominały go ludziom najłatwiej i dzieci dowiedziały się też zaraz, że ich ojciec pracował przez

kilka lat w Malmberget, teraz jednak gdzieś powędrował. Kiedy napada go niepokój, włóczy się tak bez celu. Nikt nie wiedział, dokąd poszedł, ale wszyscy byli mocno przekonani, że powróci po kilku tygodniach. A jeśli malcy są dziećmi Jona Assarsona, to mogą tymczasem, czekając na ojca, zamieszkać w jego chacie. Jedna z kobiet wyjęła klucz spod progu, otworzyła drzwi i wpuściła dzieci. Nikt nie dziwił się ich przybyciu, nikt również nie zdawał się dziwić temu, że ojciec ich przepadał co jakiś czas w puszczy. Tutaj, wysoko, ludzie byli widać przyzwyczajeni do tego, że każdy rządził się po swojemu, jak chciał.

Aza obmyśliła sobie prędko, jak ma się odbyć pogrzeb braciszka Matsa. Ubiegłej niedzieli uczestniczyła w pogrzebie dozorczy kopalnianego. Trumnę wiozły do kościoła w Gellivare własne konie inspektora i długi pochód dozorców kopalni szedł za trumną. Nad grobem grała orkiestra i śpiewał chór. A po pogrzebie wszyscy znajdujący się w kościele zaproszeni zostali do szkoły na kawę. Podobnego pogrzebu Aza pragnęła dla swego braciszka Matsa.

Wyobrażała sobie to wszystko tak żywo, że widziała nieledwie przed sobą ten pochód pogrzebowy. Ale potem odwaga ją opuściła i pomyślała, że chyba nie będzie mogło stać się tak, jak sobie tego życzyła. Nie dlatego, żeby to było za drogo, gdyż oboje z Matsem zaoszczędzili sporo pieniędzy i mogła bratu wyprawić najpiękniejszy pogrzeb, jaki tylko można było sobie wymarzyć. Trudności polegały zupełnie na czym innym. Ludzie dorośli, jak o tym Aza wiedziała, nie liczą się nigdy z dziećmi, a Aza była tylko przecież o kilka lat starsza od Matsa, który teraz, leżąc martwy, taki był drobny i szczupły. I Aza sama była przecież jeszcze dzieckiem.

Pierwszą osobą, z którą Aza mówiła o pogrzebie, była pielęgniarka. Siostra Hilma przyszła przed chatę na chwilę przedtem, zanim Mats wydał ostatnie tchnienie, ale nim otworzyła drzwi, wiedziała już, co się wewnątrz dzieje. O tej porze musiał nastąpić koniec.

Poprzedniego dnia po południu mały Mats kręcił się w pobliżu kopalni i stanął zbyt blisko szybu, w którym właśnie rozsadzano skały. Kilka kamieni wyrzuconych w powietrze trafiło malca. Był zupełnie sam i długo leżał zemdłony na ziemi, a nikt nie wiedział, co się stało. W końcu paru ludzi pracujących pod szybem dowiedziało się o tym nieszczęśliwym wypadku w bardzo dziwny sposób. Utrzymywali, że małeńki człowieczek, najwyżej na piędź wysoki, ukazał się na krawędzi kopalni i wołał do nich, aby czym prędzej przyszli z pomocą małemu Matsowi leżącemu przed kopalnią i broczącemu krwią. Zaniesiono, więc Matsa do domu i zrobiono opatrunek, ale było już za późno. Utracił tyle krwi, że nie można go było uratować.

Kiedy siostra miłosierdzia weszła do izby, myślała więcej o Azie niż o Matsie.

— Co ja tu pocznę z tym biednym dzieckiem? — pytała siebie.

— Jakże je potrafię pocieszyć?

Przekonała się jednak wkrótce, że Aza ani nie płacze, ani nie lamentuje, lecz pomaga spokojnie przy wszystkim, co trzeba było zrobić. Siostrę Hilnę dziwiło to bardzo, ale rzecz wyjaśniła się, kiedy Aza zaczęła z nią rozmawiać o pogrzebie.

— Gdy się przebywało z kimś takim jak Mats — mówiła Aza, która wyrażała się nieco nad wiek poważnie i uroczyście — to musi się przede wszystkim myśleć o tym, jak go uczcić, dopóki jeszcze można. Później dość będzie czasu na płacz.

I prosiła siostrę miłosierdzia, aby jej dopomogła w przygotowaniu uroczystego pogrzebu,

— Nikt bardziej od małego Matsa nie zasłużył na taki pogrzeb — mówiła Aza.

Siostra Hilma uznała, że jeśli ta myśl może przynieść biednemu, opuszczonemu dziecku tyle pociechy, to jest to tylko wielkie szczęście dla Azy. Przyrzekła jej dopomóc, a dla Azy było to bardzo ważne; zdawało się jej nawet, że cel jest już prawie osiągnięty, gdyż głos siostry Hilmy znaczył bardzo wiele.

W wielkiej kopalni, gdzie codziennie pękały z hukiem miny, każdy górnik musiał przecież być

przygotowany na to, że jakiś wyrzucony w górę kamień może go zranić albo staczająca się bryła przygnieść, i dlatego każdy chciał być w dobrych stosunkach z siostrą miłosierdzia. Toteż kiedy siostra Hilma i Aza obchodziły górników prosząc ich, aby zechcieli w niedzielę uczestniczyć w pogrzebie Matsa, niewielu odmówiło. „Skoro siostra Hilma o to prosi, uczynimy to chętnie” — mówili.

I z muzyką udało się siostrze Hilmie wszystko załatwić. Orkiestra miała zagrać nad grobem, a nieliczny chór śpiewać. Co do budynku szkolnego, siostra Hilma nie czyniła żadnych zabiegów. Ponieważ ciągle jeszcze była piękna, stała pogoda letnia, postanowiono ugościć uczestników pogrzebu kawą pod gołym niebem. Stoły i ławki miały być wypożyczone z sali bractwa pogrzebowego, a filiżanki i talerze — od kupca. Dwie żony górników, posiadające w swych kufrach zasobne wyprawy, których nie używały mieszkając na takim pustkowiu, wyjęły z szuflad piękną bieliznę stołową, aby się siostrze przypodobać. Następnie zostały obstalowane obarzanki i ciasteczka u piekarza w Boden i cukry u cukiernika z Lulei.

Powstał taki rozgłos z powodu pogrzebu, który Aza urządziła swemu bratu, że mówiono o tym w całym Malmberget. I w końcu, dowiedział się o tych przygotowaniach sam inspektor.

Ten, gdy mu powiedziano, że pięćdziesięciu górników odprowadzać ma do grobu dwunastoletniego chłopca, który, o ile wiedział, był tylko wędrownym żebrakiem, uważał to za czyste szaleństwo. I jeszcze śpiew, i muzyka, i poczęstunek! I grób przystrojony choinowymi gałęziami, i cukry z Lulei! Przywoła! siostrę Hilmę i zapowiedział, iż sobie nie życzy, aby dopuszczono do tej uroczystości.

— Niesłuszne jest pozwalać dziecku na wyrzucanie pieniędzy w ten sposób — rzekł. — Dorośli ludzie nie mogą się przecież liczyć z tym, co dziecku przyjdzie do głowy. Narażacie się wszyscy razem, na śmieszność.

Inspektor nie był ani zły, ani rozgniewany. Mówił zupełnie spokojnie i prosił po prostu siostrę miłosierdzia, aby odwołała śpiew, muzykę i wielki kondukt. Wystarczy w zupełności, jeśli dziewięć lub dziesięć osób odprowadzi chłopca do grobu. A siostra miłosierdzia nie zaprzeczała inspektorowi ani jednym słowem, po części z szacunku, po części zaś dlatego, że w głębi duszy musiała mu przyznać słusność. Narobiono rzeczywiście zbyt wiele hałasu z powodu tego małego żebraka. Litość nad biedną dziewczynką sprawiła, iż serce wzięło w siostrze górę nad rozsądkiem.

Z willi inspektora siostra poszła do dzielnicy robotniczej, aby powiedzieć Azie, że nie można wyprawić takiego pogrzebu, jakiego dziewczynka sobie życzyła. Nie przyszło jej to łatwo, gdyż nikt lepiej od niej nie wiedział, co ten pogrzeb znaczył dla biednego dziecka. Po drodze spotkała kilka górniczek i zwierzyła im się ze swego zmartwienia, ale kobiety powiedziały od razu, że inspektor ma zupełną słusność, że nie miałoby żadnego sensu robić tyle zachodu dla dziecka. Żał im wprawdzie serdecznie biednej dziewczynki, ale byłoby jak najbardziej niewłaściwe pozwalać dziecku na marnowanie pieniędzy; stanie się więc bardzo dobrze, jeśli pogrzeb nie będzie taki uroczysty.

Dopiero gdy niektóre kobiety wyjaśniły Azie, że jeśli inspektor się nie zgodzi, to żaden górnik nie weźmie udziału w pogrzebie, stało się dla niej jasne, że musi uzyskać pozwolenie inspektora.

Dziewczynka siedziała przez jakiś czas w milczeniu i rozmyślała, potem wstała szybko.

— Dokąd idziesz? — zapytała siostra.

— Chcę sama rozmówić się z inspektorem — rzekła Aza.

— Nie łudź się, że potrafisz go wzruszyć swoimi słowami! — zawołały kobiety.

W powrotnej drodze do domu kobiety podzieliły się wiadomością o postanowieniu inspektora z innymi i wkrótce w całej dzielnicy górniczej, aż po szyby w kopalniach, rozeszła się wieść, że wielki, uroczysty pogrzeb małego Matsa nie może się odbyć. I wszyscy przyznawali zgodnie, że tak właśnie być powinno.

W całym Malmberget tylko jedna osoba sądziła inaczej, a tą osobą była gęsiarka Aza.

Siostra miała z nią istotnie ciężką przeprawę, Aza nie płakała i nie narzekała, ale nie chciała ustąpić.

Mówiła, że ponieważ nie wymaga od inspektora żadnej pomocy, więc on nie może jej przecież zabronić pochować brata tak, jak jej się podoba.

— Myślę, że Mats kazałby mi pójść — rzekła Aza. — Inspektor przecież wcale nie wie, jaki to był z Matsa człowiek.

Gęsiarka Aza zebrała się prędko i wkrótce znajdowała się już w drodze do inspektora. Rozumie się, iż była to niesłychana rzecz, aby takie dziecko jak Aza mogło nawet pomyśleć, że skłoni inspektora, najpotężniejszego człowieka w całym Malmberget, do odwołania raz powziętego postanowienia. Dlatego też siostra Hilma i inne kobiety poszły za Azą, żeby zobaczyć, czy będzie ona miała rzeczywiście odwagę wejść do willi.

Gęsiarka Aza szła środkiem ulicy, a miała przy tym w sobie coś takiego, że się ludzie mimowolnie za nią oglądali. Kroczyła tak poważnie i z taką godnością jak młoda dziewczyna idąca w dzień bierzmowania do ołtarza. Zarzuciła na głowę wielką, czarną, jedwabną chustkę odziedziczoną po matce, w jednej ręce trzymała złożoną chustkę do nosa, a w drugiej — koszyk z zabawkami, które Mats wyrabiał.

Kiedy małe dzieci, bawiące się na drodze, zobaczyły ją w tym stroju, podbiegły do niej i zawołały: — Dokąd idziesz, Azo? Dokąd idziesz?!

Lecz Aza nie dawała odpowiedzi. Nie słyszała nawet pytania i szła spokojnie dalej. Gdy jednak dzieci znowu pytały i pociągały Azę za suknię, towarzyszące Azie kobiety wstrzymały je i nakazały im milczenie.

— Dajcie jej przejść — rzekły — idzie do inspektora prosić go, aby pozwolił wyprawić wielki pogrzeb jej braciszкови Matsowi.

Wówczas i dzieci ogarnęło zdziwienie, że Aza odważyła się na taką śmiałość, i cała gromadka pobiegła za nią, aby zobaczyć, jak ta sprawa się skończy.

Wszystko to działo się około szóstej po południu, w porze gdy górnicy w kopalniach przerywali pracę. Toteż kiedy Aza przeszła już znaczną część drogi, kilkuset górników nadeszło szosą szybkim krokiem. Zazwyczaj wracając z roboty nie patrzyli ani na prawo, ani na lewo, ale dziś, spotkawszy Azę, kilku z nich spostrzegło od razu, że z tym dzieckiem dzieje się coś niezwykłego, i zapytali jej, co się stało. Aza nie odpowiedziała ani słowa, ale dzieci krzyczały jedno przez drugie, dokąd Aza idzie. Wtedy górnicy pomyśleli, że jest to jednak odważne przedsięwzięcie ze strony takiego dziecka, i poszli także, żeby zobaczyć, jak jej się powiedzie.

Aza weszła do kantoru, gdzie inspektor siedział zwykle o tej porze przy pracy. Gdy weszła do sieni, drzwi otworzyły się i inspektor stanął przed nią. Miał kapelusz na głowie i łaskę w ręku — wybierał się do domu na obiad.

— Z kim chcesz mówić? — zapytał ujrzawszy dziewczynkę idącą ku niemu tak uroczyście w czarnej, jedwabnej chustce na głowie i ze złożoną chustką do nosa w ręku.

— Chciałabym pomówić z samym panem inspektorem — odrzekła Aza.

— Ach tak! Wejdz więc — rzekł inspektor i wszedł znowu do kantoru. Drzwi za sobą zostawił otwarte, gdyż myślał, że dziewczynka nie zatrzyma go długo. Stało się więc tak, że ci wszyscy, którzy przyszli za Azą i stali teraz w sieni i na schodach, słyszeli, co się działo w kantorze.

Aza, wszedłszy do pokoju, poprawiła najpierw odzienie na sobie, zsunęła jedwabną chusteczkę i utkwiała spokojnie w twarzy inspektora swe okrągłe, dziecinne oczy, które umiały patrzeć tak poważnie, trafiając prosto do serca.

— Mały Mats umarł — zaczęła i przy tym głos jej zadrżał tak, że przez chwilę nie mogła dalej mówić. Teraz inspektor wiedział, kogo ma przed sobą.

— Ach tak, ty więc jesteś tą dziewczynką, która chce wyprawić taki wielki pogrzeb — rzekł

życzliwie. — Musisz się jednak tego wyrzec. To będzie za kosztowne dla ciebie. Gdybym wiedział o tym wcześniej, nie dopuściłbym do tego.

Twarz dziewczynki zadrgała i inspektor myślał, że Aza wybuchnie płaczem. Lecz ona powiedziała tylko:

— Czy mogę panu inspektorowi opowiedzieć trochę o Matsie?

— Słyszałem już waszą historię — odrzekł inspektor zwykłym swym spokojnym, życzliwym tonem. — Żal mi ciebie z całego serca, wierz mi. Chcę naprawdę tylko twego dobra.

Na to gęsiarka Aza wyprostowała się i zaczęła mówić donośnym, czystym głosem:

— Od dziewiątego roku życia mały Mats nie miał ani ojca, ani matki i musiał sam myśleć o sobie jak dorosły człowiek. Nigdy nie zniżył się do żebraniny, nigdy nie poprosiłby nawet o talerz zupy, gdyby nie mógł za to zapłacić. Mówił zawsze: „Mężczyzna nie powinien żeбраć, to jest niegodne mężczyzny”. Dla zarobku Mats obchodził zagrody i skupował jajka i masło, i załatwiał wszystko tak dobrze jak doświadczony kupiec. Nigdy nic nie roztrwonił i nigdy nie zatrzymał dla siebie ani grosika, lecz wszystko oddawał mnie. Kiedy pilnował gęsi, zabierał zawsze z sobą robotę i taki był pracowity, jak to tylko dorośli ludzie potrafią. Chłopi w Skanii powierzali Matsowi często, gdy tak wędrował z zagrody do zagrody, duże sumy pieniędzy, ponieważ wiedzieli, że mogą mu zaufać zupełnie tak jak sobie. Toteż niesłuszne jest, kiedy się mówi, że Mats był tylko dzieckiem, bo jest dużo dorosłych ludzi, którzy...

Inspektor patrzył w ziemię i Aza zamilkła, gdyż zdawało jej się, że słowa te nie wywierają żadnego wrażenia na inspektorze. Tam w chacie, u siebie, myślała, że będzie miała tyle do opowiadania o małym Matsie, a teraz wydaje jej się to wszystko takie nieważne. Ach, czym przekonać inspektora, że Mats zasłużył na to, aby go pochowano z takimi oznakami czci, jakie okazuje się dorosłym?

— I jeśli ja sama chcę zapłacić za pogrzeb... — zaczęła Aza jeszcze raz, zamilkła jednak na nowo.

Teraz inspektor podniósł głowę i spojrzał gęsiarce Azie głęboko w oczy. Badał ją i oceniał, jak to zwykli czynić ludzie, którzy mają wielu podwładnych pod sobą. A podczas tego myślał: „Ta oto dziewczynka straciła dom, rodziców i rodzeństwo, ale męstwo jej nie zostało złamane, będzie z niej z czasem wartościowy człowiek. Nie wolno mi jednak dorzucać nic do ciężaru, jaki niesie, gdyż mogłoby to być owym źdźbłem słomy, pod którym się ugnie”. Rozumiał, ile ją kosztowało przyjście tutaj, aby się z nim rozmówić. Musiała swego braciszka kochać nad życie! Nie, takiej miłości nie wolno się sprzeciwić!

— Tak, tak, muszę ci na wszystko pozwolić — rzekł inspektor.

U LAPONCZYKÓW



Było już po pogrzebie. Goście gęsiarki Azy rozeszli się, a ona siedziała sama w chatce należącej do ojca. Zaryglowała drzwi, aby móc w ciszy i spokoju pomyśleć o swym bracie. Myślała po kolei o wszystkim, co mały Mats powiedział i zrobił. Było tego tyle, że zapomniała zupełnie o spaniu i nie tylko cały wieczór, ale i późno w noc jeszcze siedziała pogrążona w myślach. Im dłużej myślała o swym braciszku, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, jak trudno jej będzie żyć dalej bez niego, i w końcu oparła głowę o stół i zapłakała gorzkimi łzami.

— Co ja teraz pocznę bez mego Matsa? — łkała.

Było to, jak mówiliśmy, już późno w nocy i gęsiarka Aza przeżyła dzień pełen wzruszeń, toteż nie dziw, że sen ją ogarnął, gdy tylko oparła głowę o stół. I tym bardziej nie dziw, że śniła o małym Matsie, o którym ciągle myślała. Nagle wydało jej się, że Mats we własnej osobie wchodzi do izby mówiąc:

— Azo, musisz iść odszukać naszego ojca.

I zdawało jej się, że ona odpowiada:

— Jakże mam to uczynić, kiedy nawet nie wiem, gdzie mam go szukać?

— Nie martw się o to — odrzekł Mats w zwykły, swój wesoły, żywy sposób. — Przyślę ci tu kogoś, kto ci pomoże.

W tej samej chwili, kiedy gęsiarka Aza tak śniła, ktoś zastukał do drzwi chaty. A było to rzeczywiste stukanie, nie takie słyszane tylko we śnie. Ale Aza była jeszcze tak senna, iż nie mogła rozróżnić, co było jawą, a co urojeniem. Kiedy więc wstała i otworzyła drzwi, pomyślała sobie: „Oto idzie z pewnością ten, którego mi mały Mats przyrzekł przysłać z pomocą”.

Gdyby teraz, kiedy Aza otworzyła drzwi, stanęła na progu siostra Hilma albo inny prawdziwy człowiek, Aza przekonałaby się od razu, że już nie śni; ale tak się nie stało. Ten, kto stał za drzwiami i stukał, nie był człowiekiem, lecz człowieczkiem zaledwie na piędź wysokim. Chociaż była już późna noc, było jednak tak jasno jak w dzień i Aza poznała od razu tego samego malca, którego podczas swojej wędrówki z Matsem po kraju spotykała już kilka razy. Wtedy bała się go, a i teraz by się zlekła, gdyby była zupełnie rozbudzona. Ale zdawało się jej, że wciąż jeszcze śni, i dlatego stała spokojnie i myślała:

„Spodziewałam się, że Mats przyśle mi właśnie tego malca, gdy mi przyrzekł przysłać kogoś do pomocy przy odszukaniu ojca”.

I nie myliła się, gdyż malec przychodził właśnie tylko po to, żeby pomówić z nią o ojcu. Kiedy zobaczył, że Aza się go nie boi, powiedział jej w kilku słowach, gdzie jest jej ojciec i co ma robić, aby się do niego dostać.

Lecz w czasie gdy malec mówił, Azie wracała stopniowo pełna świadomość, a kiedy skończył, oprzytomniała zupełnie. I przeraziła się ogromnie — gdyż stała przecież oto i rozmawiała z kimś, kto nie należał wcale do tego świata! Nie była w stanie zdobyć się ani na jedno słowo, nawet na zwykłe podziękowanie, i cofnęła się szybko z powrotem do pokoju zatrzaszczając gwałtownie drzwi za sobą. Wydawało jej się wprawdzie, że twarz malca przybrała wyraz bardzo zasmucony, lecz nie mogła inaczej postąpić. Nieprzytomna z przerażenia, wskoczyła szybko do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę.

A jednak, mimo że tak się lękała malca, czuła, że jest on przyjazny i życzliwy i następnego dnia, nie tracąc czasu, zabrała się do wykonania tego, co jej krasnoludek doradził.

Na lewym brzegu Loussajaure, małego jeziora, położonego o wiele mil dalej na północ niż Malmberget, znajdował się mały obóz lapoński. Na południowym krańcu jeziora wznosiła się potężna góra zwana Kirunavarą, która według podania miała być z samej rudy. Ze strony północno—wschodniej stała znowu góra zwana Luos — savarą, równie bogata w rudę żelazną. Do tych gór przeprowadzono właśnie kolej z Sellivare i w pobliżu Kirunavary stawiano gorączkowo stację, zajazd i mnóstwo domów mieszkalnych dla robotników i inżynierów; mieli oni tutaj zamieszkać, kiedy zaczną się wydobywanie rudy na większą skalę. Całe to miasteczko ładnych, wygodnych domów, powstało tak wysoko w tym północnym okręgu, że skarłowaciałe brzoźki, które wszędzie rosły, mogły rozwinąć swe listki dopiero po świętym Janie.

Na zachód od jeziora okolica była pusta i nie zamieszкана i tam, jak mówiliśmy, osiadło kilka rodzin lapońskich. Przybyły tutaj mniej więcej przed miesiącem, nie miały więc dużo czasu na to, aby doprowadzić swe mieszkania do porządku. Żeby przygotować sobie odpowiedni i równy plac pod budowę namiotów, Lapończycy nie potrzebowali rozsądzać skał ani zakładać fundamentów. Po wybraniu odpowiednich, suchych miejsc w pobliżu jeziora pozostawało tylko wyrąbać trochę zarośli wierzbowych i zrównać kilka pagórków, a plac pod budowę był już gotów.

A potem nie troszczyli się wcale o to, co potrzebne było do zbudowania domu. Nie zbijali belek w ciągu wielu dni, nie wbijali gwoździ, nie starali się o to, aby ściany drewniane stały mocno, nie zadawali sobie też trudu z robieniem dachu i nie łamali sobie głowy, jak ten dom obić wewnątrz deskami, jak wstawić okna i drzwi i zaopatrzyć je w zamki i zawiasy. Nie potrzeba im było tego wszystkiego. Wbijali mocno w ziemię pale, rozwieszali na nich płótno namiotu — i mieszkanie było prawie gotowe. Wprowadzenie się umeblowanie przyczyniało im także bardzo mało kłopotu. Ograniczało się do rozrzucenia na ziemi kilku gałęzi sosnowych i kilku skór i zawieszenia na żelaznym łańcuchu, umocowanym u góry na palach, wielkiego kotła, w którym zwykle gotowali mięso reniferowe.

Osadnicy ze wschodniej strony jeziora, którzy pracowali z całych sił, aby ukończyć swe domy przed nadejściem ostrej zimy, dziwili się bardzo Lapończykom, którzy już od tylu, tylu setek lat wędrowali tutaj po zimnej północy, nie myśląc nigdy o tym, że przydałaby się inna ochrona przed wiatrem i mrozem niż cienkie ściany namiotu. A Lapończycy z kolei dziwili się osadnikom, którzy zadawali sobie tyle ciężkiej i mozolnej pracy, kiedy przecież posiadanie kilku reniferów i namiotu wystarczało do życia.

Pewnego popołudnia w lipcu nad jeziorem Loussajaure padał straszliwy deszcz i Lapończycy spędzający zwykle podczas lata prawie całe dnie i noce na powietrzu, skupili się wszyscy w namiocie. Przykucnęli wokoło ognia i pili kawę.

Kiedy tak mile spędzali czas przy kawie, nadpłynęło ze strony kiruńskiej czołno i przybiło do brzegu

przy namiocie lapońskim.

Z czoła wyszedł górnik z dziewczynką, liczącą około trzynastu lub czternastu lat.

Psy lapońskie rzuciły się ku przybyszom szczekając głośno, a jeden Lapończyk wysunął głowę z namiotu, aby zobaczyć, co się stało. Ucieszył się bardzo ujrawszy górnika, gdyż był to dobry przyjaciel Lapończyków, życzliwy, uczciwy człowiek, który umiał mówić po lapońsku.

Lapończyk zaprosił go też natychmiast, aby wszedł do namiotu.

— Przychodzisz jak na zawołanie, Söderberg — rzekł. — Kociołek z kawą wisi nad ogniem. W taką niepogodę nie pozostaje nic innego do roboty. Wejdz i opowiedz nam coś nowego ze świata.

Górnik wszedł do namiotu. Wśród śmiechu i żartów z trudem zrobiono dla niego i dla dziewczynki trochę miejsca w namiocie natłoczonym ludźmi, po czym gość zaczął natychmiast rozmawiać po lapońsku z gospodarzami. Tymczasem dziewczynka, która z nim przybyła, nie rozumiejąc nic z rozmowy, siedziała spokojnie i patrzyła ze zdziwieniem na kociołek z mięsem i na imbryk z kawą, na ogień i na dym, na Lapończyków i na kobiety lapońskie, na dzieci i na psy, na ściany i na podłogę, na filiżanki i na rzeźbione naczynia — wszystko to było inne od tego, co przyzwyczajona była widywać zwykle. Nagle jednak przestała się rozglądać i spuściła oczy, gdyż odczuła, że wszyscy w namiocie patrzą na nią.

Söderberg musiał coś o niej opowiadać, ponieważ mężczyźni i kobiety powymowywali swe krótkie fajeczki z ust i utkwili w niej wzrok. Lapończyk siedzący najbliżej poklepał ją po ramieniu i powiedział po szwedzku: „Dobrze, dobrze!” Jedna z kobiet naląła dużą filiżankę kawy, którą z trudem dziewczynce doręczono, a jeden z chłopców, mniej więcej w tym samym wieku co dziewczynka, przesunął się między siedzącymi, aż przedostał się tak blisko, że mógł się położyć przy niej, i przypatrywał się jej bezustannie.

Dziewczynka odgadła, o czym była mowa: Söderberg opowiadał zapewne, jak to ona doprowadziła do uroczystego pogrzebu małego Matsa. Ale Aza pragnęła gorąco, aby Söderberg nie opowiadał tyle o niej, natomiast zapytał lepiej Lapończyków, czy nie wiedzą nic o jej ojcu.

Małeńki człowieczek powiedział jej, że ojciec przebywa u Lapończyków, którzy rozłożyli swój obóz na zachód od Loussajaure. Wówczas ona wyprosiła w kopalni, aby ją tam zabrano pociągiem dowożącym na górę materiał do budowy kolei, gdyż prawdziwe pociągi nie kursowały jeszcze po tej drodze — chce bowiem odszukać swego ojca. I wszyscy po społu — dozorczy i górnicy, pomagali jej wedle sił, a inżynier z Kiruna posłał z nią Söderberga na drugą stronę jeziora, ponieważ umiał on mówić po lapońsku. Tam górnik miał zasięgnąć wiadomości o jej ojcu. Aza spodziewała się, że tutaj od razu spotka ojca, toteż mierzyła badawczym spojrzeniem jedną twarz po drugiej w całym namiocie. Niestety, były to same twarze lapońskie, ojca wśród nich nie było!

Im dłużej Söderberg rozmawiał z Lapończykami, tym bardziej wszyscy poważnieli. Aza widziała to dobrze. Lapończycy potrzásali głowami i stukali się w czoło, jak gdyby mówili o kimś niespełna rozumu.

Zaniepokoiło to Azę bardzo, nie mogła już spokojnie słuchać i czekać, przeto zapytała Söderberga, co Lapończycy wiedzą o jej ojcu.

— Mówią, że udał się na połów — odrzekł robotnik — i że nie wiedzą, czy powróci dziś wieczorem. Ale gdy się tylko pogoda cokolwiek polepszy, jeden z nich uda się na poszukiwanie.

Po czym Söderberg zwrócił się znów do Lapończyków i znów coś do nich mówił z zapałem. Nie chciał widocznie, aby go Aza dalej pytała o ojca.

Następnego dnia była bardzo piękna pogoda. Ola Serka, najdostojniejszy z Lapończyków, oświadczył, że on sam uda się na poszukiwanie ojca Azy. Lecz nie śpieszył się wcale. Siedział spokojnie przed namiotem, myślał o Jonie Assarsonie i zastanawiał się, jak mu zanieść wiadomość o przybyciu jego córki. Szło mianowicie o udzielenie mu tej wiadomości w taki sposób, aby się nie przestraszył i nie uciekł, gdyż był to wielki dziwak — bojaźliwie unikał wszelkiego zetknięcia się z dziećmi. Mówił zazwyczaj, że widok dzieci przywodzi mu smutne myśli, których nie może znieść.

W czasie gdy Ola Serka myślał o czekającym go zadaniu, Aza i Aslak, chłopiec lapoński, który poprzedniego wieczoru tak się przyglądał dziewczynce, siedzieli na placu przed namiotem i rozmawiali. Aslak chodził do szkoły i umiał mówić po szwedzku. Opowiadał Azie o życiu swego ludu i zapewniał ją, że Lapończykom jest lepiej niż wszystkim innym ludziom. Aza jednak uważała, iż przeciwnie, Lapończykom jest strasznie źle, i powiedziała to chłopcu.

— Nie wiesz, co mówisz — odrzekł Aslak. — Pozostań tylko przez tydzień u nas, a zobaczysz sama, że jesteśmy najszczęśliwszym ludem na całym świecie.

— Gdybym tutaj została przez tydzień, to bym się z pewnością od samego dymu w waszym namiocie udusiła — rzekła Aza.

— Nie mów tak — odrzekł mały Lapończyk. — Ty przecież nic o nas nie wiesz. Opowiem ci historię, która cię przekona, że im dłużej przebywałabyś z nami, tym bardziej podobałoby ci się tutaj.

I Aslak zaczął opowiadać Azie o dawnych czasach, kiedy wielka choroba, zwana czarną śmiercią, pustoszyła kraj. Nie wiedział, czy szerzyła się ona tutaj, w samej Laponii, gdzie się teraz znajdowali, ale w Jämtlandii stała się straszliwą klęską. Lapończycy, którzy tam mieszkali w lasach i w górach, wymarli wszyscy z wyjątkiem jednego piętnastoletniego chłopca, a ze Szwedów zamieszkujących doliny pozostała tylko jedna jedyna dziewczynka, też w wieku około piętnastu lat.

— Chłopiec i dziewczynka wędrowali samotnie przez całą zimę po wymarłym kraju, poszukując innych ludzi — opowiadał Aslak dalej. — Aż wreszcie na wiosnę spotkali się z sobą. Wówczas dziewczynka szwedzka prosiła chłopca lapońskiego, aby poszedł z nią na południe, gdyż pragnie ona dostać się do swoich. Nie chce być dłużej w Jämtlandii, gdzie spotyka same tylko opuszczone i wymarłe domostwa.

„Zaprowadzę cię, gdzie zechcesz — rzekł chłopiec — lecz nie wcześniej jak zimą. Teraz jest wiosna, moje renifery ciągną na zachód w góry, a wiesz przecież, że my, Lapończycy, musimy iść tam, dokąd nas nasze renifery prowadzą”.

Dziewczynka szwedzka była dzieckiem bogatych rodziców. Przyzwyczajona była mieszkać w domu, spać w łóżku i jeść przy stole. Dotychczas pogardzała zawsze ubogim ludem górskim i sądziła, że ludzie, którzy śpią pod gołym niebem, muszą być bardzo nieszczęśliwi. Ale bała się pozostać sama w kraju, w którym wszyscy wymarli.

„Więc pozwól mi przynajmniej pójść z tobą w góry — rzekła do chłopca — nie zostanę sama tutaj, gdzie nie słyszy się głosu ludzkiego”.

Chłopiec zgodził się chętnie i dziewczynka wyruszyła wraz z renami w góry. Stado dążyło do bujnych pastwisk górskich i przebywało co dzień wielkie przestrzenie. Nie było więc czasu na rozbijanie namiotu — tylko w tych godzinach, kiedy renifery zatrzymywały się na popas, chłopiec i dziewczynka mogli się rzucić na śnieg i przespać trochę. Zwierzęta wyczuwały wiatr południowy podnoszący im sierść i czuły także, że za kilka dni wiatr ten zmiecie śnieg ze stoków górskich. Chłopiec i dziewczynka musieli biec za nimi po topniejącym śniegu i załamującym się lodzie. Gdy nareszcie przybyli wysoko w góry, tam gdzie las iglasty się skończył i zaczynały się karłowate brzozy, odpoczywali przez kilka tygodni, dopóki nie stopniał śnieg na najwyższej górze; po czym wyruszyli dalej. Dziewczynka jęczała i narzekała na zmęczenie mówiąc często, że chce zawrócić i zejść z powrotem w doliny, a jednak wołała już iść dalej niż wracać do samotności i nie mieć ani jednej żywej duszy wokoło siebie.

Kiedy wreszcie dotarli do doliny górskiej, chłopiec rozpiął namiot w pięknym, zielonym miejscu o łagodnym spadku, nad strumykiem górskim.

Gdy wieczór nadchodził, chłopiec chwycił reny za pomocą sznurka zwanego „lasso”, doił je i dawał dziewczynce mleko do picia. Znalazł także nieco sera i suszonego mięsa reniferowego, które jego rodacy schowali tutaj zeszłego roku. Lecz dziewczynka narzekała ciągle i nic nie mogło jej zadowolić. Nie

chciała jeść suszonego mięsa ani pić mleka reniferowego. Nie mogła się przyzwyczaić do sypiania na ziemi albo na posłaniu przygotowanym dla niej z gałęzi i skóry reniferowej. Ale syn ludu górskiego żartował z jej lamentów i był dla niej zawsze dobry i przyjazny.

Po kilku dniach dziewczynka podeszła do chłopca dojącego reny i zapytała, czy może mu pomóc. Odtąd i ona rozpałała ogień pod kociołkiem, kiedy trzeba było gotować mięso, przynosiła wodę i robiła ser. Teraz rozpoczęły się piękne czasy dla obojga. Zrobiło się ciepło i łatwo było o pożywienie. Zastawiali razem sidła na ptactwo, łowili pstrągi w strumieniu i zbierali jagody na mokradłach,

Z końcem lata wyruszyli z gór na pogranicze między lasami iglastymi a liściastymi i rozbili tam swój namiot. Była to pora zarzynania bydła i musieli codziennie ciężko pracować, ale były to jednocześnie dobre czasy, gdyż teraz było jeszcze łatwiej o pożywienie niż w lecie.

Gdy zaczął padać śnieg, a jeziora pokrywały się stopniowo lodem, dzieci poszły na wschód, by schronić się wśród gęstych borów. Urządziły sobie namiot i zabrały się do robót zimowych. Chłopiec nauczył dziewczynkę kręcić nici z nerwów reniferów, wyprawiać skóry i szyć z nich odzież i obuwie, wyrabiać grzebienie i narzędzia z rogów reniferowych, a także biegać na nartach i powozić saniami zaprzężonymi w renifery.

Kiedy słońce zaczynało stopniowo przygrzewać, chłopiec powiedział do dziewczynki, że chce ją odprowadzić na południe kraju, aby odnalazła swych rodaków.

Lecz dziewczynka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

„Dlaczego chcesz się mnie pozbyć? — zapytała. — Czy pragniesz być znowu sam ze swymi reniferami?”

„Zdawało mi się, że chcesz się stąd wydostać” — odrzekł chłopiec.

„Teraz kiedy prawie cały rok żyłam życiem ludu lapońskiego — rzekła dziewczynka — nie mogę już wrócić do moich rodaków. Za bardzo przywykłam do swobodnego wędrowania po górach i lasach, abym znów mogła mieszkać w ciasnych domach. Nie wypędzaj mnie, lecz pozwól mi pozostać tutaj, gdyż wasze życie lepsze jest od naszego”.

I dziewczynka pozostała przez całe życie razem z chłopcem i nie odczuwała nigdy tęsknoty za swoimi i za życiem w dolinach.

I ty, Azo, gdybyś została tutaj tylko przez miesiąc, nie mogłabyś się z nami rozstać.

Tymi słowami Aslak zakończył swoje opowiadanie i w tejże chwili Ola Serka wyjął swą fajkę z ust i wstał. Stary Ola rozumiał więcej po szwedzku, niż chciał dać poznać innym, i zrozumiał też, co jego syn opowiadał. A kiedy się przysłuchiwał, przyszła mu nagle myśl, w jaki sposób udzielić ma Jonowi Assarsonowi wiadomości o tym, że jego córka przybyła, aby go odszukać.

Ola Serka poszedł na dół nad jezioro Loussajaure i siedł wzduż brzegów, aż natrafił na człowieka siedzącego na kamieniu i łowiącego ryby. Rybak miał siwe włosy i zgarbione plecy. Oczy jego patrzyły ze znużeniem. Na człowieku tym leżało piętno jakiegoś przygnębienia i bezsilności, wyglądał jak ktoś, kto próbuje nosić ciężar, którego nie może udźwignąć, albo jak ktoś, kto rozmyśla nad czymś, czego nie może rozwiązać i to go przygnębia i zniechęca.

— Szczęściło ci się widocznie przy połowie, Jonie, kiedyś pozostał tu przez całą noc — odezwał się Lapończyk w swojej mowie, przybliżając się do niego.

Rybak drgnął i podniósł głowę. Przynęty przy jego wędce nie było, a obok niego nie leżała ani jedna ryba. Szybko umocował nową przynętę i zarzucił sznur. Tymczasem Ola usiadł obok niego na trawie.

— Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać — zaczął Lapończyk.

— Wiesz, że miałem córkę, która mi umarła zeszłego roku, i odtąd tak bardzo odczuwam jej brak w namiocie.

— Tak, wiem o tym — odrzekł rybak krótko, jak gdyby nie mógł znieść przypomnienia o umarłym

dziecku. Mówił dobrze po lapońsku.

— Ale to nic nie pomaga, jeśli sobie człowiek życie zatruwa — ciągnął dalej Lapończyk — i dlatego pomyślałem sobie, że wezmę inne dziecko za swoje. Jak ci się zdaje, czy to dobra myśl?

— To zależy od tego, co to za dziecko, Ola,

— Opowiem ci, co o tym dziecku wiem, Jonie.

I Ola opowiedział, że tego lata przybyło do Malmberget dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, aby odszukać swego ojca, a gdy się dowiedzieli, że ojca nie ma, zostali tam, aby doczekać się jego powrotu. Tymczasem zdarzyło się tak, że chłopca przygniótł odłam skały wysadzony przez wybuch miny, a dziewczynka wyprawiła mu uroczysty pogrzeb, zupełnie jak dorosłemu.

Potem Ola opisał bardzo ładnie, jak to biedna, mała dziewczynka skłoniła wszystkich ludzi do tego, żeby jej pomogli, a nawet odważyła się pójść sama do inspektora.

— Czy to tę dziewczynkę chcesz wziąć do siebie, Ola? — zapytał rybak.

— Tak — odrzekł Lapończyk. — Gdyśmy usłyszeli jej historię, rozplakaliśmy się wszyscy i wszyscyśmy się zgodzili, że taka dobra siostra będzie z pewnością dobrą córką, mamy więc teraz tylko jedno życzenie — aby zechciała zostać z nami.

Rybak milczał przez chwilę, a potem znów zaczął mówić, choć widać było, że czynił to tylko dlatego, aby przyjacielowi swemu, Lapończykowi, sprawić przyjemność:

— Dziewczynka ta chyba należy do twego plemienia?

— Nie, nie jest Laponką.

— Jest więc pewnie córką osadnika przyzwyczajoną do życia na północy?

— Nie, pochodzi z dalekiego południa, z dolin — rzekł Ola tak, jak gdyby to nie miało nic do rzeczy. Lecz teraz rybak okazał zainteresowanie.

— W takim razie nie powinieneś jej zatrzymywać, Ola — rzekł.

— Jeśli nie jest przyzwyczajona od urodzenia do przebywania na północy, to nie będzie mogła z pewnością znieść pobytu zimowego w namiocie lapońskim.

— Zyska dobrych rodziców i dobre rodzeństwo w tym namiocie lapońskim — mówił Ola uparcie. — Lepiej jest marznąć niż żyć samotnie na świecie.

Ale rybak zapalał się coraz bardziej, aby odwieść Lapończyka od tego projektu. Zdawało się, iż nie może znieść tej myśli, aby dziecko, które miało szwedzkich rodziców, mogło zamieszkać z Lapończykami,

— Czy nie mówiłeś, że dziewczynka ma ojca w Malmberget?

— Umarł — rzekł Lapończyk krótko.

— Czy wiesz to na pewno, Ola?

— Po co pytasz o to? — odrzekł Lapończyk pogardliwie. — Czy tych dwoje dzieci potrzebowałoby wędrować samotnie po kraju, gdyby ich ojciec żył? Czy można sobie wyobrazić, żeby dwoje małych dzieci musiało samodzielnie zarabiać na życie, gdyby miały ojca? Czy dziewczynka musiałaby się zdobyć na tę trudną drogę do inspektora, gdyby jej ojciec żył jeszcze? Czy myślisz, że byłaby ona teraz choć przez chwilę samotna i opuszczona, teraz, kiedy cały Småland mówi o tym, jaka jest dobra i mężna? Ona sama wierzy wprawdzie, że jej ojciec jeszcze żyje, ja jednak twierdzę, że umarł, gdyż inaczej być nie może.

Człowiek ze znużonymi oczyma zwrócił się do Lapończyka.

— Jak ona się nazywa, Ola? — zapytał.

Lapończyk namyślał się przez chwilę, potem rzekł:

— Zapomniałem, ale zapytam się jej.

— Zapytasz się jej? Czyż ona jest już tutaj?

— Tak, jest w naszym namiocie.

— Jak to, Ola? Więc zabrałeś ją nie czekając na to, co jej ojciec powie?

— Co mnie obchodzi jej ojciec! Jeśli naprawdę nie umarł, to widocznie nie chce nic wiedzieć o swym dziecku i będzie tylko rad, że ktoś inny zaopiekuje się nim.

Teraz rybak odrzucił wędkę, wstał i ożywił się nagle, tak jak gdyby zbudziło się w nim nowe życie.

— Ten ojciec z pewnością nie jest taki jak inni ludzie — ciągnął Lapończyk dalej. — Może jest on jednym z tych, których prześladują smutne myśli, tak że nie może wytrwać przy żadnej pracy. Ale powiedz sam, czy taki ojciec dałby szczęście tej dziewczynce?

Kiedy Ola tak mówił, rybak wstał i zaczął iść szybkimi krokami wzdłuż brzegu.

— Dokąd idziesz? — zapytał Lapończyk.

— Chcę zobaczyć twoją przybraną córkę, Ola.

— Słusznie — rzekł Ola, — Chodź i przyjrzyj jej się. Z pewnością przyznasz, że dobrze zrobiłem.

Szwed szedł coraz prędzej naprzód i stary Ola nie mógł za nim nadążyć, Kiedy tak przeszli kawał drogi, Ola rzekł do swego towarzysza:

— Teraz przypomina mi się, jak się dziewczynka nazywa — Aza, córka Jona.

Rybak jeszcze bardziej przyspieszył kroku i stary Ola był tak uradowany, że najchętniej krzyczałby głośno z radości. Gdy po chwili ukazał się przed nimi namiot, Ola przemówił jeszcze raz:

— Przyszła tutaj, żeby odnaleźć swego ojca, a nie po to, aby zostać moją przybraną córką, ale jeśli nie znajdzie ojca, chciałbym bardzo zatrzymać ją w moim namiocie.

Lecz tamten nie odpowiadał, biegi tylko coraz śpieszniej naprzód.

— Jednak dobrze przewidziałem, iż przestraszy się wiadomością, że Lapończycy chcą przygarnąć jego córkę — rzekł Ola do siebie.

Kiedy górnik z Kiruny, który przewiózł Azę do obozu lapońskiego, następnego dnia wracał, wioził w swej łodzi dwie osoby siedzące obok siebie i trzymające się tak mocno za ręce, jakby się nigdy rozłączyć nie chciały. Byli to Jon Assarson i jego córka Aza. Oboje wyglądali teraz zupełnie inaczej niż przed kilku godzinami. Jon Assarson nie wydawał się już wcale taki zmęczony i zgarbiony, a jego oczy miały jasny, pogodny wyraz, jak gdyby teraz otrzymał odpowiedź na to, co go tak długo niepokoiło; a gęsiarka Aza nie spoglądała już tym właściwym sobie przedwcześnie dojrzałym spojrzeniem. Miała już przecież kogoś, na kim mogła się oprzeć, i zdawało się, że jest na drodze do tego, aby się stać na nowo prawdziwym dzieckiem.

NA POŁUDNIE! NA POŁUDNIE!



PIERWSZY DZIEŃ PODRÓŻY

Sobota, 1 października

Nils Holgerson siedział na grzbiecie białego gąsiora i unosił się z nim wysoko w powietrzu. Trzydzieści jeden dzikich gęsi ciągnęło spiesznie długim sznurem na południe. Pióra ich szeleściły, liczne skrzydła pruły powietrze z tak głośnym szumem, że trudno było usłyszeć własne słowo. Akka z Kebnekajse leciała na czele, za nią podążały Yksi i Kaksi, Kolme i Nelie, Visi i Kusi, gąsior Marcin i Lekkopuszką. Sześć młodych gęsi, które się przyłączyły do stada zeszłej jesieni, porzuciły je teraz, aby sobie radzić samodzielnie. Zamiast nich przybyło stado dwadzieścia gąsek, które w ciągu lata wyrosły w skalistej dolinie. Dziesięć z nich leciało po prawej stronie, a dziesięć — po lewej i wszystkie starały się lecieć w takim samym oddaleniu jedna od drugiej, jak to czyniły gęsi duże.

Biedne gąski nigdy jeszcze nie odbywały tak dalekiej podróży i z początku z trudem nadążały za szybkim lotem dorosłych gęsi.

— Akko z Kebnekajse! Akko z Kebnekajse! — wołały żalosnym głosem.

— Co takiego? — zapytała przodownica.

— Nasze skrzydła są znużone ciągłym ruchem — skarżyły się młode.

— Im dłużej będziecie nimi poruszać, tym lepiej pójdzie — odrzekła przodownica i nie zwolniła lotu ani trochę.

Zdawało się, że miała słuszość, gdyż młode gąski lecąc tak przez kilka godzin przestały narzekać na zmęczenie. Lecz że w swojej dolinie skalistej cały dzień spędzały na pastwisku, zatęskniły wkrótce za pożywieniem.

— Akko, Akko, Akko z Kebnekajse! — wołały żalosnym głosem.

— Cóż tam znowu? — zapytała przodownica.

— Jesteśmy takie głodne, że nie możemy już dłużej lecieć! — wołały młode. — Jesteśmy takie głodne, że nie możemy już dalej lecieć!

— Dzikie gęsi muszą się nauczyć karmić powietrzem, a gasić pragnienie wiatrem! — odrzekła

przodownica i nie zatrzymała się, lecz leciała dalej tak szybko jak poprzednio.

I mogło się niemal zdawać, że młode nauczyły się istotnie żyć powietrzem i wiatrem, gdyż po pewnym czasie przestały narzekać na głód. Stado leciało wciąż jeszcze wśród gór i stare gęsi wywoływały głośno nazwy wszystkich szczytów, obok których przelatywały, aby młode nauczyły się je odróżniać. Lecz słuchając przez pewien czas tych wykrzykników: „To Porsotokko, to Sarjektioikko, to Sulitel — ma!” — młode straciły znowu cierpliwość.

— Akko, Akko, Akko! — wołały rozdzierającym głosem.

— Co się stało? — spytała przodownica.

— Nie możemy już pomieścić więcej nazw w głowie! — jęczały młode. — Nie możemy już pomieścić więcej nazw w głowie!

— Im więcej wejdzie do waszej głowy, tym więcej będzie w niej miejsca! — odrzekła przodownica i w dalszym ciągu wywoływała dziwaczne nazwy jak poprzednio.

Nils Holgerson uważał również, że pora już, żeby dzikie gęsi wyruszyły na południe: spadł obfity śnieg, ziemia bieliła się jak oko sięgało. A w dolinie skalistej bywało już w ostatnich czasach bardzo nieprzyjemnie. Deszcz, wiatr i mgła następowały na przemian, a jeśli słońce zabłysło na chwilę, natychmiast następował silny mróz. Jagody i grzyby, którymi się chłopiec żywił podczas lata, zmarzły albo zgniły. W końcu musiał się posilać surowymi rybami, co mu sprawiało wielką przykrość. Dnie stawały się coraz krótsze, a podczas długich wieczorów i późnych ranków chłopca ogarniały smutek i nuda. Nie mógł bowiem zmienić swej natury tak, żeby spać dotąd, dopóki się słońce nie ukaze.

Z czasem jednak gąsiętom urosły dostatecznie duże skrzydła, by można się było udać w podróż na południe, i chłopiec nie posiadał się z radości. Śpiewał i śmiał się bez ustanku, unosząc się w powietrzu na grzbiecie gąsiora. Ach, pragnął wydostać się z Laponii nie tylko dlatego, że tam w górach bywało w ostatnich czasach tak ponuro, ciemno i zimno i tak trudno o pożywienie, ale miał po temu jeszcze i inne powody.

Podczas pierwszych tygodni nie odczuwał wcale tęsknoty. Zdawało mu się, że nigdy jeszcze nie był w tak cudownej krainie, nie miał też innej troski prócz tej, żeby się bronić przed rojami komarów, aby go zupełnie nie zjadły. Białego gąsiora rzadko widywał w tych czasach, gdyż gąsior Marcin myślał jedynie o tym, aby Lekkopuszkę otoczyć wygodami i nie odstępować jej na krok. Chłopiec więc przebywał z matką Akką i orłem Gorgo i ta trójka spędziła razem wiele przyjemnych godzin.

Ptaki zabierały go na dalekie wycieczki. Nils Holgerson był nawet wysoko na pokrytej śniegiem Kebnekajse i przyglądał się lodowcom ciągnącym się pod stromym stokiem góry. Chłopiec był jeszcze na wielu innych wysokich szczytach niełatwo dostępnych dla stopy ludzkiej. Akka pokazywała mu doliny ukryte w górach i pozwalała zaglądać w skalne przepaście, gdzie Nils zawarł znajomość z oswojonymi reniferami, które pasły się w wielkich stadach na brzegach pięknego jeziora Torne. Był także nad wielkim wodospadem Sjöfall i oddał mieszkającym tam niedźwiedziom pozdrowienie od ich krewnych z okręgu górniczego.

Gdziekolwiek zawędrował, wszędzie kraj był cudownie piękny. Cieszył się też z całego serca, że mógł to wszystko zobaczyć, a jednak nie chciałby tu zamieszkać na zawsze. Musiał przyznać słuszość

Akce, która oświadczyła: „Osadnicy szwedzcy nie powinni niepokoić tej krainy, lecz zostawić ją, tak jak dotychczas było, niedźwiedziom i wilkom, reniferom i dzikim gęsiom, sowom górskim, lemingom i Lapończykom, którzy stworzeni są do tego, aby tutaj mieszkać”.

Pewnego dnia Akka poleciała z nim do jednej z wielkich kopalń i wtedy to Nils spotkał małego Matsa, któremu odłamek skały rozsadzanej dynamitem roztrzaskał głowę. Przez następne dni chłopiec nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, aby przyjść z pomocą gęsiarce Azie. Potem jednak, kiedy Aza odzyskała ojca i nie potrzebowała już jego pomocy, Nils spacerował najczęściej po skalistej dolinie. I

odtąd tęsknił za dniem, w którym powróci do domu z gąsiorem Marcinem i przemieni się znów w człowieka. Ach, jakżeby chciał przybrać z powrotem taką postać, żeby gęsiarka Aza odważyła się z nim rozmawiać i nie zatrzasnęła mu ze strachu drzwi przed nosem!

Tak, tak, Nils Holgerson był nadzwyczaj szczęśliwy, że gęsi zabrały się do odwrotu na południe. Kiedy ukazał się pierwszy las sosnowy, wyrzucił swą czapkę do góry, wołając: „Wiwat!” I w ten sam sposób powitał pierwszy szary domek osadniczy, pierwszą kozę, pierwszego kota i pierwsze kury. Droga wiodła nad wspaniałymi wodospadami, a z prawej strony chłopiec widział przepiękne góry. Ale z tymi wspaniałościami tak się już teraz oswoił, że zaledwie raczył na nie spojrzeć. Zupełnie inaczej patrzył na kapliczkę w Kwikjok, kiedy ujrzał ją nagle na wschód od gór, otoczoną małym probostwem i wioską. Ten widok tak go przejął, że łzy stanęły mu w oczach.

Przez cały ten czas dzikie gęsi spotykały się z innymi ptakami przelotnymi, które teraz leciały znacznie większymi stadami niż na wiosnę.

— Dokąd, dzikie gęsi, dokąd?! — wołały przelotne ptaki.

— Do ciepłych krajów, tak samo jak i wy! — odpowiadały dzikie gęsi. — Do ciepłych krajów, do ciepłych krajów!

— Młode wam przecież jeszcze nie wyrosły! — wołały tamte. — Z takimi małymi skrzydłami nigdy się przez morze nie przedostaną!

Lapończycy z reniferami wyruszali już także z gór. Szli w wielkim porządku: jeden Lapończyk prowadził pochód, potem następowało stado z wielkimi bykami na przedzie, dalej szereg zwierząt jucznych, które niosły namioty i inne rzeczy Lapończyków, i w końcu około siedmiu czy ośmiu mężczyzn.

Kiedy dzikie gęsi ujrzały renifery, opuściły się nieco niżej i zawołały:

— Dziękujemy za lato! Dziękujemy za lato!

— Szczęśliwej podróży i do widzenia na przyszły rok! — odpowiedziały renifery.

Lecz niedźwiedzie ujrzawszy dzikie gęsi pokazały je swym młodym i zamruczały:

— Patrzcie, patrzcie! Boją się zimniejszych podmuchów, dlatego nie zostają tutaj na zimę.

A stare gęsi nie pozostały dłużne w odpowiedzi i zawołały do swoich młodych:

— Patrzcie, patrzcie! Wolą spać przez pół roku niż trudzić się podróżą na południe.

W dole, w lasach sosnowych, siedziały jeden przy drugim młode głuszce, nastroszone i zziębnięte, i przypatrywały się tęsknym wzrokiem wielkim gromadom ptasim lecącym na południe z radością i weselem.

— A kiedy na nas kolej przyjdzie? — pytały starych głuszców.

— Kiedy na nas kolej przyjdzie?

— Musicie zostać w domu u rodziców — odpowiadały stare. — Musicie zostać w domu u rodziców.

NA GÓRZE OSTBERG

Wtorek, 4 października

Ktokolwiek bywał w krainach górskich, wie, jak przykra bywa tam mgła, kiedy zalega okolicę i zasłania cały widok, tak że nie widać nic z panoramy pięknych gór wznoszących się wokoło. I w lecie zdarzyć się może taka mgła, ale w jesieni prawie niemożliwie jest ujść przed nią — bywa prawie zawsze. Dopóki dzikie gęsi przebywały w Laponii, Nils Holgerson miał przeważnie piękną pogodę. Ale zaledwie obwieściły, że zaczyna się Jämtlandia, już wokoło nich wznosiła się mgła i tak gęstniała, że niesposób było dojrzeć cośkolwiek z krajobrazu. Chłopiec leciał przez cały dzień na grzbiecie gąsiora,

nie widząc, czy znajduje się w kraju górzystym, czy też leci nad równiną.

Około wieczora dzikie gęsi siadły na zielonej polance o spadzistych zboczach ze wszystkich stron. Wywnioskowały stąd, że muszą się znajdować na wierzchołku jakiegoś wzgórza. Czy było ono duże, czy też małe — tego chłopiec nie mógł zbadać. Sądził jednak, że musi to być okolica zaludniona, gdyż zdawało mu się, że słyszy turkot wozów po bruku; nie był jednak zupełnie pewny.

Chciało mu się ogromnie poszukać jakiegoś domostwa, bał się jednak, że zabłądzi we mgle, i postanowił zostać przy gęsiach. Wszystko wokoło ociekało wodą i wilgocią. Z każdego źdźbła trawy i z każdego listka zwieszały się krople i na chłopca spadała za każdym poruszeniem prawdziwa ulewa.

„Nielepiej tutaj niż w skalistej dolinie — myślał. — Ale mógłbym się jednak odważyć na parę kroków”.

W niewielkim oddaleniu od siebie rozróżnił budynek wprawdzie niezbyt rozległy, ale wysoki na kilka pięter. Chłopiec nie mógł dojrzeć dachu. Brama była zamknięta i dom zdawał się być nie zamieszkały. Ach, była to z pewnością tylko wieża zbudowana dla .oglądania widoku, który się z niej roztaczał, i nie można tam było ani nic zjeść, ani ogrzać się! Mimo to Nils Holgerson pobiegł jak najszybciej do gęsi.

— Kochany Marcinie! — zawołał. — Weź mnie na grzbiet i zanieś tam na tę wieżę. Nie mogę tutaj zasnąć, wszędzie tu za mokro. Tam, w górze, znajdę na pewno jakieś suche miejsce, gdzie będę się mógł położyć.

Gąsior Marcin natychmiast był gotów pomóc swemu dobremu przyjacielowi. Zaniósł go na płaski dach wieży i tam chłopiec spał, dopóki go słońce poranne nie zbudziło.

Kiedy otworzył oczy i rozejrzał się wokoło, nie mógł zrazu wcale pojąć, co widzi i gdzie się znajduje. Dawniej, będąc raz na jarmarku, widział w budzie olbrzymią panoramę. I teraz zdawało mu się, że stoi znów pośrodku takiej wielkiej, okrągłej budy, że nad nim wznosi się piękny, czerwony sufit, a na ścianach i na podłodze wymalowany jest wspaniały, daleki krajobraz z rozległymi wsiami, łąkami, szosami i kolejami, tak, nawet z wielkim miastem. Wkrótce jednak uświadomił sobie, że nie znajduje się w budzie, lecz na wieży, z której roztacza się daleki widok, że ma nad sobą zarumienione o wschodzie niebo, a wokoło siebie prawdziwy krajobraz. Ale od tak dawna już widywał tylko same pustkowia, że słusznie mógł wziąć za obraz to, co teraz widział przed sobą — prawdziwy, gęsto zabudowany kraj.

Była jeszcze jedna przyczyna, dla której chłopcu wszystko, co widział, wydawało się obrazem. Nic mianowicie nie miało właściwej sobie barwy. Wieża, na której się znajdował, stała na górze, góra wznosiła się na wyspie, a sama wyspa leżała w pobliżu wschodniego brzegu wielkiego jeziora. Jezioro zaś nie było szare, jak zwykle bywają podobne jeziora, lecz większa część jego powierzchni jaśniała taką samą różowością jak niebo poranne, a w głębokich zatokach połyskiwała woda czarna jak noc. A dalej: ziemia wokoło jeziora nie była zielona, świeciła jasnożółto dzięki wszystkim tym polom zbożowym i lasom liściastym o złotawym połysku — a nad tą żółtością ciągnął się szeroki pas boru. Jeszcze nigdy chłopcu las nie wydał się tak czarny jak tego ranka, ale myślał, iż pochodzi to może stąd, że las liściasty odcina się tak jasno od ciemnego pasa iglastego. Z tamtej strony ciemnego pasa błękitniało na wschodzie kilka pasm górskich, a na całym zachodnim widnokręgu sklepił się długi, świecący łuk składający się z wyębionych gór o różnorodnym układzie, o cudownie pięknej, łagodnie świecącej barwie, której nie można było nazwać ani czerwoną, ani niebieską, ani białą — nie było po prostu nazwy dla tego odcienia barwy.

Lecz teraz chłopiec odwrócił wzrok od gór i lasów iglastych i przeniósł go na najbliższe otoczenie. Wokoło jeziora ze złotego pasa wynurzały się stopniowo jedna za drugą czerwona wieś, jeden za drugim biały kościół, a wprost na wschód poza wąskim przesmykiem dzielącym wyspę od lądu leżało miasto. Roztaczało się ono nad brzegiem jeziora, tuż za nim wznosiła się góra, która je osłaniała, a wokoło ciągnęła się bogata, gęsto zaludniona okolica.

„To miasto potrafiło sobie naprawdę wybrać dogodnie położenie — pomyślał chłopiec. — Jak też się ono może nazywać?”

W tejże chwili zerwał się raptownie i rozejrzał wokoło. Zatopił się zupełnie w oglądanym krajobrazie i nie zauważył, że na dole ukazali się ludzie.

Przybysze wbiegali właśnie śpiesznie po schodach na górę. Chłopiec miał zaledwie tyle czasu, żeby się obejrzeć za kryjówką, i schronił się do niej, kiedy ludzie już byli na górze.

Była to gromada młodzieży, która wybrała się na pieszą wędrówkę. Zwiedzili Jämtlandię i teraz w głośnych słowach wyrażali swą radość, że poprzedniego wieczoru udało im się dotrzeć do Östersundu i że w tak piękny poranek dzisiejszy mogą się napawać widokiem z Ostbergu na Frösö. Stąd można było objąć wzrokiem więcej niż dwadzieścia mil w obwodzie, mogli więc rzucić jeszcze ostatnie spojrzenie na swą ukochaną Jämtlandię, zanim ją opuszczą.

— Tam na dole mamy Sunnę — mówili. — A tam leży Marby, a tam Hallen. To, co widzimy wprost na północy, to kościół w Rödö, a tamten w dole — to kościół w Frösö.

A potem rozmawiali o górach. Jedni orzekli, że najbliższe pasma to Oviksfjälle, a wszyscy inni potwierdzili to. Potem jednak nie mogli się zgodzić, która góra była Klövsjöfjäll, a która Anarisfjäll i gdzie jest Västerfjället, Almasafjället i Äreskutan.

Podczas kiedy spierali się o to, młoda dziewczyna wyjęła mapę, rozłożyła ją na kolanach i zaczęła się jej przypatrywać. Nagle podniosła głowę,

— Kiedy tak patrzę tutaj na mapie na Jämtlandię — rzekła — wydaje mi się ona zawsze jakby jedną wielką skałą. Czekam, aby mi ktoś raz wreszcie opowiedział, że te pasma górskie stały niegdyś wyprostowane i sięgały do nieba.

— To musiałyby być zaiste olbrzymia góra — rzekł jeden z młodzieńców i wyśmiał dziewczynę.

— Oczywiście, toteż dlatego przewróciła się. Tutaj — patrzcie sami — czy nie jest to podobne do prawdziwej wysokiej góry z szerokim spodem i ostrym szczytem?

— Wcale to nieźle świadczy o górskiej krainie, jeśli całe pasmo gór wygląda jak jedna góra — odezwał się inny młodzieniec. — Słyszałem już wprawdzie rozmaite podania o Jämtlandii, nigdy jednak...

— Znasz podanie o Jämtlandii? — przerwała mu spieszenie młoda dziewczyna. — Musisz mi więc zaraz opowiedzieć. A najlepsze miejsce do słuchania jest właśnie tutaj, gdzie mamy jednocześnie całą krainę przed sobą.

Wszyscy zgodzili się na propozycję dziewczyny, a jej towarzysz nie dał się długo prosić i rozpoczął natychmiast opowiadanie.

PODANIE O JÄMTLANDII

— W owych czasach, kiedy Jämtlandię zamieszkiwali jeszcze olbrzymi, zdarzyło się raz, że stary olbrzym górski stał w swojej zagrodzie przed domem i czesał zgrzebłem konie. Kiedy tak pilnie zajęty był swoją robotą, konie nagle zaczęły drzeć ze strachu.

„Co się z wami dzieje?” — zapytał olbrzym i począł wypatrywać, co mogło konie tak przestraszyć.

W pobliżu nie było jednak widać ani wilków, ani niedźwiedzi. Zauważył jedynie wędrowca wstępującego na drogę wiodącą do zagrody, który, chociaż daleko mu było do wzrostu i siły olbrzyma, wyglądał jednak dość pokaźnie i miał najwidoczniej dużo siły. Ale zaledwie stary olbrzym górski spostrzegł wędrowca, i on zadrżał od stóp do głów, zupełnie tak jak jego konie. Nie dokończył nawet rozpoczętej pracy, lecz pobiegł czym prędzej do izby, gdzie żona jego przędła len.

„Co się stało? — zapytała żona. — Toż błądny jesteś jak trup”.

„Jakże nie mam błędny — odparł olbrzym — skoro drogą nadchodzi wędrowiec, którym, jak ty jesteś moją żoną, musi być sam Aza—Thor”.

„To rzeczywiście wcale nie pożądane odwiedziny — odrzekła olbrzymka. — Ale czy nie możesz mu zaczarować oczu, tak aby cały nasz dom wydał mu się skałą i aby nas ominął?”

„Za późno na czary — rzekł olbrzym — słyszę już, jak otwiera wrota i wchodzi do zagrody”.

„Radzę ci więc, abyś się ukrył i pozwolił mnie samej go przyjąć — rzekła kobieta śpiesznie. — Uczynię wszystko, co możliwe, aby już tu więcej nie powrócił”.

Ten pomysł podobał się olbrzymowi bardzo. Wszedł do alkierza, a żona została w izbie na ławie i przędła dalej spokojnie, jak gdyby nie przeczuwała żadnego niebezpieczeństwa.

A musicie wiedzieć, że w owych czasach Jämtlandia wyglądała zupełnie inaczej niż dziś. Cały kraj przedstawiał jedną jedyną płaską wyżynę, zupełnie nagą i pustą — nawet las sosnowy nie mógł się na niej utrzymać. Nie było tu ani jeziora, ani rzeki, ani pól, które by pług mógł zaorać. Tak, w owych czasach nie było tu nawet gór i skał rozrzuconych teraz po całej krainie: wszystkie one wznosiły się daleko na zachodzie. W całej tej rozległej kramie nie mogli więc mieszkać ludzie, za to tym lepiej działa się tam olbrzymom. Toteż z pewnością nie bez ich woli i starań kraina ta pozostawała taka pusta i odstrasząca. I przestach olbrzyma na widok Azy—Thora zbliżającego się do jego domu był zupełnie uzasadniony. Wiedział on, że Azowie byli nieprzyjaciółmi tych, którzy szerzyli zimno, ciemności i pustkę i nie pozwalali, aby ziemia stała się bogata i urodzajna i przyozdobiła się siedzibami ludzkimi.

Olbrzymka nie czekała długo, po kilku bowiem chwilach rozległy się przed domem głośne kroki i wędrowiec, którego olbrzym spostrzegł na drodze, otworzył drzwi i wkroczył do izby. Nie stanął jednak przy drzwiach, jak to zwykli czynić podróżni, lecz podszedł wprost ku olbrzymce, która siedziała po przeciwległej stronie izby. Lecz, o dziwo! Gdy mu się zdawało, że przeszedł już znaczną przestrzeń, przekonał się, że od drzwi oddalił się zaledwie o kilka kroków, a do ogniska znajdującego się pośrodku izby było jeszcze wciąż bardzo daleko.

Gość zaczął stawiać dłuższe kroki, ale kiedy tak przez pewien czas szedł, wydało mu się, że kobieta oraz ognisko odsunęły się jeszcze bardziej. Z początku dom nie wydawał mu się wcale tak wielki. Jego rozmiary poznał dopiero wówczas, gdy nareszcie doszedł do ogniska — był tak zmęczony, iż musiał się oprzeć na kiju i odpocząć.

Olbrzymka, widząc, że gość stanął, położyła kądziel, powstała z ławy i w kilku krokach podeszła do niego.

„My, olbrzymi, lubimy duże pokoje — rzekła. — I mój mąż narzeka często, że mamy tutaj takie ciasne mieszkanie. Ale dla kogoś, kto tak jak ty nie może stawiać większych kroków, musi być bardzo męczące przejść przez taki pokój olbrzyma — rozumiem to dobrze. A teraz powiedz mi, kim jesteś i czego chcesz od olbrzyma?”

Jakkolwiek wędrowiec skłonny był odpowiedzieć szorstko, to jednak nie chciał wszczynać sprzeczki z kobietą i odrzekł zupełnie spokojnie:

„Zwę się Siłaczem i jestem rycerzem, który miał już niejedną przygodę. Przesiedziałem właśnie cały rok w moim zamku i pytałem sam siebie, czyżby też już nie było dla mnie na świecie nic do roboty, kiedy dowiedziałem się od ludzi, iż wy, olbrzymi, tak źle gospodarujecie w tym kraju, że nikt prócz was nie może tu zamieszkać. Śpiesznie więc wybrałem się w drogę, aby pomówić z twoim mężem o tej sprawie i zapytać go, czy nie zechciałby postarać się o większy porządek tutaj”.

„Mój mąż jest na polowaniu — rzekła kobieta — a gdy wróci do domu, da ci sam odpowiedź na twoje pytanie. Ale chcę ci jedno powiedzieć: kto z takimi pytaniami przychodzi do olbrzyma w górach, powinien być z pewnością mężem dzielniejszym od ciebie. I chyba byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś się

zaraz zabrał do odwrotu, nie czekając na spotkanie z olbrzymem”.

„O, nie, ponieważ już tu przybyłem, chcę zaczekać na niego” — odrzekł rycerz zwący się Siłaczem.

„Poradziłam ci z dobrego serca — odrzekła olbrzymka. — Rób teraz, jak uważasz. Siądź tymczasem tutaj na ławie, a ja cię na powitanie ugoszczę napojem”.

Kobieta schwyciła olbrzymi puchar i udała się z nim do najskrytszego kąta izby, gdzie stała beczka z miodem. I ta beczka nie wydawała się gościowi szczególnie duża, ale kiedy kobieta wyciągnęła czopek, miód zaczął wyciekać w puchar z tak głośnym szumem, jak gdyby wodospad wtargnął do izby. Puchar napełnił się szybko. A kiedy kobieta chciała na nowo zatkać beczkę czopkiem, nie mogła sobie dać z tym rady. Miód pienił się gwałtownie, wyrwał czopek zaczął spływać na podłogę. Kobieta uczyniła jeszcze jeden wysiłek, żeby wsadzić czopek, ale znów jej się nie udało. Wówczas wezwała gościa na pomoc.

„Czyż nie widzisz, rycerzu, że mi miód wycieka? Chodź tutaj wsadź czopek do beczki!”

Gość pospieszył jej czym prędzej na pomoc. Wziął czopek i spróbował wsadzić go do otworu, ale miód wyrwał go znowu, odrzucił daleko, wytrysnął z niepowstrzymaną siłą i zalał podłogę.

Siłacz kilkakrotnie próbował wsadzić czopek, ale nie udawało mu się to i w końcu odrzucił go zniechęcony. Cała podłoga zalana była miodem i aby móc usiedzieć w izbie, gość zaczął żłobić bruzdy, którymi miód mógłby spływać. Rył w twardym, skalistym gruncie ścieżki, jak to na wiosnę czynią dzieci w piasku, aby topniejący śnieg miał którędy odpływać, tu zaś i ówdzie wygrzebywał nogą głębokie otwory, w których ciecz mogłaby się zbierać. Kobieta przyglądała się temu bez słowa, lecz gdyby gość spojrzał na nią, zauważyłby, że patrzyła na jego robotę ze zdziwieniem, a nawet z przerażeniem.

Mimo to, kiedy skończył, odezwała się drwiąco:

„Dziękuję ci bardzo, Siłaczu. Widzę, że czynisz, co jest w twojej mocy. Zwykle mój mąż pomaga mi wsadzić czopek — nie każdy jednak może być tak silny jak on. A że ty nie mogłeś sobie poradzić, byłoby, jak sądzę, najlepiej dla ciebie, gdybyś poszedł zaraz w swoją drogę”.

„Nie pójdę, dopóki nie wykonam swego postanowienia” — rzekł rycerz; wydawał się jednak przy tym bardzo zawstydzony i przybity.

„Siądź więc tam na ławie — rzekła kobieta. — Postawię kociołek na ogniu i ugotuję ci miskę kaszy.”

Zrobiła, jak powiedziała. Kiedy jednak kasza była prawie gotowa, zwróciła się do gościa i rzekła:

„Spostrzegłam się właśnie, że nie mam już prawie nic mąki, aby ugotować kaszę dostatecznie gęstą. Czy zdaje ci się, że byłbyś dość silny, aby puścić w ruch młyn ręczny, który obok ciebie stoi? Kilka obrotów wystarczy, a ziarno leży między kamieniami. Musisz jednak zebrać wszystkie swe siły, bo kamień nie obraca się łatwo”.

Gość nie dał się długo prosić i wziął się do obracania kamienia. Nie wydawał mu się wcale szczególnie wielki. Kiedy jednak ujął za rękojęść i chciał obrócić kamień raz dookoła, nie mógł go w pierwszej chwili nawet poruszyć. Wyteżył wszystkie swe siły, a mimo to obrócił go tylko jeden jedyny raz.

Olbrzymka przyglądała się temu z milczącym zdziwieniem, a kiedy odszedł od młyna, powiedziała:

„Tak, jestem co prawda przyzwyczajona do skuteczniejszej pomocy, którą mi mój mąż okazuje, kiedy młyn trzeba puścić w ruch. Nikt jednak nie może żądać od ciebie, abyś uczynił więcej, niż pozwalają ci na to twoje siły. Teraz jednak chyba sam przyznasz, że najlepiej będzie dla ciebie, jeśli nie spotkasz się z tym, który potrafi mleć na tym młynie tak długo, jak tylko zechce”.

„Mimo to mam ochotę zaczekać na niego” — odrzekł Siłacz cicho i łagodnie.

„Siądź więc tam na ławie, a ja przez ten czas przygotuję ci posłanie — rzekła kobieta — gdyż w takim razie będziesz musiał tutaj przenocować”.

Przygotowała mu posłanie z licznych poduszek i kołder i życzyła mu dobrej nocy.

„Łóżko będzie ci się wydawało dość twarde — rzekła — ale mój mąż śpi co noc na takim posłaniu”.

Kiedy Siłacz chciał się wygodnie wyciągnąć w łóżku, poczuł tyle nierówności i zagłębień pod sobą, że o spaniu nie mogło być mowy. Rzucał się i przewracał z jednej strony na drugą, nie mógł jednak w żaden sposób zasnąć. W końcu odrzucił poduszkę w jedną stronę, a materac w drugą i spał spokojnie do rana.

Kiedy słońce zajrzało przez szczelinę w dachu, gość wstał i opuścił dom olbrzyma. Przeszedł przez dziedziniec dążąc ku furtce, ale kiedy ją chciał zamknąć za sobą, stanęła nagle przed nim olbrzymka.

„Widzę, że chcesz jednak pójść w dalszą drogę, Siłaczu — rzekła — a jest to z pewnością najsmakowniejsza rzecz, jaką możesz uczynić”.

„Jeśli twój mąż może spać w takim łóżku, jakie posłałaś dla mnie tej nocy — rzekł Siłacz ze zniechęceniem — to nie chcę mieć z nim nic do czynienia, gdyż musi to być człowiek z żelaza, z którym nikt nie da sobie rady”.

Olbrzymka oparła się o furtkę.

„Teraz kiedy wyszedłeś już z mojej zagrody, Siłaczu — rzekła — muszę ci powiedzieć, że twoje odwiedziny u nas, olbrzymów, nie spełzły jednak zupełnie na niczym, choć sam zapewne tak uważasz. Wcale mi nie dziwno, że droga przez moją izbę wydała ci się długa,, ponieważ przeszedłeś przez całą wyżynę zwaną Jämtlandią. I nie dziwne również, że nie mogłeś wsadzić czopka do beczki, gdyż z beczki płynęły wszystkie wody spływające z gór śnieżnych. A sprowadziwszy tę wodę do ścieków, stworzyłeś zagłębienia i bruzdy, które stały się teraz jeziorami i rzekami. I nie był to wcale dowód twojej słabości, że obróciłeś tylko raz kamień młyński, ponieważ między kamieniami nie było ziarna, lecz wapień i kamienie łupkowe, a jednym obrotem swoim zmełłeś ich tyle, że cała wyżyna pokryła się dobrą, urodzajną ziemią. Nie dziwi mnie także, że nie mogłeś uleżeć w łóżku, które ci przygotowałam, gdyż włożyłam do niego wielkie, kanciaste szczyty górskie. Szczyty te zrzuciłeś, zaścielając nimi połowę krainy, i może za to jedno nie będą ci ludzie tak wdzięczni jak za wszystko inne, coś dla nich uczynił. Żegnam cię teraz i obiecuję, że oboje z mężem wyprowadzimy się stąd w inne miejsce, gdzie nas tak łatwo nie znajdziesz.

Wędrowiec słuchał tego z wzrastającym gniewem, a kiedy olbrzymka skończyła, chwycił za młot, który nosił za pasem. Lecz zanim go wyciągnął, kobieta znikła, a tam gdzie stał dom olbrzyma, nie było widać nic prócz skalistej ściany. Nie znikły tylko potężne rzeki i jeziora, którym Siłacz utorował drogą na wyżynie, oraz urodzajna ziemia, którą zmetł. Nie znikły także wspaniałe góry, które dodają Jämtlandii piękna i z których wszyscy turyści czerpią siły i zdrowie, odwagę i ochotę do życia. Dlatego też może ze wszystkich czynów dokonanych przez Azę—Thora żaden nie jest bardziej godnym pochwały od tego, którego dokonał owej nocy, rozrzucając wielkie masy skał sięgające teraz od pasma Frostvik na północy aż do góry Helagsberg na południu, od wzgórz Ovik aż do jeziora Storsei, a nawet do Sylama, tych wysokich gór na granicy państwa.

PODANIE O HÄRJEDALEN



Wtorek, 4 października

Nilsa Holgersona zaniepokoiło to, że podróżni pozostawali tak długo na wieży. Gąsior Marcin nie mógł przylecieć po swego towarzysza, dopóki tam byli ludzie, a chłopiec wiedział przecież, że gęsi chciały jak najprędzej odlecieć na południe. Podczas opowiadania zdawało mu się nawet, że słyszy gęganie gęsi i głośny szum skrzydeł — może to było odlatujące stado Akki. Lecz nie śmiał przybliżyć się do poręczy, aby się przekonać, jak jest naprawdę.

Kiedy towarzystwo nareszcie oddaliło się i chłopiec mógł się wychylić ze swojej kryjówki, dzikich gęsi nie było w dole i gąsior Marcin nie zjawił się, aby go zabrać z sobą. Nils wołał, jak mógł najgłośniej: „Jestem tu! Gdzie ty?” — lecz towarzysze podróży nie odpowiadali. Nie przypuszczał wprawdzie ani na chwilę, aby go mogli opuścić, ale lękał się, że mogło im się przytrafić jakieś nieszczęście. Rozmyślał właśnie nad tym, w jaki sposób ich odnaleźć, kiedy nagle zjawił się przed nim kruk Bataki.

Chłopiec nigdy nie przypuszczał, że mógłby kiedyś powitać kruka z taką radością, jak to uczynił teraz.

— Kochany Bataki — rzekł — jak to dobrze, żeś się zjawił. Będziesz mi może mógł powiedzieć, co się stało z gąsiorem Marcinem i dzikimi gęśmi?

— Owszem, przychodzę właśnie z ich polecenia — odrzekł kruk.

— Akka widziała myśliwego krążącego w górach i dlatego bała się czekać na ciebie, poleciała więc naprzód. Siądź na moim grzbiecie, a będziesz niebawem wśród swoich przyjaciół.

Chłopiec pośpiesznie siadł na grzbiet kruka i Bataki byłby z pewnością wkrótce dogonił dzikie gęsi, gdyby mu nie przeszkodziła mgła. Mogłoby się zdawać, że to słońce, wschodząc, wywołuje tę mgłę.

Małe, lekkie welony mgły, gęstniejące i rosnące z zadziwiającą szybkością, podniosły się nagle z morza, z pól i z lasu i już po krótkiej chwili ziemia otulona była wokoło białymi, falującymi obłokami mgły.

W górze, tam gdzie Bataki leciał, powietrze było zupełnie czyste i słońce świeciło promiennie. Lecz dzikie gęsi musiały otaczać mgłą, gdyż nie można było ich dojrzeć. Chłopiec i kruk wołali i krzyczeli na całe gardło, nikt im jednak nie odpowiadał.

— A to nam się nie wiedzie! — rzekł w końcu kruk. — Ale wiemy przecież, w jakim kierunku lecą, i skoro tylko mgła się rozrzedzi, odnajdę je na pewno.

Chłopiec bardzo się smucił, że właśnie teraz został rozłączony z gąsiorem Marcinem, gdyż w podróży biały gąsior narażony był na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Lecz po upływie kilku godzin, kiedy się już dość namartwił, powiedział sobie, iż dotychczas nie zdarzyło się przecież żadne nieszczęście, więc nie ma sensu tracić zaraz otuchy.

W tejże chwili usłyszał w dole na ziemi pianie koguta, przechylił się więc czym prędzej przez grzbiet kruka i zawołał:

— Jak się nazywa ta kraina, ponad którą przelatuję?! Jak się nazywa ta kraina, ponad którą przelatuję?!

— Nazywa się Härjedalen! Härjedalen! Härjedalen! — zapiał kogut.

— Jakże tam u was w dole wygląda? — zapytał chłopiec.

— Góry na zachodzie, lasy na wschodzie i rozległa dolina poprzez cały kraj! — odpowiedział kogut.

— Ślicznie dziękuję! Ślicznie dziękuję za łaskawą odpowiedź! — zawołał chłopiec.

Po pewnym czasie usłyszał pod sobą wśród mgły krakanie wrony.

— Jacy ludzie mieszkają w tej okolicy?! — zawołał chłopiec.

— Poczciwy, dobry lud wiejski! — odrzekła wrona z dołu. — Poczciwy, dobry lud wiejski!

— Co robią? — zapytał chłopiec. — Co robią?

— Hodują bydło i karczują lasy — zakrakała wrona w odpowiedzi.

— Ślicznie dziękuję! Ślicznie dziękuję za łaskawą odpowiedź! — zawołał chłopiec.

Wkrótce usłyszał śpiew ludzki wznoszący się poprzez mgłę.

— Czy jest tu jakieś wielkie miasto w tej okolicy? — zapytał chłopiec.

— Co?... Co?... Kto tu woła?! — krzyknął człowiek w odpowiedzi.

— Czy jest tu jakieś wielkie miasto w tej okolicy? — powtórzył chłopiec.

— Chcę wiedzieć, kto tam woła?! — krzyknął człowiek.

— Tak, wiedziałem od razu, że pytając człowieka, nie otrzymam przyzwoitej odpowiedzi! — zawołał chłopiec.

Wkrótce mgła rozeszła się równie szybko, jak się zjawiała, i chłopiec ujrzał, że Bataki leci ponad szeroką doliną rzeczną. Był to piękny szmat ziemi z równie wysokimi górami jak w Jämtlandii, tylko że u podnóża gór nie było takiej urodzajnej, gęsto zaludnionej ziemi jak tam. Wsie leżały w wielkim oddaleniu jedna od drugiej i pola były bardzo małe. Bataki leciał wzdłuż rzeki w kierunku południowym, dopóki nie dotarł do wioski. Tam opuścił się na rżysko i pozwolił chłopcu zejść.

— Na tym polu rósł jęczmień tego lata — odezwał się Bataki — poszukaj, czy nie znajdziesz czego do zjedzenia.

Chłopiec posłuchał dobrej rady i już po chwili znalazł kłos. W czasie gdy wyłuskiwał ziarna i zjadał je, Bataki rozpoczął z nim rozmowę.

— Czy widzisz te wielkie góry wznoszące się wprost przed nami na południu? — zapytał.

— Tak jest, widzę je wyraźnie — rzekł chłopiec.

— Nazywają się Sonfjället — ciągnął dalej kruk — i powiadam ci, że w dawnych czasach było tam dużo wilków.

— Te góry musiały im widocznie dostarczać bezpiecznych kryjówek — wtrącił chłopiec.

— Tak jest, toteż ludzie w dolinie nieraz z wielkim trudem bronili się przed wilkami! — rzekł Bataki.

— Czy nie znasz jakiej ciekawej historii o wilkach, którą mógłbyś mi opowiedzieć? — zapytał chłopiec.

I Bataki opowiedział:

— W dawnych, dawnych czasach wilki z Sonfjället miały napaść raz na wieśniaka rozwżącego wyroby bednarskie. Pochodził z Hede, wsi położonej w Ädalu, o kilka mil w górę od nas. Było to zimą i wilki biegły za saniami, właśnie kiedy człowiek przejeżdżał przez lód na jeziorze Ljusnan. Było ich osiem czy dziesięć sztuk, a wieśniak nie miał dobrego konia, tak że niewielka była nadzieja, aby mógł ujsć przed nimi. Usłyszawszy wycie wilków i ujrawszy tę wielką zgraję za sobą biedak stracił przytomność umysłu i nie pomyślał o tym, żeby zrzucić czym prędzej z sań wiadra, beczki i balie i pozbyć się tego ciężaru. Poganiał tylko konia, toteż ten biegł jak nigdy dotąd. Jednak mimo to wilki przybliżyły się coraz bardziej i wieśniak zdawał sobie z tego sprawę. Okolica była bardzo bezludna, a najbliższa zagroda oddalona co najmniej o dwie mile, wieśniak więc sądził, że wybiła ostatnia jego godzina, i czuł, że mu z przerażenia wszystkie członki drętwieją.

Kiedy tak siedział osłupiały, zauważył, że między drzewkami iglastymi, wetkniętymi w lód po to, aby wskazywały drogę, porusza się coś. A kiedy się przekonał, co to było, przerażenie, które go już poprzednio ogarnęło, wzrosło jeszcze bardziej.

Nie byty to wilki, które się teraz ku niemu jeszcze bardziej zbliżyły, lecz stara kobieta. Nazywała się Malena i była żebraczką. Kulała nieco i miała niewielki garb. Łatwo ją też było poznać z daleka.

Kobieta szła prosto w stronę wilków — widocznie sanie zakrywa ły przed nią zwierzęta. Chłop pomyślał sobie od razu, że jeżeli prze — jedzie obok nie ostrzegając jej, wtedy żebraczka stanie się niezawodnie pastwą dzikich bestii, a w czasie kiedy wilki zajęte będą pożeraniem staruszki, on będzie mógł uciec. Oparta na kiju Malena kulała wolniutko. Tak, jeśli jej nie przyjdzie z pomocą, będzie zgubiona bez ratunku. Ale jeśli nawet zatrzyma konia i weźmie ją na sanie, wcale jeszcze nie wiadomo, czy w ten sposób staruszkę uratuje, gdyż wtedy na pewno wilki go dopędzą i wszyscy razem — on i starowina, i koń — zostaną rozszarpani i pożarci. Chłop więc zastanawiał się, czy nie byłoby najślusniej poświęcić jedno życie, a dwa inne uratować.

Ale na tym nie koniec, ponieważ natychmiast nasunęły mu się myśli, co będzie dalej, czy będzie miał wyrzuty sumienia, że nie uratował kobiety, i czy się ludzie dowiedzą, że ją spotkał i opuścił w nieszczęściu. W duszy jego rozpoczęła się walka i w końcu powiedział sobie:

„Byłoby daleko lepiej, gdybym tej starej wcale był nie spotkał!”

W tej samej chwili wilki zawyły przeraźliwie. Koń przestraszył się, poniósł gwałtownie i popędził mijając żebraczkę. Staruszka usłyszała także wycie wilków i kiedy wieśniak przejeżdżał obok niej, wyczytał z twarzy biedaczki, że wie, co ją czeka. Stała z ustami otwartymi do krzyku i z ramionami wyciągniętymi po ratunek, lecz nie krzyczała i nie próbowała rzucić się ku saniom. Osłupiała jak na widok jakiejś zjawy.

„Musiałem chyba wyglądać jak zły duch, kiedy tak przejeżdżałem koło niej” — pomyślał wieśniak i usiłował uspokoić się teraz, kiedy już uważał się za ocalonego. Ale w tej samej chwili poczuł ból w sercu. Nie uczynił jeszcze nigdy nic złego i oto w tej chwili miał skazać całe swe życie.

„Niechaj się dzieje, co chce! — zawołał nagle i zatrzymał konia.

— Nie mogę jej zostawić samej na pastwę wilkom!”

Musiał użyć wielkiego wysiłku, aby zawrócić konia, w końcu udało mu się to jednak i wkrótce dogonił starą Malenę.

„Siadaj prędko na moje sanie — rozkazał jej szorstkim tonem, gdyż był wściekły na siebie, że nie pozostawił kobiety jej losowi. — Siedziałabyś lepiej w domu, zamiast się ciągle włóczyć, ty stara wiedźmo — ciągnął dalej — teraz zginiemy wszyscy przez ciebie”.

Kobieta nie odpowiedziała ani słowa, ale chłop był tak zrozpaczony, że nie szczędził jej gorzkich słów.

„Szkapa dzisiaj już ubiegła pięć mil, pojmujesz więc, że się prędko zmęczy. A swoją osobą

bynajmniej nie zmniejszylaś obciążenia”.

Sanie skrzypiały po lodzie, a jemu zdawało się, że słyszy zgrzyt pazurów wilczych i czuł, że wilki go już doganiają.

„Teraz zgineliśmy — rzekł. — Widzisz, chęć uratowania cię nie wyszła ani tobie, ani mnie na dobre, Maleno”.

Dopiero teraz kobieta przemówiła kilka słów. Przedtem milczała, jak ktoś przywykły do tego, żeby go łajano.

„Nie rozumiem, dlaczego nie zrzucasz swego ładunku — odezwała się — przecież jutro rano możesz wrócić i zabrać swoje naczynia”.

Wieśniak zrozumiał, jaka mądra była ta rada, i tylko do najwyższego stopnia zdumiał się, że mu to samemu na myśl nie przyszło. Oddał kobiecie cugle, rozwiązał sznury przytrzymujące naczynia i zaczął je skwapliwie wyrzucać. Wilki gnały tuż za saniami, zatrzymały się jednak, aby zobaczyć, co spadło na lód, i ta krótka zwłoka pozwoliła podróżnym oddalić się nieco.

„Jeśli to nie pomoże, ofiaruję się oczywiście wilkom, abyś ty się mógł uratować” — rzekła staruszka.

Wieśniak zabierał się właśnie do wyrzucenia z sani wielkiej, ciężkiej beczki do piwa. Ale nagle zawahał się, jak gdyby się nie mógł zdecydować na pozbycie się jej? W istocie jednak myśli jego zajęte były czym innym.

„To byłoby straszne, gdyby z powodu starej kobiety koń i mężczyzna w pełni sił zmuszeni byli oddać się wilkom na pożarcie — pomyślał. — Musi się jednak znaleźć jakieś wyjście. Tak, ono istnieje z pewnością, ale bieda, że ja go znaleźć nie mogę”.

W końcu znów zaczął spychać beczkę, ale nagle wstrzymał się i roześmiał głośno.

Kobieta spojrzała na niego z przerażeniem, sądząc, że chłop oszalał, lecz ten śmiał się sam z siebie, że był dotychczas taki głupi.

Teraz wiedział, co ma zrobić — była to najprostsza rzecz w świecie i nie mógł wcale zrozumieć, że nie wpadł na ten pomysł wcześniej.

„Uważaj tylko dobrze, co ci powiem, Maleno — zaczął. — To, coś powiedziała poprzednio, że się sama rzucisz na pastwę wilkom, było piękne z twojej strony. Ale to niepotrzebne, gdyż wiem teraz, jak uratować nas troje. Musisz tylko postąpić według moich wskazówek. Weźmiesz cugle i cokolwiek zrobisz, będziesz siedzieć spokojnie, a potem pojedziesz drogą prosto do Linfäll. Tam zbudzisz ludzi i powiesz im, że zostałem tutaj na lodzie sam z dziesięcioma wilkami, i poprosisz ich, aby przybiegli na ratunek”.

Teraz wieśniak poczekał, aż się wilki przybliżą. Potem spuścił wielką beczkę na lód, skoczył z sań i wlaź pod beczkę.

Była to wielka, ciężka beczka mająca pomieścić cały zapas piwa na święta Bożego Narodzenia. Wilki rzucały się na nią, gryzły obręcze i usiłowały przewrócić. Była jednak za ciężka i za mocna, aby mogły jej poradzić — ten, kto siedział pod nią, był bezpieczny.

Tak, wieśniak wiedział, że mu nic już nie grozi, że wilki nie mogą mu nic zrobić, i cieszył się siedząc w beczce.

Ale nagle spowaźniał bardzo.

„Jeżeli znajdę się kiedy w jakiej biedzie — rzekł — przypomnę sobie tę beczkę od piwa i przypomnę sobie także, że nie trzeba krzywdzić ani siebie, ani nikogo innego. Znajdzie się zawsze jakieś inne wyjście, chodzi tylko o to, aby je znaleźć”.

Na tym Bataki skończył swe opowiadanie. Lecz Nils Holgerson zauważył już poprzednio, że Bataki nie opowiadał nigdy żadnej historii bez jakiegoś określonego celu, toteż im dłużej chłopiec słuchał, tym bardziej zamyślał się.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego mi właściwie opowiedziałeś tę historię? — zapytał w końcu.

— Ach, przyszła mi ona właśnie na myśl, kiedym spoglądał na Sonfjället — odrzekł kruk.

Lecieli teraz dalej wzdłuż Ljusnanu i mniej więcej po godzinie przybyli do wsi Kolsätt, leżącej na samej granicy Hälsinglandu. Tutaj kruk siadł w pobliżu małej niskiej chaty. Nie miała ona okien, tylko jeden otwór, z komina wydobywał się dym po społu z iskrami, a z wnętrza rozlegały się głośne uderzenia młota.

— Ile razy widzę tę kuźnię — rzekł kruk — przypominam sobie mimo woli, że w dawnych czasach byli w Härjedalen, a szczególnie w tej oto wsi doskonali kowale, nie mający równych sobie w całym kraju.

— Może zechcesz opowiedzieć mi coś o nich? — zapytał chłopiec.

— O, chętnie! Słyszałem kiedyś, że pewien kowal z Härjedalen wyzwał raz do współzawodnictwa dwóch innych kolegów, jednego z Dalarna, a drugiego z Varmlandu. Wyzwanie zostało przyjęte trzej kowale zeszli się w Kolsätt. Ten, który pochodzi! z Dalarna, zabrał się pierwszy do roboty. Wykuł tuzin gwoździ, a wszystkie były zupełnie jednakowe i tak ostre i gładkie, że trudno wyobrazić sobie lepsze. Po nim przyszła kolej na Värmlandczyka. Wykuł on także tuzin gwoździ zasługujących na najwyższą pochwałę, a przy tym zużył na swoją robotę o połowę mniej czasu od poprzedniego współzawodnika. Ujrzawszy to, ludzie wybrani na sędziów rzekli do kowala z Härjedalen, żeby się nie wysilał na dalsze próby, gdyż z pewnością nie wykuje gwoździ lepiej od Dalarnieńczyka i prędzej od Värmlandczyka.

„Nie, ja nie ustąpię — rzekł kowal z Härjedalen. — Znajdzie się jeszcze coś, czym się potrafię wyróżnić”.

Położył żelazo na kowadle, nie rozgrzewszy go poprzednio w ogniu, i zaczął je kuć młotem, aż się rozpałiło — a wtedy wykuwał jeden gwoździec za drugim, nie używając ani węgla, ani miecha. Nigdy jeszcze nie widziano kowala wywijającego młotem równie po mistrzowsku i kowal z Härjedalen obwołany został najdzielniejszym kowalem w całym kraju.

Bataki zamilkł, a chłopiec zamyślił się jeszcze bardziej.

— Po coś mi to właściwie opowiedział, Bataki? — zapytał.

— Ach, przypomniła mi się ta historia, kiedym zobaczył starą kuźnię — odrzekł Bataki zupełnie obojętnie.

Obaj wędrowcy unieśli się znowu w powietrze, a kruk leciał teraz w kierunku południowym do parafii Lillhardal na granicy Dalarna. Tutaj siadł na szczycie grzbietu górskiego porośniętego lasem.

— Czy domyślasz się, co to za wzgórze, na którym teraz stoisz, Paluszk? — zapytał Bataki.

Nie, chłopiec musiał przyznać, że nie słyszał nic o tym wzgórzu.

— Jest to kurhan — rzekł Bataki. — Pod nim spoczywa człowiek imieniem Hjärluff, on to był pierwszym, który osiadł tutaj w Härjedalen i zaczął uprawiać rolę.

— Może zechcesz mi o nim opowiedzieć jakąś historię? — zapytał chłopiec.

— Niewiele o nim słyszałem, ale moim zdaniem musiał być Norwegiem. Był najpierw w służbie u norweskiego króla, ale wynikła między nimi sprzeczka i musiał uciekać z kraju. Udał się więc do króla szwedzkiego, mieszkającego w Upsali, i został przyjęty do niego na służbę. Ale po pewnym czasie zapragnął pojąć siostrę króla za żonę, a kiedy mu król nie chciał zezwolić na to, uciekł z nią. Teraz więc nie mógł już mieszkać ani w Norwegii, ani w Szwecji, a za granicę wywędrować nie chciał.

„Musi się znaleźć jakieś inne wyjście” — pomyślał sobie i wyruszył ze swą służbą i ze swymi skarbami poprzez Dalarna na północ, aż dotarł do wielkich, dziewiczych lasów ciągnących się na północ od Dalarna. Tutaj osiadł, zbudował sobie dom i wykarczował las, był więc pierwszym, który osiedlił się na tym pustkowiu.

Nils Holgerson wysłuchawszy tej historii zamyślił się jeszcze bardziej.

— Gdybym tak wiedział, po coś ty mi opowiedział to wszystko — odezwał się jeszcze raz.

Bataki długo nie dawał żadnej odpowiedzi, kręcił tylko głową mrużył oczy.

— Ponieważ jesteśmy tutaj sami, chcę skorzystać ze sposobności zapytać cię o coś, co mnie bardzo interesuje. Czy objaśniono cię kiedykolwiek dokładnie, pod jakimi warunkami krasnoludek, który cię zaczarował, skłonny byłby przywrócić ci twoją dawną postać? — zapytał w końcu.

— Nie słyszałem nigdy o żadnym innym warunku, prócz tego, że mam przeprowadzić gąsiora Marcina nie tkniętego do Laponii z powrotem do Skanii.

— Tak sobie też od razu pomyślałem — zawołał Bataki — gdyż kiedyśmy się ostatni raz widzieli, byłeś bardzo wielkoduszny i mówiłeś, że nie ma nic brzydszego nad porzucenie przyjaciela, który nam ufa! Dlatego też powinieneś się zapytać Akki o ów warunek. Wiesz, że ona była u ciebie w domu i rozmawiała z krasnoludkiem?

— Nic mi Akka o tym nie mówiła — odparł chłopiec.

— Uważała widocznie, że najlepiej zostawić cię w nieświadomości co do tego, jak brzmiały słowa krasnoludka, gdyż przekłada naturalnie twoje dobro nad dobro gąsiora Marcina.

— Dziwne to jednak, Bataki, że ile razy jestem w twoim towarzystwie, zawsze niepokoisz mnie i zasmucasz — rzekł chłopiec.

— Tak, może być, że to się tak wydaje — odparł kruk — ale sądzę, że tym razem będziesz mi jednak wdzięczny, gdyż chcę ci powtórzyć słowa krasnoludka. Brzmiały one tak: „Staniesz się zno wu człowiekiem, jeśli sprowadzisz do domu gąsiora Marcina po to, aby go twoja matka mogła zarżnąć”.

Nils Holgerson zerwał się i zawołał z uniesieniem:

— To z pewnością tylko złośliwy pomysł z twojej strony!

— Możesz się Akki sam zapytać — rzeki Bataki. — Oto nadlatuje właśnie z całym swym stadem. Nie zapomnij tylko o tym, com ci dziś opowiadał: zawsze istnieje wyjście z wszelkich trudności, trzeba je tylko znaleźć. I cieszę się już z góry na myśl o tym, że ci się to wyjście uda znaleźć.

VÄRMLAND I DALSLAND



Środa, 5 października

Następnego dnia, kiedy dzikie gęsi wypoczywały i Akka pasła się nieco na uboczu od nich, chłopiec skorzystał ze sposobności i zapytał jej, czy to prawda, co Bataki mówił. Akka nie mogła temu zaprzeczyć. Wówczas chłopiec zażądał, żeby mu przyrzekła uroczyście, że nie zdradzi nigdy tej tajemnicy przed gąsiorem Marcinem, gdyż biały gąsior miał szlachetny, odważny charakter, i chłopiec lękał się, że wiadomość o warunku postawionym przez krasnoludka, może spowodować nieszczęście.

Teraz chłopiec siedział smutny i milczący na grzbiecie gąsiora. Spuścił głowę i nie miał zupełnie ochoty oglądać się za siebie. Słyszał, jak stare gęsi wołały do młodych gąsek, że oto przelatują nad Dalarna, że wysoko na północy zobaczyć można Städjan, że teraz przelatują nad wschodnim Dalälvem, teraz dotarły do jeziora Horrmundsee, a teraz mają już poza sobą dolinę zachodniego Dalälvu — lecz chłopiec nie chciał z tego wszystkiego nic widzieć.

„Będę musiał chyba przez całe życie wędrować z dzikimi gęśmi, więc dosyć jeszcze napatrzę się na wszystko” — myślał sobie.

Nie zwracał też wcale uwagi na okrzyki dzikich gęsi, że oto dotarły do Värmlandu, że rzeka płynąca w kierunku południowym — to Klarälf! — „Widziałem już tyle rzek — myślał sobie — nie mam więc po co zadawać sobie trudu, aby jeszcze jedną obejrzeć”.

A gdyby chłopiec nawet i miał ochotę obejrzeć się za siebie, byłoby to niewarte zachodu, gdyż w północnym Värmlandzie nie ma nic prócz wielkich jednostajnych lasów, poprzez które Klarälf wije się wąską, pieniącą się wstęgą. Tu i ówdzie widać mielerzysko węglarzy, pogorzelsko, na którym dawniej mieściło się mielerzysko, albo kilka niskich chat bez komina zamieszkanymi przez Finów. Lecz przeważają dziewicze lasy tak ogromne jak te, co rosną wysoko w Laponii.

Dzikie gęsi siadły na jednym z takich pogorzelsk na brzegu Klarälf u i w czasie kiedy pasły się w pobliżu na kielkującej ozimie, chłopiec usłyszał wesoły śmiech i głośnie rozmowę, dobiegające z lasu. Drogą szło siedmiu wysokich, silnych ludzi z tobołkami na plecach i toporami na ramieniu. Tego dnia chłopiec tęsknił niewymownie za ludźmi, uradował się więc bardzo, kiedy siedmiu robotników zdjęło swe tobołki i zasiadło dla odpoczynku na brzegu rzeki.

Rozmawiali bardzo żywo, a chłopiec leżał za kopcem ziemi, uszczęśliwiony, że słyszy głosy ludzkie. Dowiedział się niebawem, że robotnicy ci byli Värmlandczykami i że szli do Norlandu, gdzie chcieli szukać pracy. Byli to weseli ludzie, którzy mieli dużo do opowiadania, gdyż pracowali w rozmaitych okolicach. W ciągu tej ożywionej rozmowy jeden z nich odezwał się przypadkowo, że zwiedził ostatnio wszystkie dzielnice Szwecji, ale żadna nie podobąca mu się tak bardzo jak Nordmark w zachodnim Värmlandzie, skąd pochodzi.

— Zgodzę się z tobą zupełnie, tylko jeśli powiesz zamiast Nordmark — Friksdal, gdzie znajduje się moje miejsce rodzinne — przerwał mu inny robotnik.

— A ja pochodzę z okręgu Jössee — rzekł trzeci — i zapewniam was, że tam jest daleko ładniej niż w Nordmarku i Friksdalu.

Okazało się, że wszyscy, jak było ich siedmiu, pochodzili z rozmaitych części Värmlandu i że każdy z nich uważał swoją okolicę rodzinną za piękniejszą i ważniejszą od innych. Sprzecjali się trochę, ale żaden nie mógł przekonać drugiego o słuszności swoich słów. Zanościło się niemal na to, że się w końcu naprawdę posprzeczą. Wtem nadszedł drogą starzec o długich włosach i małych, przymrużonych oczkach.

— Co to się dzieje, ludzie? O co się sprzeczacie? — zapytał. — Krzyczycie przecież tak, że się po całym lesie rozlega.

Jeden z Värmlandczyków zwrócił się zaraz do przybyłego i rzekł:

— Ponieważ wędrujesz tak wysoko tutaj po lasach, jesteś pewnie Finem?

— Tak, jestem Finem — odrzekł starzec.

— Ach, to bardzo dobrze — ucieszył się robotnik — gdyż mówią, iż wy, Finowie, macie więcej rozumu od innych ludzi!

— Dobrze imię więcej znaczy od złota — rzekł Fin.

— Otóż sprzecamy się właśnie o to, jaka część Värmlandu jest najwięcej warta. Czy nie mógłbyś rozstrzygnąć tego sporu, gdyż w przeciwnym razie rozejdziemy się jak wrogowie.

— Rozstrzygnę, o ile potrafię — rzekł Fin. — Lecz musicie się uzbroić w cierpliwość, gdyż chciałbym wam najpierw opowiedzieć pewną starą historię.

W dawnych czasach — zaczął Fin siadając obok robotników — cała kraina na północ od jeziora Väner przedstawiała się żałośnie. Wszędzie były tylko nagie wyżyny i strome zbocza górskie. Ludzie w żaden sposób nie mogli tutaj żyć i mieszkać. Nie można było budować dróg ani uprawiać ziemi. Natomiast kraina na południe od Väner była już w owych czasach równie urodzajna jak dziś.

Otóż w południowej części mieszkał wówczas olbrzym, który miał siedmiu synów. Wszyscy byli silnymi, śmiałymi mężczyznami, wszyscy jednak mieli trudne charaktery i często wynikała między nimi niezgoda, gdyż każdy uważał, że jest więcej wart od innych.

Ojciec miał dość tych ciągłych sprzeczek i kłótni i aby z tym skończyć, zgromadził pewnego dnia swych synów i zapytał, czy gotowi są uczynić próbę, aby on, ojciec, mógł się przekonać, który z nich jest najdzielniejszy.

O tak, synowie zgodzili się na to jak najchętniej, niczego bardziej nie pragnęli.

„Zrobimy to w ten sposób — rzekł ojciec. — Wiecie; że na północ od małego jeziora, które nazywamy Väner, leży pustkowie tak zarzucone grudami ziemi i kamieniami, że nie mamy z niego żadnego pożytku. Niech więc jutro każdy z was wyruszy tam ze swym pługiem i zaorze tyle ziemi, ile tylko przez jeden dzień zdąży. Około wieczora przyjdę zobaczyć, który z was najwięcej zrobił”.

Następnego dnia zaledwie słońce weszło, bracia już stali gotowi z zaprzężonymi pługami. Warto było spojrzeć na nich, jak wyruszali do pracy. Konie były tak wyczesane, że aż lśniły, uprzęż błyszczała, a pługi świeżo wyostrzone świeciły. Jechali prawie galopem, aż przybyli nad jezioro Väner. Tam kilku z

nich cofnęło się, ale najstarszy wjechał wprost w wodę.

„Miałbym się bać takiej małej kałuży?” — powiedział o jeziorze.

Inni, porwani odwagą brata, nie chcąc pozostać w tyle, stanęli na pługach i też pognali konie do wody. Konie były wielkie i minęło sporo czasu, zanim straciły grunt pod nogami i zaczęły płynąć. Pługi pływały po wodzie, ale bracia z trudem utrzymywali się na nich. Jedni stali dalej na pługach, inni zaś musieli brodzić. W końcu wszyscy dotarli do przeciwległego brzegu i przybywszy tam, zabrali się od razu do roboty. Orali pustkowia, które później nazwano Värmlandem i Dalslandem.

Najstarszy z braci miał orać zagon środkowy, dwaj następni stanęli z obu jego stron, inni dwaj — obok nich, a dwóch najmłodszych orało swoje zagony na zachodnim i na wschodnim krańcu pustkowia. Bruzda, którą najstarszy brat orał swym pługiem, była z początku szeroka i prosta, gdyż w dole nad jeziorem Väner grunt był równy i dlatego łatwy do przeorania. Robota więc szła mu prędko, aż natrafił na wielki kamień, którego nie mógł ominąć, tak że musiał przesadzić go pługiem. Potem wepchnął pług z całej siły w ziemię dalej orał szeroką, głęboką bruzdę. Wkrótce jednak natrafił na tak twardy grunt, że był zmuszony podnieść pług. To samo powtórzyło się jeszcze raz, gniewał się więc młody olbrzym, że nie może bruzdy swej wyorać równie szeroko i głęboko przez całą długość. W końcu grunt stał się zupełnie twardy, tak że mógł go swym pługiem zaledwie drasnąć. W ten sposób dotarł wreszcie do północnego krańca pola. Tam siadł i czekał na ojca.

Drugi brat wyorał także szeroką, głęboką bruzdę, a miał szczęście, gdyż natrafił na łatwą, płaską przestrzeń między grudami ziemi, tak że mógł swoją bruzdę przedłużać bez przerwy. Tu i ówdzie musiał skrócić nieco przed jakąś przepaścią, a im dalej na północ się zapuszczał, tym więcej czynił takich skrętów i tym węższą stawała się jego bruzda. Robota postępowała jednak tak dobrze, że nie zatrzymał się na granicy, lecz orał jeszcze spory kawał dalej, niż miał wyznaczone.

I trzeciemu bratu, który orał po lewej stronie, szło z początku bardzo dobrze. Jego pług żłobił bruzdę głębszą i szerszą od bruzd braci, ale wkrótce natrafił na zły grunt i musiał skrócić na zachód. Orał tak długo, jak tylko mógł. Nim jednak dotarł do granicy, musiał przestać. Nie chcąc porzucać pracy zawrócił konia i orał dalej w innym kierunku. Lecz wkrótce został tak ze wszystkich stron otoczony przeszkodami, że musiał zaprzestać orania,

„Ta bruzda będzie chyba najgorsza ze wszystkich” — pomyślał siadł na pługu, czekając na ojca.

Nie ma chyba potrzeby opowiadać, jak się powiodło innym braciom. Wykonali oni swe zadanie jak prawdziwi mężczyźni. Ci, którzy orali pośrodku, mieli pracę ciężką, lecz ci, którzy szli na wschód na zachód — mieli jeszcze cięższą. Było bowiem tam wszędzie tyle kamieni i mokradeł, że bruzdy, mimo wszelkich starań, nie mogły wypaść ani jednakowo równo, ani jednakowo głęboko. O dwóch najmłodszych da się tylko tyle powiedzieć, że musieli swoje pługi ciągle obracać i wykręcać, w końcu wykonali jednak sporą część roboty. Wieczorem każdy z braci siedział zmęczony i przygnębiony na krańcu swej bruzdy i czekał na ojca.

Ojciec nadszedł. Zbliżył się najpierw do syna, który orał najdalej w kierunku zachodnim.

„Dobry wieczór! — rzekł. — Jakże ci poszła robota?”

„Nieszczęólnie — rzekł syn. — Ugór, któryście mi wyznaczili do uprawy, był wyjątkowo twardy”.

„Siedzisz przecież odwrócony plecami do swego pola pracy — przemówił ojciec. — Obróć się tylko, a zobaczysz, czegoś dokonał. Wcale to nie tak mało, jak myślisz”.

Syn odwrócił się i zobaczył, że tam gdzie przeszedł jego pług, powstały prześliczne doliny z jeziorami i górami pokrytymi lasem. Przeorał on spory kawał drogi od Värmlandu przez Dalsland i Nordmark i wyżłobił jeziora Laxsee i Lelängen, i Gross—Le, i obydwie jeziora Silarnja. Tak, ojciec miał z czego być zadowolony.

„Teraz zobaczymy, co zrobili inni” — rzekł ojciec.

Następny syn, do którego się zbliżył, piąty z rządu — przeorał cały okręg Jössee i Glafsfjord, trzeci zaś — Värmeln. Najstarszy uporał się z Fryksdalem i jeziorem Frykensee. Drugi z rządu wyorał dolinę Älfdal, rzekę Klarälf. Czwarty z wielkim trudem wyorał okręg górniczy, jeziora, Yngen i Daglö oraz mnóstwo małych jezior. Szósty wyrył osobliwą bruzdę. Najprzód wyłobił miejsce na wielkie jezioro Skagem, potem posunął się dalej wąskim korytem, które wypełnił potok Letalf, i w końcu przedostał się przez granicę i wykopał w okręgach górniczych Västmanlandu małe jeziorka.

Kiedy ojciec objął wzrokiem całą zaoraną ziemię, orzekł, że o ile może sądzić, synowie wykonali swą pracę uczciwie i że zasłużyli na pochwałę. Teraz kraj przestał być pustkowiem, może być uprawiony i zabudowany. Stworzyli dużo zarybionych jezior i urodzajnych dolin. Rzeki i strumienie mają silny spadek, mogą obracać młyny, tartaki i kuźnie. Na grzbietach górskich między wyrytymi bruzdami wyrosną lasy, gdzie można będzie prowadzić gospodarkę leśną i wypalać węgle. Jest nawet możliwość stworzenia dobrych dróg, które by wiodły do wielkich pokładów rudy w okręgu górniczym.

Synowie cieszyli się z pochwał ojca, lecz chcieli wiedzieć, który z nich wyorał najlepszą bruzdę. „W takim kraju jak oto ten — rzekł ojciec — ważniejsze jest to, aby wszystkie bruzdy pasowały do siebie, niż to, która z nich jest piękniejsza od drugiej. I zdaje mi się, że kto ujrzy wielkie, długie jeziora w Nordmarku i w Dalslandzie, ten chętnie przyzna, że rzadko kiedy widział coś piękniejszego. Mimo to będzie się cieszył widokiem jasnych, urodzajnych okolic koło Glafsfjordu i Vareln. Kiedy zaś spędzi pewien czas w pogodnych ożywionych okolicach, zamieszka z pewnością chętnie w ciasnych, wydłużonych dolinach nad jeziorem Frykensee i rzeką Klarälf. A gdy się już nimi nasyci, pociągnie go widok różnorodnie uformowanych jezior w okręgu górniczym, które rozlewają się wśród gór, a jest ich tyle, że nikt nie może zapamiętać ich nazw. Napatrzywszy się tym jeziorom z ich licznymi zatokami i przesmykami, z radością powita widok wielkich wód Skagernu. A teraz powiem wam jeszcze coś: zupełnie tak samo jak z bruzdami ma się rzecz i z synami. Żaden ojciec nie cieszy się, gdy jeden syn jest dzielniejszy od drugiego. Dopiero jeśli patrzeć może na każdego z zupełnie tym samym zadowoleniem, wtedy serce jego przepełnia święta radość”.

MAŁY DWOREK



Czwartek, 6 października

Dzikie gęsi leciały z biegiem Klarälfu aż do wielkich fabryk przy Munkeforsie, po czym zwróciły się na zachód ku Fryksdalowi. Zanim jednak dotarły do jeziora Frykensee, zaczęło się ściemniać, siadły więc na grząskiej równinie wśród lasu górskiego. Mokradła stanowiły bardzo odpowiedni nocleg dla dzikich gęsi, lecz Nilsowi Holgersonowi było na nich zimno i nieprzyjemnie i obrałby sobie chętnie inne miejsce do spania. W czasie kiedy przebywał jeszcze wysoko w powietrzu, widział u stóp gór kilka zagród, pobiegł więc teraz pośpiesznie w tamtą stronę, aby dostać się do jednego z tych domów. Droga była dłuższa, niż mu się zdawało, i kilkakrotnie miał ochotę zawrócić. W końcu jednak las się przerzedził i chłopiec wyszedł na szosę ciągnącą się wzdłuż skraju lasu. Z szosy prowadziła piękna aleja brzozowa do dworu i chłopiec tam skierował swe kroki.

Doszedł najprzód do placu otoczonego czerwonymi zabudowaniami, który był tak duży jak plac targowy. Przeszedłszy przez ten dziedziniec, chłopiec znalazł się na drugim podobnym i tam ujrzał dwór mieszkalny z bocznymi skrzydłami, z drogą wysypaną żwirem, dużym trawnikiem przed dworcem i wielkim, gęsto zadrzewionym ogrodem.

Sam główny budynek był niewielki i niepozorny, lecz trawnik okolony był rzędem wspaniałych jarzębin, które stały tak bliska jedna przy drugiej, że tworzyły całą aleję. Chłopcu zdawało się, że dostał się do wspaniałej, wysoko sklepionej sali. W górze przeświecało bladobłękitne niebo, jarzębiny miały żółte liście i wielkie pęki czerwonych jagód. Murawa była wprawdzie jeszcze zielona, ale owego wieczoru księżyc słał z nieba tak jasny blask, że lśniła jak srebro.

Nie było ni śladu człowieka, chłopiec mógł chodzić swobodnie, gdzie tylko chciał, a zaszedłszy do ogrodu ujrzał coś, co go od razu wprawiło w dobry humor. Wdrapał się na niską jarzębinę, aby się pożywić jagodami, ale zanim odłamał jedno z czerwonych gron, wzrok jego padł na drzewo śliwy pokryte owocem. Szybko zszedł z jarzębiny i wdrapał się na śliwę. Ale zaledwie się na niej usadowił, kiedy ujrzał krzak porzeczek, z którego zwieszały się spóźnione czerwone gronka. Ach, a teraz spostrzegł, że cały ogród pełen był owoców! W ogrodzie warzywnym rosły marchew i kapusta, ze wszystkich krzewów zwieszały się jagody, wszystkie rośliny miały dojrzałe nasiona/a trawy — małe, pełne kłosa.

Na ścieżce zaś — nie, nie mylił się chyba — leżało naprawdę, oświecone blaskiem księżyca, wspaniałe, wielkie jabłko!

Chłopiec usadowił się na ścieżce obok tego jabłka i zaczął wykrawać z niego swym scyzorykiem małe kawałeczki. Ach, jakże mu smakowało!

„Gdyby to zawsze tak łatwo było o taką ucztę jak w tej zagrodzie, to można by ostatecznie przez całe życie pozostać krasnoludkiem” — myślał sobie chłopiec.

W czasie kiedy jadł, przychodziły mu do głowy różne myśli i w końcu zadał sobie pytanie, czy nie byłoby słuszniej, gdyby tutaj pozostał i pozwolił dzikim gęsiom samym lecieć dalej.

„Nie wiem przecież wcale, jak wytłumaczyć gąsiorowi, że nie mogę wrócić do domu — myślał. — Byłoby więc lepiej, gdybym się zupełnie z nim rozstał. Mógłbym się potem tak urządzić, jak to czynią wiewiórki: zebrać sobie zapasy zimowe, abym nie musiał umierać z głodu, a w oborze i stajni znalazłby się na pewno dla mnie jakiś ciepły kącik, w którym schroniłbym się przed zimmem”.

Kiedy tak rozmyślał, usłyszał cichy szelest nad głową i niebawem stanęło przed nim coś, co przypominało mały pieńek brzozy. Pieńek obracał się i kręcił, dwa jasne punkty na jego wierzchołku płonęły jak dwa węgle. Wyglądało to jak coś zaczarowanego, ale po kilku chwilach chłopiec odkrył, że pieńek miał zakrzywiony dziób, a wokoło płonących oczu — wielki wieniec piór... i uspokoił się zupełnie.

— Ach, jak mi przyjemnie, że spotykam tutaj żyjącą istotę — zaczął. — Może zechcecie, pani sowa nocna, objaśnić mnie, jak się nazywają te dobra i co za ludzie tu mieszkają?

Sowa nocna siedziała, jak co wieczór, na stopniu wielkiej drabiny opartej o dach i wypatrywała stamtąd myszy na zwirowanej ścieżce i na murawie. Ku wielkiemu swemu zdumieniu jednak nie mogła odkryć ani jednej myszki z długim ogonkiem. Natomiast zauważyła wkrótce, że na dole w ogrodzie porusza się coś — podobne do człowieka, ale o wiele mniejsze.

„Mamy więc tego, który wystrasza myszy — pomyślała sowa. — Ale co to może być za istota?

Nie jest to wiewiórka, ani młody kotek, a tym bardziej łasica — myślała sowa dalej. — A zdawałoby się, że ptak, który tak długo jak ja mieszka w starym dworze, powinien wiedzieć, co za stworzenia bywają na świecie — tymczasem to, co widzę tutaj, jest mi zupełnie nie znane”.

Nie odrywała wzroku od istotki poruszającej się na zwirowanej ścieżce, a oczy jej płonęły. W końcu jednak ciekawość wzięła górę. Sfrunęła na ziemię, aby się przyjrzeć z bliska obcemu stworzeniu.

Kiedy więc Nils Holgerson zaczął mówić, sowa nachyliła się i przyjrzała mu się dokładnie.

„Nie widzę ani pazurów, ani żądła — pomyślała. — Ale kto wie, czy nie ma jakiegoś zatrutego zęba albo innej broni jeszcze groźniejszej. Będzie z pewnością najlepiej, jeśli postaram się najpierw o bliższe o nim wiadomości, zanim mu zaufam”.

— Dobra nazywają się Märbaka — odrzekła wreszcie. — A dawniej mieszkali tu bardzo zacni ludzie. Ale kimże ty jesteś?

— Mam zamiar osiąść tutaj — rzekł chłopiec nie dając wprost odpowiedzi na pytanie sowy. — Czy myślisz, że się to uda?

— O tak, jakkolwiek dwór nie przedstawia teraz nic szczególnego w porównaniu z tym, czym był dawniej! — odrzekła sowa. — Można jednak w każdym razie mieszkać tutaj; najważniejsze przecież jest to, czym się tu chcesz żywić. Czy masz zamiar wziąć się do łapania myszy?

— Nie, niechże mnie Bóg od tego broni! — zawołał chłopiec, — Należałoby się raczej obawiać tego, aby mnie myszy nie zjadły, niż żebym ja im krzywdę zrobił.

„Czyż miałby istotnie być tak mało groźny, jak mówi? To chyba niemożliwe — myślała sowa. — Ale sądzę, że powinnam jednak uczynić próbę”.

Podfrunęła i już po chwili wbiła swe pazury w plecy Nilsa, szukając dziobem jego oczu. Nils

podniósł jedną rękę, aby ochronić oczy, a drugą starał się wyzwolić, krzycząc zarazem ze wszystkich sił o pomoc. Czuł, że grozi mu prawdziwe niebezpieczeństwo, i był przekonany, że tym razem na pewno zginie.

Lecz teraz muszę wam opowiedzieć, jak to się cudownie zdarzyło, że właśnie w tym roku, kiedy Nils Holgerson wędrował z dzikimi gęśmi, była w Szwecji pisarka, która chciała napisać taką książkę o Szwecji, aby mogła służyć dzieciom za książkę do czytania w szkole. Od Bożego Narodzenia do Wielkanocy pisarka myślała nad tym zadaniem, lecz dotychczas nie napisała jeszcze ani jednego wiersza tej książki, i w końcu tak się zniechęciła do swej pracy, że powiedziała sobie: „W ten sposób niczego nie osiągniesz, siądź lepiej i twórz bajki, opowiadania, jak to zwykle robisz, a komu innemu pozwól napisać tę książkę, która powinna być pouczająca i poważna i w której nie może się znaleźć nic zmyślonego”.

Była już prawie zdecydowana porzucić swój zamiar, lecz tak bardzo pragnęła napisać coś pięknego o Szwecji, że trudno jej było wyrzec się tej pracy. W końcu pomyślała, że pewno dlatego nie może sobie dać rady z tą książką, bo siedzi w mieście i nie widzi nic prócz ulic i murów. „Może, gdy pojadę na wieś, widok pól i lasów przyniesie mi natchnienie”.

Pochodziła z Värmlandu i postanowiła stanowczo rozpocząć książkę od opisu tej krainy, A przede wszystkim chciała opowiedzieć o miejscowości, w której się wychowała. Była to leżąca samotnie i odcięta od świata mała posiadłość, w której zachowało się jeszcze wiele staroświeckich obyczajów i zwyczajów. Pisarka myślała sobie, że dzieciom z pewnością będzie się podobało, kiedy się dowiedzą o tych wszystkich zajęciach wiejskich, które w ciągu roku następują po sobie. Chciała opowiedzieć, jak u niej w domu święcono Boże Narodzenie i Nowy Rok, Wielkanoc i wigilię świętego Jana, jakie były meble i sprzęty domowe, jak było w kuchni i w spiżarni, w oborze i w stajni, w sypialni i w łaźni. Ale gdy zabierała się do opisanie tego wszystkiego, pióro nie chciało wcale posuwać się po papierze. Nie mogła zrozumieć, jaka była tego przyczyna — ale tak było.

Przecież widziała to wszystko tak wyraźnie i żywo przed sobą, jak gdyby wciąż jeszcze żyła w tym otoczeniu. Mimo to nie szło jej pisanie i w końcu pomyślała, iż ponieważ ma i tak zamiar pojechać na wieś, byłoby może najlepiej, gdyby odwiedziła stary dwór i obejrzała sobie dokładnie wszystko jeszcze raz, zanim przystąpi do pisania. Nie była już tam od wielu lat i ta myśl, że teraz ma powód, aby tam pojechać, wzruszyła ją szczerze. Właściwie zawsze, gdziekolwiek się znajdowała, tkwiła w niej pewna tęsknota za starym dworem. Wiedziała wprawdzie, że inne miejscowości były piękniejsze i wygodniejsze, nigdzie jednak nie miewała tego poczucia pewności i bezpieczeństwa, jakie ją za lat dziecięcych ogarniało w tym domu.

Ta podróż do miejsc rodzinnych nie była jednak wcale tak łatwa, jakby się zdawać mogło, gdyż dobra sprzedane zostały ludziom zupełnie obcym. Przypuszczała wprawdzie, że ją przyjmą uprzejmie; nie po to jednak chciała przyjechać do starych kątów, aby gawędzić z obcymi ludźmi, lecz żeby dokładnie przywołać sobie w pamięci wszystko to, co było. Dlatego też urządziła się tak, że przybyła do Märbaka późnym wieczorem, w porze kiedy robota była skończona i czeladź znajdowała się w domu.

Nigdy nie myślała, aby powrót do miejsca rodzinnego mógł być tak dziwny. Kiedy siedziała w powozie wiozącym ją do wsi, czuła się tak, jak gdyby z każdą minutą stawała się coraz młodsza i niebawem nie była już siwiejącą staruszką, lecz małą dziewczynką w krótkiej sukience, z długim, jasnym warkoczem. Jadąc tak i poznając po drodze każdą zagrodę, nie mogła się opędzić myślom, że i w domu zostanie wszystko tak, jak bywało za dawnych czasów.

Kiedy nadjedzie, rodzice i rodzeństwo stać będą na schodach i powitają ją serdecznie. Stara gospodyni podbiegnie do okna, żeby zobaczyć, kto jedzie, a Nero i Freja i jeszcze kilka psów przybiegną w podskokach, łaszcząc się do niej. Im bliżej była domu, tym czuła się szczęśliwsza.

Działo się to jesienią i pora pracy i trudu stała za progiem. Lecz właśnie te najrozmaitsze roboty

sprawiwały, że życie na wsi nie wydawało się nigdy nudne ani jednostajne. Po drodze widziała, że ludzie kopią kartofle, więc i w domu musieli się teraz tym zajmować. Potem będą pewnie tarli kartofle na mąkę kartoflaną. Jesień była łagodna, a ona chciałaby tak bardzo wiedzieć, czy ogród już zupełnie opustoszał. Kapusta z pewnością jeszcze rośnie na grzędach, ale czy chmiel już zebrano i jabłka z drzew otrząśnięto?

Oby tylko zabrali się już do porządków, bo tak niewiele czasu pozostawało do jarmarku jesienno! Na ten dzień w całym domu musiał być przecież każdy pyłek zdmuchnięty. Dzień ten bowiem uważany był za wielką uroczystość, szczególnie przez czeladź. Toteż była to prawdziwa radość dla oczu, kiedy się w przeddzień jarmarku wchodziło do kuchni i widziało, jak wszystko błyszczy czystością: podłoga czysto wyszorowana, posypana gałązkami jałowca, świeżo pobielone ściany i wyczyszczone naczynia miedziane na półkach.

A kiedy jarmark się kończył, długo jeszcze nie było mowy o spokoju. Trzeba było międlić len. W gorące dni suszył się na łące. Teraz znoszono go do izby łaźiebnej, w wielkim piecu rozpalano porządną ogień i zabierano się do roboty. Kiedy już len był dostatecznie suchy, zwoływali jednego dnia wszystkie kobiety z sąsiedztwa. Te siadały przed łaźnią. Len łamano, a następnie suszono, aby cienkie, białe włókna wydostać z suchych łupin. Przy tej robocie kobiety stawały się zupełnie szare od kurzu. Włosy i suknie miały pokryte paździerzami, mimo to wesołość nie opuszczała ich ani na chwilę.

Przez cały dzień turkotały międlice, a kobiety gadały bezustannie. Każdemu, kto wówczas znajdował się w pobliżu łaźni, mogło się zdawać, że słyszy szum i huczenie burzy.

Po suszeniu lnu następował wypiek sucharów, strzyżenie owiec i przenosiny służących. W listopadzie przypadały pracowite dni szlachtowania bydła: wędzono mięso, przyrządzano kiełbasy, kiszki z krwi i topiono świece. Był to czas, w którym przychodziła szwaczka, aby szyć samodziałowe wełniaki. Następowały wesołe tygodnie, podczas których wszystkie kobiety siedziały w domu razem, szyjąc pilnie. W czeladnej siedział najczęściej w tym czasie szewc przy swej robocie i nigdy nie można się było dość napatrzeć, jak krajał skórę, podszywał podeszwy, nabijał obcasy i wprawiał kółka w dziurki do sznurowadeł. Najwięcej zajęcia przypadało jednak około Bożego Narodzenia. W dzień świętej Łucji o godzinie piątej rano pokojówka w białej sukni, z palącą się świecą nad głową, zapraszała cały dom na kawę — był to znak, że w ciągu następnych tygodni nie można będzie się wyspać.

Teraz następowała pora warzenia piwa, wędzenia sztokfiszów, pieczenia ciasta oraz porządków świątecznych.

Pisarka w wyobraźni znajdowała się w świecie orzechów i pierników, kiedy stangret, tak jak o to prosiła, zatrzymał konie u wjazdu do alei. Otrząsnęła się ze swych marzeń i zrobiło się jej nagle bardzo przykro — śniła na jawie, że otoczona jest wszystkimi bliskimi, a oto siedzi w powozie sama jedna późnym wieczorem. Kiedy wysiadła i szła aleją, aby wejść niepostrzeżenie do starego domu, poczuła z goryczą różnicę między dniem dzisiejszym i wczorajszym i byłaby z chęcią zawróciła. „Co mi z tego, że jestem tutaj? Dawne czasy i tak nie wrócą!” — myślała.

Skoro jednak zdobyła się już na ten przyjazd, uważała, że byłoby niesłuszne, gdyby chociaż nie popatrzyła na dom rodzinny.

Toteż szła dalej, jakkolwiek z każdym krokiem robiło się jej coraz ciężiej na sercu.

Słyszała, że dwór jest bardzo zrujnowany i zmieniony, i zapewne tak było; lecz teraz, wieczorem, nie mogła się o tym przekonać. Wydawało się jej raczej, że wszystko jest tak, jak było dawniej. Tam znajdował się staw, za jej lat młodych obfitujący w karasie, których nie wolno było nikomu łowić, gdyż ojciec chciał, aby ryby miały tutaj zupełną swobodę.

Tam były boczne skrzydła z czeladnią, spiżarnią i stajnią, z dzwonem zwołującym na posiłki na jednym szczycie, a chorągiewką wskazującą kierunek wiatru — na drugim. A dziedziniec przed domem był zawsze, jak i za czasów ojca, miejscem otoczonym ze wszystkich stron zaroślami. Ojciec nie mógł się

zdobyć na to, aby wyciąć choć jeden krzew.

Stała w cieniu wielkiego jesionu przy wejściu i rozglądała się uważnie, a kiedy tak stała, zaszło coś szczególnego: nadleciało stado gołębi i usiadło obok niej.

Trudno było uwierzyć, aby to były zwyczajne ptaki, gdyż gołębie nie zwykły nigdy latać po zachodzie słońca. Musiał je chyba zbudzić blask księżyca. Przypuszczały widocznie, że to już dzień, wyleciały z gołębnika i, zabłądziwszy, nie mogły odnaleźć drogi. Kiedy ujrzały człowieka, podleciały, aby prosić o pomoc.

Za życia jej rodziców zawsze było mnóstwo gołębi we dworze, gdyż gołębie należały także do tych zwierząt, które ojciec otaczał szczególną opieką. Skoro tylko ktoś wspomniał, żeby zarznąć gołębia, psuło mu to natychmiast humor. Toteż gdy te miłe ptaki powitały ją na progu starego domu, sprawiło jej to wielką przyjemność. Któż mógł wiedzieć, czy gołębie nie dlatego wyleciały w nocy, aby jej okazać, że nie zapomniały o tym, jak to im było tutaj dobrze niegdyś?

Albo może to ojciec przysłał do niej te ptaki z pozdrowieniem, żeby nie czuła się tak zupełnie opuszczona i samotna, kiedy powróci do swego domu rodzinnego?

A gdy takie myśli krążyły jej po głowie, serce jej zadrżało taką bolesną tęsknotą za dawnymi czasami, że oczy napełniły się łzami. Dobre to było życie, które prowadzono tutaj, w tym dworze. Bywały i ciężkie chwile, ale przeplatały się z dniami radości. Dzień spędzano na pracy, ale wieczorem gromadzono się wokoło lampy i czytano Tegniera i Runeberga, panią Leungren i Fryderykę Brener, Uprawiano zboże, ale hodowano także róże i jaśmin. Przędzono len, ale przy kołowrotekach śpiewano pieśni ludowe. Biedzono się nad gramatyką i historią powszechną, ale grywano także komedie i układano wiersze. Trzeba było stać przy kominie i gotować strawę, ale można było zajmować się muzyką, grać na fortepianie, na gitarze, na skrzypcach i na flecie. W ogrodzie sadziło się kapustę i marchew, groch i fasolę — istniał jednak inny ogród, gdzie była moc i różnorodność jabłek, gruszek oraz wszelkich jagód. Prowadzono życie bardzo proste: może dlatego tworzono sobie świat bajek i legend. Ubranie szyto z samodziiałowych materiałów, ale ludzie mogli żyć niezależni i bez troski.

„Nigdzie na całym świecie ludzie nie potrafią urządzić sobie życia tak pięknie, jak to bywało za czasów mego dzieciństwa w tym domu — myślała poetka. — Tam była pora na pracę i pora na zabawę, a radość opromieniała każdy dzień.

Jakże chciałabym tutaj powrócić! — myślała dalej. — Odkąd ujrzałam ten dwór, będzie mi po prostu trudno stąd odejść”.

A potem zwróciła się do stada gołębi i mówiła śmiejąc się jednocześnie sama z siebie:

— Lećcie do mego ojca i powiedzcie mu, że tęsknię. Tak już długo przebywam w obcych stronach. Zapytajcie go, czy potrafiłby uczynić, żebym mogła znowu wrócić do miejsca, gdzie spędziłam moje dzieciństwo.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, kiedy całe stado gołębi porwało się i odleciało. Starła się śledzić ptaki wzrokiem, lecz znikły szybko. Zdawało się, że całe białe stado rozpląnęło się w powietrzu prześwieconym księżycem.

Ledwo gołębie znikły, kiedy w ogrodzie rozległy się głośne krzyki. Pobiegła w tę stronę i oczom jej przedstawił się dziwny widok. Mały człowieczek, zaledwie na piędź wysoki, bronił się rozpaczliwie przed napaścią sowy.

Z początku pisarka była tak zdumiona, że nie mogła się ruszyć z miejsca. Kiedy jednak malec krzyczał coraz rozpaczliwiej, pobiegła mu na pomoc i rozdzieliła walczących. Sowa frunęła na drzewo, człowieczek został na dróżce, nie chowając się i nie uciekając.

— Dziękuję pani za pomoc — rzekł — nie powinna pani była dać uciec sowie. Teraz nie mogę się stąd ruszyć, bo ona siedzi na drzewie i czatuje na mnie.

— Tak, było to istotnie nieopatrzone z mojej strony, że pozwoliłam jej ujść. Lecz czy nie mogłabym cię zaprowadzić do twego domu? — zapytała ta, która tak chętnie układała bajki, zdziwiona niespodziewanym spotkaniem z krasnoludkiem. Zdumienie jej jednak nie było mimo wszystko tak wielkie: kiedy bowiem stała w blasku księżycowym przed starym dworem, miała uczucie, jak gdyby oczekiwała na zjawienie się jakiegoś cudu.

— Postanowiłem sobie właściwie przenocować tutaj we dworze — rzekł malec. — Gdyby mi pani mogła wskazać zupełnie pewne miejsce, gdziebym się mógł przespać, wróciłbym dopiero jutro rano do lasu.

— Czy mam ci wskazać nocleg? Nie mieszkasz więc tutaj?

— Ach, rozumiem, pani bierze mnie za krasnoludka! — rzekł malec. — Ale ja jestem człowiekiem takim jak pani i zostałem tylko zaczarowany w krasnoludka.

— To jest najcudowniejsze zdarzenie, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Czy nie mógłbyś mi opowiedzieć, jak to się stało?

Chłopiec nie miał nic przeciwko temu, żeby opowiedzieć swoje przygody, i im dalej opowiadał, tym bardziej słuchaczka jego dziwiła się, zdumiewała, ale i cieszyła zarazem.

„Ach, co za szczęście, że spotkałam kogoś, kto przewędrował przez całą Szwecję na grzbiecie gąsiora! — pomyślała sobie. — Wszystko, co on mi tutaj opowiada, mogę przecież napisać w mojej książce. I nie będę się już nad nią biedziła! Jak to dobrze, że wróciłam do starego dworu! Jakie to dziwne, że zjawiała mi się pomoc natychmiast, gdy tylko przestąpiłam dawne progi!”

W tej samej chwili powstała w niej myśl, w którą zaledwie odważyła się uwierzyć. Posłała ojcu swemu przez gołębice oznajmienie, że tęskni za domem i natychmiast zyskała pomoc w zadaniu, nad którym się już od tak dawna biedziła! Czyżby to miała być odpowiedź ojca na jej prośbę?

ZŁOTO NA SZKIERACH

W DRODZE DO MORZA



Piątek, 7 października

Odkąd dzikie gęsi puściły się w podróż jesienną, leciały ciągle prosto na południe. Ale kiedy opuściły Fryksdal, zmieniły kierunek i leciały teraz nad zachodnim Värmlandem i Dalslandem ku Bohuslänowi. Młode gąski nabrały już tyle wprawy w lataniu, że nie narzekały na zmęczenie, a Nils Holgerson odzyskiwał stopniowo równowagę. Wciąż jeszcze był uszczęśliwiony swoją przygodą we dworze. Oto mógł się choć raz wygadać przed człowiekiem. Przy tym obca pani dodała mu otuchy i poradziła, aby tylko dalej był, tak jak dotąd, dobrym i pomocnym dla wszystkich, których będzie spotykał, a z pewnością nie wyjdzie mu to na złe. Nie mogła mu wprawdzie powiedzieć, jak ma odzyskać swą właściwą postać, ale przywróciła mu trochę dawnej odwagi i ufności, i to było z pewnością przyczyną, że wpadł teraz na myśl, jak odwieść białego gąsiora od powrotu do domu.

— Wiesz, Marcinie — odezwał się lecąc na grzbiecie gąsiora wysoko w powietrzu — że z pewnością będzie nam bardzo nudno, jeśli całą zimę będziemy siedzieć w domu teraz, po takiej wielkiej podróży. Zastanawiam się właśnie nad tym, czy nielepiej byłoby, gdybyśmy powędrowali z dzikimi gęsiami na południe.

— Nie myślisz chyba o tym poważnie — rzekł gąsior z przerażeniem. Kiedy się już przekonał, że może z dzikimi gęsiami odbyć podróż do Laponii, był teraz najzupełniej rad, że powróci znów do kojca Holgera Nilsona.

Chłopiec milczał przez chwilę i spoglądał w dół na Värmland, gdzie wszystkie gaiki brzozone, lasy i ogrody jaśniały w przepychu jesiennych barw i gdzie wielkie jeziora świeciły ciemnym błękitem w obramowaniu brzegów.

— Zdaje mi się, że nigdy jeszcze ziemia pod nami nie była tak piękna jak dziś — rzekł. — Jeziora wyglądają jak błękitny jedwab, a brzegi — jak szerokie, złote wstęgi. Czy nie uważasz, że szkoda byłoby osiąść teraz na stałe w Vestvemmenhög i nie ujrzeć już nic więcej na świecie?

— Zdawało mi się, że chciałeś wrócić do swych rodziców, aby im pokazać, jakim dobrym chłopcem

się stałeś? — odrzekł gąsior.

Przez całe lato biały gąsior marzył o chwili, kiedy zjawi się nagle na dziedzińcu przed chatą Holgera Nilsona i pokaże gęsiom i kurom, krowom i kotce, a także matce Nilson swoją Lekkopuszkę i sześcioro młodych. I dlatego też propozycja chłopca nie uradowała go zbytnio.

Tego dnia dzikie gęsi wypoczywały kilkakrotnie, gdyż znajdowały wszędzie doskonałe rżyska. Trudno im było zdobyć się na to, żeby je omijać, i w ten sposób do Dalslandu dotarły dopiero przed zachodem słońca. Leciały nad północno—zachodnią częścią tej krainy, a tam było jeszcze piękniej niż w Värmlandzie. Ten szmat ziemi tak obfituje w jeziora, że łąd wydaje się łańcuchem małych, ostro zakończonych pagórków. Grunt nie nadaje się pod uprawę zboża — tym lepiej za to rosną tu drzewa, a strome brzegi jezior wyglądają jak prześliczne ogrody. W powietrzu albo w wodzie musiało być coś, co zatrzymywało promienie słoneczne jeszcze wówczas, kiedy słońce już dawno znikło za wzgórzami — złote bowiem światła tańczyły na ciemnych, połyskujących zwierciadłach wód, a nad ziemią drżał jasny, bladoróżowy odbłask, z którego wyłaniały się jasnożółte brzozy, jasnoczerwone buki i żółtoczerwone jarzębiny.

— Czy nie uważasz, kochany gąsiorze Marcinie, że byłoby bardzo nudno, gdybyśmy już nigdy nie zobaczyli czegoś podobnie pięknego? — zapytał chłopiec.

— Wolę patrzeć na urodzajne, płaskie pola w Skanii niż na te jałowe wzgórza leśne. Wiesz jednak, że nie rozłączę się z tobą, jeśli koniecznie chcesz dalej wędrować — rzekł gąsior.

— Takiej odpowiedzi spodziewałem się po tobie — odrzekł chłopiec. Ciężki kamień spadł mu z serca, co wyraźnie dało się odczuć w jego głosie.

Kiedy następnie lecieli nad Bohuslänem, wyżyny zbliżały się coraz bardziej ku sobie, doliny leżały między nimi niby ciasne przepaście wciśnięte między góry. Ta niezaprzeczenie piękna kraina, na przemian oświetlona blaskiem słońca lub otulona mrocznym cieniem, miała jakiś osobliwy urok. Chłopiec wyobrażał sobie, że w dawnych czasach musieli tutaj z pewnością mieszkać bohaterowie, którzy w tych tajemniczych okolicach doznawali niebezpiecznych i rycerskich przygód, i dawny pociąg do tych przygód odżył w sercu małego Nilsa Holgersona..

„Kto wie, czy gdyby co dwa dni przestało mi grozić niebezpieczeństwo, nie odczułbym jego braku — pomyślał. — Dlatego też pewnie będzie najlepiej, jeśli zadowolę się moim obecnym położeniem.

Nie powiedział jednak tego białemu gąsiorowi, gdyż dzikie gęsi leciały z najwyższą szybkością nad Bohuslänem — gąsior dyszał ciężko i nie mógłby zdobyć się na słowo odpowiedzi. Słońce stało teraz wysoko na niebie, kiedy niekiedy znikало za szczytem góry, lecz dzikie gęsi leciały tak szybko, że wielka kula ognista wciąż wynurzała się przed nimi.

Nareszcie ujrzały na zachodzie jasny pas. Za każdym uderzeniem skrzydeł stawał się on coraz szerszy. Było to morze. Roztaczało się przed nimi, mieniając się barwami — mlecznobiałą, różaną i błękitną. Kiedy dzikie gęsi leciały nad skałami nadbrzeżnymi, ujrzały znów słońce, które stało teraz na horyzoncie wielkie i ogniste, gotując się do zanurzenia w morzu.

A gdy chłopiec ujrzał nieskończenie wielkie morze i czerwone słońce o zachodzie świecące tak łagodnym blaskiem, że mógł mu spojrzeć wprost w tarczę, dusza jego napełniła się rozradowaniem i ufnością.

„Nie warto się tak smucić, Nilsie Holgersonie — mówiło słońce.

— Świat jest piękny zarówno dla małych, jak i dla wielkich i dobrze temu, kto jest wolny jak ptak i może bujać po całym świecie”.

Dzikie gęsi siadły na nocleg na małej wysepce wśród szkierów w Fjällbacka. Lecz kiedy już było blisko północy i księżyc świecił wysoko na niebie, Akka przetarła oczy ze snu i zbudziła Yksi oraz Kaksi, Kolme i Neli, Visi i Kusi. W końcu trąciła dziobem i Paluszka, tak że się obudził.

— Co to się dzieje, matko Akko? — zapytał zrywając się z przestraciem.

— Nic groźnego — odrzekła przodownica. — Nic więcej nad to, że my, siedem starszych ze stada, mamy zamiar polecieć daleko nad morze, i chcemy wiedzieć, czy miałbyś ochotę lecieć z nami.

Chłopiec odgadł od razu, że Akka nie zrobiłaby podobnej propozycji, gdyby nie szło o coś szczególnie ważnego; siadł więc natychmiast na jej grzbiet i Akka poleciała wprost w kierunku zachodnim. Zrazu droga wiodła ponad szeregiem wielkich i małych wysp położonych w pobliżu wybrzeży, potem ponad szeroką przestrzenią otwartej wody i w końcu dotarli do wielkiej grupy wysp Vaderö leżących daleko, tuż przy otwartym morzu. Tworzyły ją same niskie, skaliste wyspy i w blasku księżyca można było wyraźnie dojrzeć, że od zachodniej strony były one wygładzone przez fale. Niektóre z nich były dość duże i na tych chłopiec zauważył kilka domów. Akka wyszukała jedną z najmniejszych wysepek i osiadła na niej. Szkieję stanowiła nierówna płyta skalista z szeroką szczeliną pośrodku, którą morze napełniło drobnym, białym piaskiem i muszlami.

Kiedy chłopiec zeskoczył z grzbietu Akki, ujrzał tuż przed sobą coś, co przypominało wysoki, spiczasty kamień. Ale już po chwili zauważył, że był to wielki, drapieżny ptak, który wybrał sobie tą szkieję na nocleg. Chłopiec nie zdążył zdziwić się, że Akka mogła się tak nieopatrznie obok groźnego wroga, kiedy ptak jednym uderzeniem skrzydeł wzbił się w górę i wzleciał ku gęsiom. Nils Holgerson poznał w nim orła Gorgo.

Teraz chłopiec zrozumiał: Akka i Gorgo umówili sobie tutaj spotkanie!

— A toś się dobrze sprawił, Gorgo! — rzekła Akka. — Myślałam właściwie, że nie dolecisz do miejsca naszego spotkania przed nami. Czy czekałeś długo?

— Przybyłem wieczorem — odrzekł Gorgo. — Tak jest, stawilem się na czas — ciągnął dalej — ale obawiam się, że będzie to, niestety, jedyna rzecz, za którą mnie pochwalisz, gdyż sprawa, którą mi powierzyłaś, nie wygląda dobrze.

— Zrobiłeś z pewnością więcej, niż mówisz — rzekła Akka. — Lecz zanim opowiesz, jak ci się udała podróż, chciałabym prosić Paluszka, aby dopomógł nam odszukać coś, co jest ukryte tutaj na wyspie.

Chłopiec przyglądał się właśnie uważnie kilku dużym, pięknym muszłom, ale usłyszawszy swoje imię, podniósł głowę.

— Zdziwiłeś się z pewnością, Paluszk, dlaczegośmy nie obrały prostej drogi i przyleciały tutaj, nad Kattegat? — mówiła dalej Akka.

— W samej rzeczy, wydało mi się to trochę dziwne — odrzekł chłopiec — ale wiem przecież, że robicie wszystko z jakąś myślą.

— Masz zufanie do mnie — rzekła Akka — ale boję się, że tym razem zawiodę je, gdyż prawdopodobnie podróż nasza nie da wyniku.

Przed wielu laty — ciągnęła dalej Akka — kilka z nas, należących do starych w stadzie, zaskoczyła podczas podróży wiosennej burza, która nas zagnała na tę wyspę. Kiedyśmy ujrzały przed sobą wielkie, nie kończące się morze, ogarnął nas lęk, iż możemy zostać zapędzone tak daleko, że nigdy już nie ujrzymy lądu, dlatego też rzuciłyśmy się na fale. Burza zmusiła nas do pozostania przez kilka dni wśród nagich skał. Cierpiałyśmy wielki głód i pewnego dnia dotarłyśmy do tej szczeliny, w nadziei, że znajdziemy tutaj pożywienie. Nie znalazłyśmy jednak ani jednego źdźbła trawy, natomiast — kilka worków, które leżały mocno związane i do połowy zasypane piaskiem. Ponieważ spodziewałyśmy się, że w tych workach jest zboże, więc rwałyśmy je i ciągnęłyśmy tak długo, aż się podarły. Nie wysypało się z nich jednak ziarno, lecz same błyszczące, złote pieniądze. Tych my, dzikie gęsi, nie mogłyśmy zużytkować, zostawiłyśmy je

przeto tam, gdzie leżały. Przez wszystkie te lata nie myślałyśmy wcale o naszym odkryciu, aż zdarzyło się zeszłej jesieni coś, co wzbudziło w nas chęć posiadania złota. Jest wprawdzie mało prawdopodobne, aby ten skarb istniał jeszcze, lecz mimo to przyleciałyśmy tutaj poprosić cię, abyś nam dopomógł w poszukiwaniach.

Chłopiec wskoczył do szczeliny skalnej, wziął w obie ręce po muszli i zaczął nimi pilnie odrzucać piasek. Na worki nie natrafił, ale kiedy wykopał już dość głęboki otwór, usłyszał brzęk jakby metalu i spostrzegł, że trącił o monetę. Pomacał wokoło rękami i wyczuł, że w piasku leży dużo okrągłych monet, pobiegł więc z pośpiechem do Akki.

— Worki zgniły i rozpadły się zapewne — rzekł — ale złoto leży rozsypane w piasku i zdaje mi się, że chyba wszystko się odnajdzie.

— To dobrze — rzekła Akka, — Zasyp otwór i przywróć powierzchni taki wygląd, aby nikt nie mógł poznać, że tutaj czegoś szukano.

Chłopiec uczynił, jak mu Akka kazała. Lecz kiedy wkrótce potem wyszedł ze szczeliny, stanął zdumiony na widok Akki kroczącej na czele sześciu pozostałych gęsi — cały pochód zbliżał się ku niemu nadzwyczaj uroczyście. Stanąwszy przed chłopcem, gęsi zatrzymały się i skinęły kilkakrotnie głowami. Wyglądały tak dostojnie, że chłopiec zdjął mimo woli czapkę i skłonił się przed nimi,

— Mamy ci coś do powiedzenia — zaczęła Akka. — My, stare gęsi w stadzie, powiedziałyśmy sobie, że gdybyś ty, Paluszk, był w służbie u ludzi i uczynił im tyle wielkich przysług, ile ich nam wyświadczyłeś, nie rozstaliby się z pewnością z tobą bez hojnego wynagrodzenia,

— Ach, Akko, to nie ja wam pomagałem — przerwał chłopiec — to przecież wy otoczyłyście mnie opieką!

— Uważamy — ciągnęła Akka dalej — że jeśli człowiek towarzyszył nam w ciągu całej podróży, to nie powinien odejść od nas równie ubogi, jak do nas przybył.

— O, wiem dobrze, czegom się w tym jednym roku nauczył! To więcej warte od złota i od bogactw — rzekł chłopiec.

— Ponieważ te monety po tylu latach leżą wciąż jeszcze w szczelinie skalnej, pomyślałyśmy więc, że nie mają już one z pewnością właściciela — mówiła dalej przodownica — i uważamy, że powinienes je wziąć sobie, Paluszk.

— Czy nie chcecie zatrzymać tego skarbu dla siebie, matko Akko? — zapytał chłopiec.

— Przeciwnie, chcemy cię tym wynagrodzić, aby twoi rodzice przekonali się, że służyłeś za pastuszką u porządných stworzeń.

Chłopiec odwrócił się bokiem, rzucił wzrokiem na morze, a potem spojrzał Akce prosto w jej błyszczące oczy.

— Dziwię się wam jednak bardzo, matko Akko — rzekł. — Chcecie się pożegnać ze mną i dajecie mi zapłatę przedtem, zanim wam wymówiłem służbę.

— Dopóki my, dzikie gęsi, przebywać będziemy jeszcze w Szwecji, pozostaniesz na pewno z nami — rzekła Akka. — Ale chciałam ci pokazać, gdzie się skarb znajduje, gdyż teraz mogłyśmy to uczynić nie nakładając bardzo drogi.

— Mimo to jest tak, jak mówię — odparł chłopiec. — Chcecie się mnie pozbyć, zanim sam będę miał ochotę was opuścić. Po tylu miesiącach spędzonych w przyjaźni nie weźmiecie mi chyba za złe, gdy was poproszę, abyście mnie zabraly z sobą na południe.

Na te słowa Akka i inne gęsi wyciągnęły szyje w górę i milcząc wciągały półotwartymi dziobami powietrze.

— Mówisz takie rzeczy, o których nigdy nie pomyślałam — rzekła Akka przyszedłszy do siebie. — Ale zanim poweźmiesz jakiekolwiek postanowienie, posłuchajmy, co Gorgo ma nam do oznajmienia.

Muszę bowiem ci jeszcze coś powiedzieć. Przed opuszczeniem Laponii ułożyliśmy, że Gorgo poleci do twojej zagrody w Skanii i spróbuje przygotować łatwiejsze warunki powrotu dla ciebie.

— Tak, tak jest — przerwał Gorgo. — Ale jak ci już powiedziałem, nie miałem szczęścia. Dom Holgera Nilsona znalazłem bardzo łatwo i przeleciawszy nad nim kilka razy, wypatrzyłem także krasnoludka, który właśnie skradał się między budynkami. Natychmiast spuściłem się na ziemię, schwyciłem go i poleciałem z nim na pole, aby spokojnie móc się z nim porozumieć. I wtedy powiedziałem mu, że przychodzę z polecenia Akki z Kebnekajse zapytać go, czyby nie mógł złagodzić warunków powrotu Nilsa Holgersona.

„Pragnąlbym tego sam — odrzekł krasnoludek — gdyż słyszałem, że chłopiec sprawował się bardzo dobrze w podróży, ale nie jest to w mojej mocy. Zrób ze mną, co chcesz, ale co do Nilsa Holgersona, to pozostanie wszystko tak, jak ci mówiłem. Możesz go jednak pozdrowić ode mnie i powiedzieć mu, że uczyniłby najlepiej, gdyby jak najprędzej powrócił ze swym gąsiorem, gdyż w domu dzieje się źle. Holger Nilson poręczył, niestety, za swego brata, którego darzył zupełnym zaufaniem; teraz musi płacić jego długi. Za pożyczone pieniądze kupił sobie konia, ale koń okulał zaraz za pierwszym razem, kiedy go zaprzężono, i odtąd do niczego się nie nadaje. Tak, opowiedz Nilsowi — dodał jeszcze krasnoludek — że rodzice jego musieli sprzedać dwie krowy i będą zmuszeni opuścić swą zagrodę, jeśli skądkolwiek nie zjawi im się pomoc”.

Usłyszawszy to chłopiec zmarszczył czoło i zacisnął pięści, aż w stawach zatrzeszczało.

— To okrucieństwo ze strony krasnoludka! — zawołał. — Pod tym warunkiem, który postawił, nie mogę powrócić do rodziców, aby ich ratować, Ale nie uda mu się uczynić ze mnie niewiernego przyjaciela. Rodzice moi są ludźmi uczciwymi i wiem, że woleliby raczej wyrzec się zagrody niż żądać, abym powrócił do nich z nieczystym sumieniem.

SREBRO W MORZU

Sobota, 8 października

Jak wiemy wszyscy, morze jest dzikie i nie uznaje granic, dlatego też część Szwecji, najbardziej wystawioną na jego zakusy, ochrania od wielu, wielu lat szeroki mur kamienny, zwany Bohuslänem, Mur ten jest mniej więcej tak szeroki, że zajmuje całą przestrzeń między Dalslandem a morzem, ale nie jest szczególnie wysoki, tak jak to najczęściej bywają wały i tamy. Zbudowany został z potężnych złomów skalnych, a w niektórych miejscach w skład jego wchodzi całe grzbiety górskie. Drobne kamienie jako materiał nie miałyby żadnego znaczenia tutaj, gdzie szło o to, aby wznieść zaporę ochronną przed morzem, mającą się ciągnąć od Iddefjordu do Gotaälfu.

Takich wielkich budowli nie wznosi się już w dzisiejszych czasach. Mur ten jest też niesłychanie stary i należy przyznać, że został bardzo draśnięty zębem czasu. Wielkie złomy kamienne nie są już tak ściśle spójne ze sobą, jak to było dawniej. Pomiędzy nimi utworzyły się głębokie i szerokie rozpadliny, w których wznoszą się domy i ciągną pola. Złomy skalne nie oddaliły się jednak od siebie na tyle, aby nie można było poznać, że niegdyś tworzyły one wspomniany mur.

Od strony lądu mur zachował się jeszcze najlepiej. Tam ciągnie się on na wielkiej przestrzeni nienaruszony i nieprzerwany. Ale pośrodku widać długie, głębokie rozpadliny z jeziorami na dnie, a tuż przy brzegach jest zupełnie zrujnowany i każdy oddzielny złom kamienny sterczy niby wzgórze.

Dopiero kiedy się widzi ten wielki mur z dołu, można zrozumieć, że stoi on właśnie na tym miejscu bynajmniej nie dla parady. Pomimo jego pierwotnej wytrzymałości morze w sześciu czy siedmiu

miejscach przedarło się przezeń i utworzyło fiordy na kilka mil długie. Najbardziej zewnętrzna strona muru znajduje się zresztą zupełnie pod wodą i widać tylko wierzchołki skał wynurzające się z morza. W ten sposób utworzyło się z czasem wiele większych i mniejszych wysp oraz szkier i one to muszą powstrzymywać najsilniejszy napór morskich burz.

Zdawałoby się, że kraj stanowiący właściwie tylko mur kamienny jest zupełnie nieurodzajny i nie może wyżywić swych mieszkańców. Tymczasem nie jest tak źle. Pomimo że wzgórza i wyżyny w Bohuslänie są nagie i jałowe, to jednak w rozpadlinach nagromadziło się wiele urodzajnej ziemi, która nadaje się doskonale do uprawy, mimo że niwy nie bywają zbyt wielkie. Nad brzegiem morza zima zazwyczaj nie jest tak ostra jak w głębi kraju, toteż w miejscach osłoniętych od wiatru rosną nawet drzewa i rośliny wrażliwsze na zimno, których się nie spotyka dalej na północ od Skanii.

A tym bardziej nie wolno zapominać, że Bohuslän leży na granicy morza, owej wielkiej niwy służącej wspólnie wszystkim ludziom na świecie. Ludzie z Bohuslänu mogą korzystać z dróg, których nie mają potrzeby budować ani utrzymywać. Rozporządzają stadami, których nie potrzebują ani pilnować, ani prowadzić na paszę, a to, co przewozi ich towary, nie wymaga ani pożywienia, ani dachu. Dlatego też nie są oni zależni od żniw czy hodowli bydła, jak mieszkańcy innych okręgów, i nie obawiają się stawiać swych domów na szkierach smaganych wiatrami, gdzie nie rośnie ni jedno źdźbło trawy, albo na wąskich skrawkach łądu u stóp gór, gdzie zaledwie starczy miejsca na mały zagon kartofli — gdyż wiedzą, że wielkie, zasobne morze dostarczy im wszystkiego, czego im potrzeba.

Lecz choć prawdą jest, że morze kryje w sobie nieskończone bogactwa, należy przyznać, że ten, kto się z morzem wiąże, ma ciężkie zadanie. Kto chce się z morza utrzymywać, musi znać wszystkie fiordy i zatoki, wszystkie mielizny i prądy, liczyć się z każdym kamieniem na dnie morza. Musi wieść swoją łódź poprzez burze i mgłę i odnajdywać drogę w najciemniejszą noc. Musi z oznak powietrznych przewidywać niepogodę i nie wolno mu zwracać uwagi na zimno i wilgoć. Musi wiedzieć, którędy ciągną ryby i gdzie pełzają homary, musi wyciągać ciężkie sieci i zarzucać je nawet na burzliwym morzu. Najpierw jednak, i przede wszystkim, musi nosić w piersiach mężne serce, które nie pyta, czy w walce z morzem nie stawia co dzień życia na kartę.

W ów ranek, kiedy dzikie gęsi przelatywały nad Bohuslänem, między szkierami było cicho i spokojnie. Widziały kilka małych wiosek rybackich, ale w ciasnych uliczkach nie było ruchu, nikt nie wchodził i nie wychodził z ładnie pomalowanych domków. Brunatne sieci rybackie leżały na brzegu ze zwiniętymi żaglami. Ani jedna kobieta nie pracowała przy długich stołach, na których zwykle oprawiano dorsze albo flądry.

Dzikie gęsi przelatywały także nad kilkoma stacjami pilotów. Domki ich były pomalowane na białe i czarno, maszt sygnałowy wznosił się obok nich, a łodzie stały na kotwicy. Wszędzie panowała cisza, nigdzie nie było widać parowca, który by potrzebował pomocy na tej ciasnej przestrzeni,

W miejscach kąpielowych, nad którymi dzikie gęsi przelatywały, zamknięto budynki kąpielowe, pościągano chorągwie i zaryglowano piękne domy letnie. Nie było widać nikogo prócz kilku starych kapitanów okrętowych, spacerujących na pomostach tam i z powrotem i spoglądających z tęsknotą na morze.

Na wschodniej stronie wysp zarówno jak i w głębi zatok na brzegach dzikie gęsi ujrzały kilka zagród chłopskich. I tutaj także łodzie stały beczynn timer w przystaniach. Gospodarze i parobcy kopali kar tofle albo też sprawdzali, czy strąki pnące się po wysokich podpórkach drewnianych wyschły dostatecznie.

W wielkich kamieniołomach i warsztatach okrętowych pracowało wielu robotników. Wywijali raźnie młotami i toporami, ciągle jednak zwracali głowy ku morzu, jak gdyby stamtąd oczekiwali jakiejś przeszkody.

A ptaki nadmorskie zachowywały się równie spokojnie jak ludzie. Kilka kormoranów śpiących na

stromiej ścianie skalnej, jeden po drugim opuszczali skałę i, lecąc powoli, dążyli na miejsca połowu ryb. Mewy powróciły z morza i przechadzały się jak zwykle wrony po brzegu.

Lecz naraz zmieniło się wszystko. Stado mew zerwało się nagle i podążyło z takim pośpiechem w kierunku południowym, że dzikie gęsi zaledwie zdążyły zapytać je, dokąd fruną, a mewy nie miały nawet czasu odpowiedzieć. Teraz i kormorany porwały się z wody i poleciały za mewami, ociężale poruszając skrzydłami. Delfiny niby czarne wrzeciona zakreśliły się nagle w wodzie, a stado fok rzuciło się z płaskiej szkiery prosto do wody i popłynęło w kierunku południowym.

— Co to się stało? Co to się stało? — pytały dzikie gęsi.

W końcu doczekały się odpowiedzi od pewnej kaczki lodowej.

— Śledzie przypłynęły do Marstrandu! Śledzie przypłynęły do Marstrandu! — zawołała.

Nie tylko ptaki i zwierzęta wodne zostały poruszone wiadomością o przybyciu pierwszych wielkich ławic śledzi. Doszła ona też i do ludzi. Po brukowanych uliczkach wiosek rybackich biegali teraz ludzie szybko tam i z powrotem. Szykowano łodzie do odjazdu i kładziono w nie ostrożnie długie sieci przeznaczone do połowu śledzi. Kobiety zaopatrywały rybaków w żywność i odzież wysmarowaną łuszczem, a mężczyźni wychodzili z takim pośpiechem z domów, że kończyli się ubierać na ulicy.

Wkrótce wszystkie cieśniny między szkierami roiły się już od brunatnych żagli, a między łodziami słyhać było wesołe nawoływania i okrzyki. Młode dziewczęta wspinały się na skały poza domami i powiewały chustkami ku odjeżdżającym. Piloci na straży byli zupełnie pewni, że wkrótce potrzebna będzie ich pomoc, toteż włożyli już swe buty nieprzemakalne i przygotowali kotwice.

Z fiordów wyjeżdżały małe parowce naładowane beczkami i skrzyniami. Wieśniacy odrzucili z pośpiechem motyki, robotnicy opuścili warsztaty okrętowe, a starzy kapitanowie z ogorzałymi twarzami nie mogli, rozumie się, usiedzieć w domu i pojechali na parowcach, aby przynajmniej przyjrzeć się połowowi śledzi.

Dzikie gęsi opuściły niebawem Marstrand. Ławice śledzi nadchodziły od zachodu i ciągnęły ku lądowi obok latami morskiej znajdującej się na szkiecie portowej. Po szerokim fiordzie między wyspą Marstrand i szkierami Paternoster sunęły obok siebie łodzie po trzy w jednym szeregu. Tam gdzie morze wydawało się ciemniejsze i gdzie wznosiły się niewielkie fale — były śledzie. Rybacy wiedzieli o tym dobrze i w tych miejscach ostrożnie zarzucali w wodę długie sieci. Następnie zbierali je i związywali u dołu, tak że śledzie leżały w nich niby w olbrzymich workach. Potem ściągali je ciaśniej, tak że przestrzeń w sieciach stawała się coraz mniejsza, i w końcu można było wyciągnąć sieć napełnioną lśniącymi rybami. W niektórych grupach rybackich połów był tak obfity, że łodzie wypełnione już były po brzegi. Rybacy stali po kolana w śledziach, a odzież ich od głów do nóg świeciła się od łusek.

Gdzie indziej widać było nowoprzybyłe grupy rybaków szukających śledzi. Niektórzy zarzucali sieci i wyciągali je puste. Ci, którzy mieli pełne łodzie, podjeżdżali do wielkich parowców stojących w fiordzie i sprzedawali swój połów, inni jechali do Marstrandu i wyładowywali śledzie na brzeg. Tam przy długich stołach stały już kobiety, a robota szła żywo. Śledzie pakowano w beczki i skrzynie, a cała ulica zasypana była łuskami.

Tak, teraz wrzało tu życie i ruch! Ludzie nie posiadali się z radości, że oto fale morskie obdarzyły ich srebrem. A dzikie gęsi przelatywały kilkakrotnie nad Marstrandem tam i z powrotem, aby chłopiec mógł dokładnie obejrzeć wszystko.

Ale już po krótkim czasie malec poprosił, aby gęsi leciały dalej. Nie powiedział dlaczego, lecz nie trudno było odgadnąć. Między rybakami było wielu pięknych, silnych i nadzwyczaj okazałych mężczyzn o odważnych obliczach, a wyglądali tak dzielnie i dziarsko, jak każdy chłopiec pragnąłby wyglądać, kiedy sam dorośnie. Istotnie komuś, kto nigdy nie miał być większym od śledzia, nie mogło być zbyt przyjemnie przyglądać się tym wspaniałym postaciom.

WIELKI DWÓR



STARY I MŁODY PAN

Przed wielu laty w jednej z parafii västgotlandzkich mieszkała pewna nadzwyczaj dobra, miła nauczycielka ludowa. Nie dość że uczyła bardzo dobrze, lecz potrafiła także utrzymywać wzorowy porządek w swej klasie, a dzieci lubiły ją tak bardzo, że nie przychodziły nigdy do szkoły nie nauczysz się zadanych lekcji. Rodzice cenili ją również.

Był tylko jeden człowiek, który nie wiedział, ile była warta, a człowiekiem tym była ona sama. Uważała wszystkich za mądrzejszych i dzielniejszych od siebie i w duchu martwiła się, że nie może być taka jak inni.

Nauczycielka już od kilku lat uczyła w szkole, kiedy zwierzchność szkolna poleciła jej przejść kurs nauki w seminarium slojdu w Nääs, aby potem mogła uczyć dzieci pracować nie tylko głową, ale i rękami. Żądanie to zaskoczyło i przestraszyło nauczycielkę. Nääs położone było w nieznaczej odległości od szkoły, przechodziła więc niejednokrotnie obok pięknej, okazałej posiadłości i słyszała wiele dobrego o kursie slojdu, który odbywał się w wielkim, starym dworze. Ze wszystkich stron kraju zjeżdżali się tam nauczyciele i nauczycielki, aby przyswoić sobie umiejętność ręcznej pracy; nawet z zagranicy zjeżdżali się ludzie w tym celu.

Jakkolwiek przecież kurs ten nęcił nauczycielkę ogromnie, to jednak wiedziała z góry, jak bardzo czuć się będzie onieśmielona wśród tylu znakomitych ludzi; zdawało się jej nawet, że nie będzie po prostu w stanie przebywać wśród nich.

Lecz z drugiej strony, nie śmiała dać zwierzchności szkolnej odpowiedzi odmownej, toteż złożyła prośbę i została przyjęta jako uczennica.

Pewnego pięknego wieczoru czerwcowego przed rozpoczęciem kursu letniego zapakowała odzież i wszystkie potrzebne drobiazgi w małą walizkę i udała się do Nääs. Mimo że po drodze zatrzymywała się często i gorąco pragnęła być oddalona o sto mil, to jednak w końcu przybyła do celu.

W Nääs panowało wielkie ożywienie. Wszystkim uczestnikom kursu, którzy zjechali tutaj z najrozmaitszych stron, musiano dać pomieszczenie w domach należących do dóbr. Wszyscy czuli się nieco nieswojo w tym obcym otoczeniu, lecz skromnej nauczycielce zdawało się, jak zwykle, że tylko ona

zachowuje się niezręcznie i głupio, i w końcu ogarnęło ją takie zaleknienie, że nie widziała i nie słyszała nic z tego, co się wokoło niej działo. A miała istotnie niełatwe warunki; wyznaczono jej pokój w pięknej willi, w którym musiała zamieszkać z kilkoma młodymi dziewczętami, nie znanymi jej zupełnie! A obiadować musiała w gronie siedemdziesięciu obcych ludzi! Z jednej strony miała małego pana o żółtej twarzy, który oznajmił jej, że jest Japończykiem, a z drugiej strony siedział obok niej nauczyciel ludowy z Jockmock w Laponii! Od pierwszej chwili przy długich stołach zapanowały wesołe rozmowy, żarty i śmiech. Wszyscy rozmawiali z sobą i zawierali znajomości, tylko ona jedna nie śmiała otworzyć ust.

Następnego ranka zaczęła się praca. Jak we wszystkich szkołach tak i tutaj rozpoczęto dzień od śpiewu i modlitwy. Potem kierownik seminarium wygłosił przemowę o slojdie i podał kilka ogólnych prawideł postępowania. Nasza nauczycielka, nie wiedząc sama, jak to się stało, znalazła się niebawem przed warsztatem i trzymając kawałek drewna w jednej ręce, a nóż w drugiej — słuchała objaśnień starego nauczyciela slojdu, który starał się jej pokazać, jak wycina się podpórki do roślin.

Nigdy dotychczas nie próbowała takich robót, nie umiała też zabrać się do rzeczy. Była przy tym tak zmieszana, że nie rozumiała nic z tego, co do niej mówiono. Kiedy nauczyciel się oddalił, położyła nóż i drewno na warsztacie i patrzyła przed siebie.

Cała sala zastawiona była warsztatami i przy wszystkich pracowali ludzie ochoczo. Niektórzy, nieco już wprawniejsi w robocie, podchodzili do nauczycielki chcąc jej pomóc. Ale ona nie była w stanie skorzystać ze wskazówek, gdyż zdawało się jej, że wszyscy zwracają uwagę na jej niezręczność, i to poczucie czyniło ją strasznie nieszczęśliwą. Była niemal bezwładna.

Nadeszła pora śniadania, a po śniadaniu przystąpiono znów do pracy. Najpierw dyrektor miał wykład, potem była godzina gimnastyki, a potem znów zabrano się do slojdu. Następnie urządzono przerwę na obiad. Stoły nakryte były w wielkiej, jasnej sali zebrzań, gdzie podawano również kawę, a po obiedzie wrócono do slojdu. Po czym przyszła kolej na ćwiczenia w śpiewie i w końcu na gry na powietrzu. Nauczycielka spędziła cały dzień w ruchu, wciąż w towarzystwie, czuła się jednak ciągle tak samo nieszczęśliwa.

Kiedy potem przypominała sobie te pierwsze dni spędzone w Nääs, zdawało się jej, że chodziła wówczas jak we mgle. Wszystko było pochmurne i ciemne, nie widziała ani nie rozumiała nic z tego, co się działo wokoło niej. Ten stan trwał dwa dni, a wieczorem drugiego dnia zaczęło się jej nagle wszystko rozjaśniać. W tym drugim dniu, po kolacji, stary nauczyciel ludowy, który dawniej był już parę razy w Nääs, opowiadał kilku nowym uczniom, jak powstało seminarium slojdu, a że nauczycielka siedziała w pobliżu, więc musiała słuchać.

Nauczyciel opowiadał, że dawniej, dopóki stary pan, właściciel majątku, nie sprowadził się tutaj, Nääs było jedynie wielką i piękną posiadłością pańską jak wiele innych. Stary pan był bardzo bogatym człowiekiem i pierwsze lata swego pobytu poświęcił tylko na upiększanie pałacu i parku i odnawianie domów swych podwładnych.

Lecz potem umarła mu żona, a że nie mieli dzieci, więc czuł się często bardzo samotny w swych wielkich dobrach. Dlatego też namówił siostrzeńca, którego bardzo kochał, aby przyjechał i osiadł z nim w Nääs.

Z początku postanowiono, że młodzieniec zajmie się zarządem dóbr, Kiedy jednak zaczął on obchodzić podwładnych swego wuja i zobaczył, jakie życie prowadzą w nędznych chatkach, przyszedł mu rozmaite osobliwe myśli do głowy. Zastanowiło go to, iż w większości tych mieszkań w długie wieczory zimowe ani mężczyźni, ani dzieci, ani nawet kobiety nie zajmują się żadną robotą ręczną. W dawnych czasach ludzie musieli pilnie używać swych rąk do sporządzania odzieży i sprzętów domowych, lecz teraz, kiedy wszystkie te rzeczy można kupić gotowe, ustał ten rodzaj pracy. I młodemu panu wydało się, że z tych domów, gdzie zaniechano pracy domowej, znikł także domowy dobrobyt i domowe ciepło.

Jeden jedyny raz zaszedł do domu, gdzie ojciec wyrabiał stoły i krzesła, a matka tkła, i okazało się, iż ludzie ci byli nie tylko zamożniejsi, ale i szczęśliwsi od innych.

Kiedy młodzieniec rozmawiał o tym ze swym wujem, stary pan przyznał, że byłoby rzeczywiście dobrze, gdyby ci ludzie w wolnym czasie zajmowali się jakąkolwiek robotą ręczną. Aby jednak dojść do tego, musieliby bez wątpienia od dziecka ćwiczyć zręczność rąk. Obaj panowie postanowili, iż dla osiągnięcia tego celu nie mogą uczynić nic lepszego, jak urządzić szkołę słoju dla dzieci. Dzieci miały się tam uczyć wyrabiania z drewna prostych naczyń, gdyż obaj panowie uważali, że ten rodzaj roboty będzie na początek najłatwiejszy. Byli przekonani, że kto nauczy się zręcznie używać noża, temu później łatwo pójdzie wywijanie wielkim młotem kowalskim czy małym młotkiem szewskim. Ten zaś, którego ręka od dzieciństwa nie będzie przyzwyczajona do pracy, nigdy nie pojmie, iż człowiek ma w niej narzędzie warte więcej od wszystkich innych.

Zaczęto więc w Nääs uczyć dzieci słoju i wkrótce przekonano się, jaka to była pożyteczna i dobra nauka — tak pożyteczna i dobra, że należało pragnąć teraz tylko, by wszystkie dzieci w całej Szwecji mogły korzystać z podobnego nauczania.

Lecz jakże to można było wykonać? Wokoło w całej Szwecji wzrastały przecież setki tysięcy dzieci i nie można było zgromadzić ich wszystkich w Nääs, aby je nauczyć słoju! Było to zupełnie niemożliwe.

Wówczas pan powziął nowy pomysł. A gdyby tak zamiast uczyć dzieci, urządzić seminarium słoju dla nauczycieli? I gdyby nauczyciele i nauczycielki z całego kraju zbierali się w Nääs, uczyli się tutaj słoju, a potem nauczali tego samego wszystkie dzieci w swoich szkołach? W ten sposób dojść będzie można w końcu do tego, aby wszystkie dzieci w Szwecji miały ręce tak samo wyćwiczone jak mózg.

Od chwili kiedy pomysł ten zrodził się w głowach obydwóch panów, nie porzucili go już i starali się go urzeczywistnić.

Pomagali sobie wzajemnie. Stary pan budował pracownię, sale zebrań, sale gimnastyczne i starał się o mieszkania i utrzymanie dla nowoprzybyłych. Młody został dyrektorem gimnazjum — opracowywał plan nauczania, czuwał nad robotą i wygłaszał odczyty. A i to jeszcze nie wszystko: przebywał on bezustannie z uczniami, zaznajamiał się z warunkami ich życia i stawał się ich serdecznym, oddanym przyjacielem.

Liczba uczestników była od samego początku ogromna! Co rok odbywały się cztery kursy, a na każdy zgłaszało się więcej słuchaczy, niż ich można było przyjąć. Szkoła zyskała też wkrótce rozgłos i za granicą i ze wszystkich krajów zjeżdżali się nauczyciele i nauczycielki do Nääs, aby się uczyć słoju. Żadna miejscowość w Szwecji nie była tak znana jak Nääs i żaden Szwed nie miał nigdy tylu przyjaciół na całym świecie, co dyrektor seminarium słoju w Nääs.

Młoda, nieśmiała nauczycielka słuchała tego opowiadania, a im dłużej słuchała, tym jaśniej stawało się wokoło niej. Dotychczas nie wiedziała wcale, dlaczego szkoła słoju znajdowała się w Nääs i że stworzyło ją dwóch ludzi, którzy chcieli uczynić coś dobrego dla swego kraju; nie miała pojęcia, że wykonywali oni swą pracę bezinteresownie, że poświęcali wszystko, co mogli poświęcić, aby przyczynić się do szczęścia i polepszenia doli swych współbraci.

Teraz kiedy myślała o tej wielkiej dobroci i miłości bliźniego, rozrzewniało ją to niemal do łez. Z czymś podobnym nie spotkała się jeszcze nigdy w życiu.

Następnego dnia poszła do pracy z zupełnie innym nastawieniem. Skoro to wszystko płynęło z tak zacnych pobudek, należało zdobyć się na większą niż dotychczas pracowitość i gorliwość. Zapomniała teraz zupełnie o sobie. Praca i wielki cel, który miał być osiągnięty, pochłoneły ją całkowicie. I od tej chwili spełniała swe zadania doskonale: nie przeszkadzała jej już nieśmiałość, wykonywała swą pracę z wielką zręcznością i sprawnością.

Teraz, kiedy otworzyły jej się oczy, spostrzegała we wszystkim, co ją otaczało, tę cudowną, dobrą wolę. Widziała, z jaką miłością dla uczestników kursów urządzone było wszystko w całym seminarium.

Uczestnicy nie kształcili się tutaj bynajmniej jedynie w robotach ręcznych. Dyrektor miewał odczyty o wychowaniu, udzielał lekcji gimnastyki, utworzył chór i prawie co wieczór zbierano się na muzykę i na odczyty. A poza tym książki, fortepiany, łódki i kąpiel były do rozporządzenia wszystkich. Wszystkim powinno być dobrze, wszyscy powinni byli być zadowoleni i weseli.

Stopniowo uświadamiała sobie nauczycielka, jaka to była nieoceniona przyjemność móc spędzić piękne dni letnie w takich warunkach. Pałac, w którym mieszkał stary pan, położony był na wzgórzu prawie ze wszystkich stron otoczonym jeziorem, a piękny, kamienny most łączył go z lądem. Nauczycielka nigdy nie widziała nic podobnie pięknego, jak klomby na tarasach przed pałacem, jak stare dęby w parku, jak droga wzdłuż brzegów jeziora, na której drzewa pochylały się nad wodą, albo jak widok z altany na skale nad jeziorem. Zabudowania szkolne położone były na wprost pałacu, na zielonych, cienistych polanach; uczniom jednak wolno było przechadzać się po parku. Nauczycielka miała wrażenie, że dopiero teraz wie, jak piękne jest lato, kiedy mogła je spędzać w tak przepięknej miejscowości jak Nääs.

Nie należy jednak myśleć, że, zaszła w niej jakaś wielka zmiana. Nie, nie stała się odważna i pewna siebie, lecz czuła się tylko wesoła i szczęśliwa. Ta dobroć, której tu doznawała, przejmowała ją do głębi. W takiej miejscowości, gdzie wszyscy pragnęli jej dobra i starali się o jej naukę, nie mogła się czuć zalekniona. A kiedy kurs się skończył i uczniowie opuścili Nääs, zazdrościła tym wszystkim, którzy potrafili staremu i młodemu panu wyrazić swą wdzięczność i wypowiedzieć w pięknych słowach to, co czuli. Ach, ona nie zdobędzie się na to chyba nigdy w życiu!

Powróciła do domu, zabrała się na nowo do pracy w szkole i była z niej dalej tak samo zadowolona jak poprzednio. Od Nääs dzieliła ją niewielka odległość i mogła, korzystając z wolnego popołudnia, pójść tam pieszo. Z początku czyniła to nawet dość często. Tylko że jeden kurs następował po drugim, wciąż widać było nowe twarze i dawniejsza nieśmiałość ogarnęła ją znowu, tak że stawała się coraz rzadszym gościem w szkole słoju. Ten czas jednak, który przeżyła wówczas, kiedy sama była uczennicą w Nääs, pozostał mimo to zawsze w jej wspomnieniach jako najlepszy w jej życiu.

Na wiosnę dowiedziała się pewnego dnia, że stary pan w Nääs umarł. Przypomniało jej się piękne lato, które spędziła w jego dobrach, i ogarnął ją głęboki żal, że nie potrafiła nigdy wypowiedzieć mu swojej wdzięczności. Otrzymywał zapewne dostatecznie wiele podziękowań od wielkich i małych, ale ona sama czułaby się teraz szczęśliwsza, gdyby mu wówczas była wyraziła w kilku słowach wdzięczność za to, co dla niej uczynił.

W Nääs nauka odbywała się w dalszym ciągu zupełnie w ten sam sposób jak przed śmiercią starego pana. Zapisał on bowiem całe swe piękne dobra szkole, siostrzeniec jego pozostał nadal dyrektorem i zarządzał wszystkim. Ile razy nauczycielka przychodziła do Nääs, zawsze widziała tam coś nowego. Teraz nie szło już tylko o kursy słoju — dyrektor chciał powołać na nowo do życia stare zwyczaje i stare zabawy ludowe, utworzył kursy śpiewów i różnych rodzajów gier. Pod jednym względem tylko pozostało wszystko po dawnemu: ludziom było tu nadal ciepło od otaczającej ich serdeczności i czuli, jak wszystko tutaj pomyślane zostało tak, aby dać im nie tylko wiedzę, ale i radosną chęć do pracy dla dobra powierzonych im dzieci.

W kilka lat zaledwie po śmierci starego pana nauczycielka usłyszała pewnej niedzieli w kościele, że dyrektor w Nääs zachorował niebezpiecznie. Wiedziała, że od pewnego czasu cierpi on na ciężkie ataki sercowe, nie myślała jednak nigdy, że może mu grozić niebezpieczeństwo śmierci. Teraz jednak mówiono, że jest źle.

Od chwili kiedy nauczycielka dowiedziała się o tym, nie mogła się opędzić od myśli, że i dyrektor może umrzeć tak samo jak stary pan, a ona nie wypowie mu swojej wdzięczności — i rozmyślała bezustannie nad tym, w jaki sposób mogłaby mu ją wyrazić.

W niedzielę po obiedzie nauczycielka poszła do wszystkich sąsiadów z zapytaniem, czy pozwolą

dzieciom towarzyszyć jej do Nääs, Słyszała, że dyrektor jest chory, i zdaje jej się, że sprawi mu to przyjemność, jeśli dzieci przybędą i zaśpiewają kilka pieśni. Jest już wprawdzie dość późno, ale księżyc świeci jasno i będzie można znaleźć drogę. Nauczycielce mówiło coś, że musi być jeszcze tego wieczoru w Nääs — lękała się, że nazajutrz może być już za późno.

PODANIE O VÄSTGOTLANDII

Niedziela, 9 października

Dzikię gęsi opuściły Bohuslän i spędzały noc na mokradłach w Västgotlandii. Aby znaleźć suche miejsce, mały Nils Holgerson wdrapał się na urwisko nad rowem, który przerzynał w poprzek bagnistą łąkę. Szukał właśnie suchego kącika, w którym by się mógł ułożyć do snu, kiedy ujrzał gromadkę ludzi idących drogą. Była to młoda nauczycielka otoczona gromadką dzieci. Dzieci z nauczycielką pośrodku dążyły naprzód, wesoło i swobodnie gwarząc, i chłopiec nie mógł się oprzeć chęci, aby nie pobiec za nimi i nie posłuchać tego, o czym mówią między sobą.

Zamiar ten mógł wykonać łatwo: jeśli się będzie trzymał cienia na skraju drogi, niesposób, aby go ktoś dojrzał. A tam gdzie kroczy piętnaście osób, łoskot kroków sprawia tyle hałasu, że nikt nie dosłyszcy skrzypu żwiru pod małymi, drewnianymi sandałami!

Aby dzieciom droga nie dłużyła się, nauczycielka opowiadała im stare podania. W chwili kiedy chłopiec przyłączył się do gromadki, skończyła właśnie jedno, a dzieci prosiły natychmiast o nowe.

— Czy słyszeliście już opowiadanie o starym olbrzymie z Västgotlandii, który przeniósł się daleko, na wyspę na Morzu Lodowatym? — zapytała nauczycielka.

— Nie, tego opowiadania jeszcze nie słyszeliśmy! — zawołały dzieci.

Nauczycielka zaczęła opowiadać:

— Pewnego razu w ciemną, burzliwą noc jakiś statek natknął się na małą szkieję położoną daleko na północnym Morzu Lodowatym. Rozbił się o rafy i z całej załogi zdołało się uratować tylko dwóch ludzi. Przemoczeni do nitki i zdrętwiali z zimna, stali oni na malej, skalistej wysepce i, rzecz prosta, ucieszyli się nadzwyczajnie, ujrzawszy wielkie ognisko płonące na brzegu. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, podbiegli ku niemu i dopiero kiedy byli już bardzo blisko, spostrzegli, że przed ogniskiem siedział olbrzymi człowiek. Był tak wielki i silny, iż nie wąpili ani przez chwilę, że mają przed sobą człowieka z rodu olbrzymów.

Zatrzymali się niepewnie; ale wiatr północny dmący nad szkiejami niósł tak przeraźliwe zimno, iż czuli, że zmarzną, jeśli nie będą się mogli ogrzać przy ognisku olbrzyma. Dlatego też postanowili podejść do niego.

„Dobry wieczór, ojcie — rzekł starszy z nich. — Czy pozwolicie dwóm rozbitkom z okrętu ogrzać się przy waszym ognisku?”

Olbrzym zbudził się nagle ze swych myśli. Wyprostował się i wyciągnął miecz z pochwy.

„A coście wy za jedni?” — zapytał, gdyż był stary i nie mógł dobrze rozpoznać istot, które do niego mówiły.

„Pochodzimy obaj z Västgotlandii, jeśli chcecie wiedzieć — odpowiedział starszy z marynarzy. — Nasz okręt rozbił się tutaj w pobliżu, a myśmy się uratowali półnaczy i półzmarznięci”.

„Nie zwykłem wdawać się na mojej szkiezie w rozmowy z ludźmi, skoro jednak pochodzicie z Västgotlandii, to zmienia postać rzeczy — rzekł olbrzym i schował miecz do pochwy. — Tedy możecie tutaj usiąść i ogrzać się, gdyż sam pochodzę z Västgotlandii i mieszkalem tam przez wiele lat na wielkim

wzgórzu Skalunda”,

Marynarze siedli na skale. Nie śmieli odezwać się do olbrzyma i przyglądali mu się tylko w milczeniu. Lecz im dłużej patrzyli na niego, tym wydawał im się większy i tym mniejszymi i słabszymi czuli się sami.

„Moje oczy nie służą mi już tak jak dawniej — rzekł olbrzym — i mogę was zaledwie odróżnić. A rad bym był bardzo zobaczyć, jak wygląda dzisiejszy Västgotlandczyk. Niechże przynajmniej jeden z was poda mi rękę, abym poczuł, czy jeszcze płynie gorąca krew w Szwecji”.

Mężczyźni spojrzeli najpierw na ręce olbrzyma, a potem na swoje własne. Żaden z nich nie miał ochoty doświadczyć uścisku ręki olbrzyma. Ale nagle spojrzenie ich padło na żelazny rożen, którym olbrzym posługiwał się do rozżarzania ognia. Leżał on długo w ogniu i miał koniec rozpalony do czerwoności. Połączonymi siłami obaj mężczyźni podnieśli pręt i podali go olbrzymowi. Ten ujął rożen i ścisnął go tak mocno ręką, że żelazo wytrysnęło mu spod palców.

„O tak, widzę, że jest jeszcze gorąca krew w Szwecji!” — rzekł z zadowoleniem do osłupiałych marynarzy.

Po czym nastąpiła znów cisza wokół ogniska. Ale to spotkanie z rodakami skierowało znów myśli olbrzyma ku Västgotlandii i jedno wspomnienie za drugim budziło się w jego duszy.

„Chciałbym bardzo wiedzieć, jak teraz wygląda wzgórze Ska — lunda?” — zapytał marynarzy. Żaden z nich nie wiedział nic o wzgórzu, o które olbrzym pytał.

„Zapadło się już pewnie na dobre” — odrzekł jeden z nich z wahaniem. Zdawało mu się, że na takie pytania nie należy zwlekać z odpowiedzią.

„Oczywiście, oczywiście, tak sobie też myślałem — odrzekł olbrzym kiwając potakująco głową, — Nie można się też było niczego innego spodziewać, gdyż wzgórze to usypały pewnego rana w ciągu jednej godziny moja żona z córką, nosząc ziemię w swych fartuchach.

I znowu zatopił się w swych rozmyślaniach i wspomnieniach. Upłynęło już przecież sporo lat od czasu, kiedy opuścił Västgotlandię i trwało dość długo, zanim wywołał w pamięci te wspomnienia.

„Chyba Billinge i Kinnekulle i wszystkie inne małe góry rozrzucone na wielkiej równinie stoją tam jeszcze?” — zapytał ponownie.

„Tak jest, te jeszcze stoją — odrzekł marynarz i aby pokazać olbrzymowi, że uważa go za dzielnego człowieka, dodał: — Wyście zapewne pomagali przy wznoszeniu tych gór?”

„Nie, niekoniecznie — rzekł olbrzym. — Ale mogę ci tyle powiedzieć: mojemu ojcu macie do zawdzięczenia, że te góry w ogóle tam istnieją. Kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, nie było w Västgotlandii ani jednej wielkiej równiny, tam zaś, gdzie teraz roztacza się równina, była skalista okolica ciągnąca się od jeziora Vätter do Gotaälflu. Potem jednak kilka rzek wyżłobiło sobie łożyska w górach i przepłynęło aż do jeziora Vänern. Góry te nie były granitowe, lecz składały się z wapienia i łupku, dlatego też rzeki mogły je z łatwością podmyć. Przypominam sobie jeszcze, że rozszerzały one łożyska i doliny coraz bardziej i bardziej, tak że w końcu okolica zamieniła się w prawdziwe równiny. Mój ojciec zabierał mnie niekiedy ze sobą, kiedy szedł przyglądać się pracy rzek, bo ojciec nie zgadzał się na to, żeby rzeki zburzyły całe góry.

„Mogłyby nam zostawić przynajmniej kilka miejsc na spoczynek” — rzekł i jednocześnie zdjął swoje kamienne buty i postawił jeden po wschodniej, drugi po zachodniej stronie pasma górskiego. Swój kamienny kapelusz położył na kopułę skalistą nad jeziorem Vänern, swoją czapkę kamienną rzucił nieco dalej w stronę południa, a kamienną pałkę cisnął w tym samym kierunku.

I cały nasz pozostały zapas doskonałych, twardych kamieni porozrzucił w różnych miejscach. Rzeki podmywały potem stopniowo całe pasmo gór, tych miejsc jednak, które ojciec mój pokrył kamiennymi częściami swego ubrania, nie ważyły się tknąć i one też pozostały. Tam gdzie mój ojciec postawił jeden

swój but, powstała pod obcasem góra Hälleberg, a pod podeszwą — góra Hunneberg. Pod drugim butem zachowała się góra Kinnekulle, pod moją czapką ukryła się góra Mosseberg, a pod pałką — góra Alleberg. Wszystkie inne małe góry równiny västgotlandzkiej zostały również zaoszczędzone ze względu na mego ojca i chciałbym wiedzieć, czy w Västgotlandii dużo jest takich mężów, dla których ludzie mieliby tyle szacunku, co niegdyś dla mego ojca?”

„Na to nie łatwo odpowiedzieć — rzekł marynarz. — Jeśli jednak za waszych czasów rzeki i olbrzymi byli tak wszechmocni, to nabieram większego niż dotychczas szacunku dla ludzi, gdyż teraz oni są jedynymi panami równin i gór”.

Olbrzym skrzywił się nieco i nie zdawał się być bardzo zadowolony z odpowiedzi, ale już po krótkiej chwili nawiązał rozmowę na nowo.

„Co słyhać z wodospadem Trollhätta?” — spytał.

„Szumi i huczy jak dawniej — odrzekł marynarz, — Czy tak samo jak do zachowania gór Västgotlandii przyczyniliście się i do stworzenia tego wielkiego wodospadu?”

„O nie, niekoniecznie — odrzekł olbrzym. — Ale kiedy byłem jeszcze malcem, używaliśmy z bratem wodospadów za tor do zjeżdżania z góry. Stawaliśmy na belce i hu! z góry na dół z wodospadu Gullö i Toppö i trzech innych! Pędziliśmy z taką szybkością, że nieomal nie wpadaliśmy do morza. Czy też w dzisiejszych czasach znajdzie się jeszcze ktoś w Västgotlandii, co by się w taki sposób zabawiał?”

„Tego nie powiem — odrzekł marynarz. — Ale zdaje mi się, iż za równie wielki czyn uważać chyba należy zbudowanie przez nas — ludzi — kanału wzdłuż wodospadu, po którym możemy płynąć łodziami i parowcami nie tylko tak jak wy za waszych młodych lat, zjeżdżając z wodospadu”.

„To jest istotnie rzecz niezwykła — odparł olbrzym i zdawało się, że go ta odpowiedź nieco zasępiła. — Czy nie mógłbyś mi też powiedzieć, jak przedstawia się okolica nad jeziorem Mjörnsee, dawniej nazywana okolicą »głodową«?”

„O tak, ta okolica była źródłem wielu trosk i kłopotów — odrzekł Västgotlandczyk, — A możecie to wy przyczynili się do tego, aby krainę tę uczynić tak nędzną i ubogą?”

„O nie, niekoniecznie — odparł znów olbrzym. — Za moich czasów rósł tam wspaniały las. Kiedy jednak jedna z moich córek wyprawiała wesele, potrzeba nam było bardzo dużo drzewa na rozpalenie ognia w piecu; wziąłem wówczas długi sznur, opasałem nim cały las głodowej okolicy, wyrwałem go za jednym pociągnięciem i zaniósłem do domu. Chciałbym wiedzieć, czy dzisiaj znajdzie się ktoś, kto by potrafił wyrwać cały las za jednym zamachem?”

„Tego nie odważyłbym się twierdzić — rzekł Västgotlandczyk. — Ale to wiem, że w mojej młodości okolica głodowa ciągnęła się naga i jałowa, teraz zaś pokryta jest cała lasem. I to uważam za prawdziwie męski czyn!”

„Zapewne. Tam w dole jednak, w południowej Västgotlandii, nie mogą się chyba ludzie utrzymać?” — rzekł olbrzym.

„Czyście pomagali także i przy tworzeniu tej krainy?!” — zawołał Västgotlandczyk,

„O nie, niekoniecznie — odparł olbrzym. — Ale przypominam sobie, że kiedy my, dzieci olbrzymów, paśliśmy tam bydło, budowaliśmy dużo domów z kamieni. Dzięki tym wszystkim kamieniom, któreśmy rozrzucali, ziemia stała się zupełnie niezdatna do uprawy, dlatego musiało być bardzo trudno stworzyć tam rolnictwo”.

„Tak, to jest rzeczywiście prawda, rolnictwo zaledwie nam się opłaca w tych stronach — rzekł Västgotlandczyk. — Ale ludność tamtejsza zajęła się wyrabianiem przedmiotów z drewna, a według mego zdania ten, kto potrafi utrzymać się w tak nędznej okolicy, jest dzielniejszy od tego, który się przyczynia do wyniszczenia gruntu”.

„Teraz pozostało mi jeszcze jedno pytanie — rzekł olbrzym. — Jakżeście się urządzili tam na dole w

okolicy, gdzie Gotaälf wpada do morza?”

„Czy i do tego przyłożyliście rękę?” — zapytał marynarz.

„Niekoniecznie — odrzekł olbrzym. — Ale w owych czasach schodziliśmy często nad morze, zwabialiśmy do siebie wieloryby, siadaliśmy mu na grzbiet i jeździliśmy po fiordach i szkierach. Chciałbym wiedzieć, czy znasz kogoś, kto by to dziś potrafił?”

„Pozostawię to pytanie bez odpowiedzi — rzekł marynarz. — Ale uważam za równie wielki czyn to, że ludzie zbudowali przy ujściu Gotaälfu miasto, skąd okręty wyruszają we wszystkie strony świata”.

Olbrzym nic na to nie odpowiedział. Wtedy marynarz, który pochodził sam z Göteborga, opisał bogate miasto handlowe z jego wielkim portem, mostami, kanałami i wspaniałymi ulicami. Opowiedział także, że mieszka tam wielu dzielnych kupców i marynarzy i że możliwe jest, iż uczynią oni jeszcze z Göteborga pierwsze miasto na północy.

Za każdą nową odpowiedzią pogłębiały się zmarszczki na czole olbrzyma. To, że ludzie stali się panami przyrody, sprawiało mu widoczną przykrość.

„Tak, tak, musiało się dużo zmienić w Västgotlandii — rzekł w końcu — i byłoby najlepiej, gdybym sam zaszedł tam i naprawił to i owo”.

Marynarz usłyszawszy te słowa przestraszył się trochę. Jeśli olbrzym zechce się wybrać do Västgotlandii, to nie uczyni tego z pewnością w dobrych zamiarach. Nie dał jednak tego poznać po sobie, lecz powiedział:

„Możecie być przekonani, że zostaniecie uroczyście przyjęci. Na waszą cześć zadzwonią wszystkie dzwony kościelne!...”

„Jak to, więc są jeszcze dzwony kościelne w Västgotlandii? — zapytał olbrzym takim tonem, jak gdyby go to zdziwiło. — Czyż wielkie dzwony w Husaby i Skara, i Värnhem nie wydzwoniły jeszcze swego zgonu?”

„O nie, wszystkie jeszcze istnieją. Nie ma teraz w Västgotlandii miejscowości, gdzieby się nie rozlegały dźwięki dzwonów kościelnych”.

„Jeśli tak, to będzie chyba najlepiej, gdy zostanę tutaj, gdzie jestem — rzeki olbrzym. — Gdyż z powodu tych dzwonów wyprowadziłem się niegdyś stamtąd”.

Po czym pogrążył się w myślach, zwrócił się jednak wkrótce znów do marynarzy.

„Możecie się teraz zupełnie spokojnie przespać przy ogniu — rzekł. — Jutro postaram się o to, aby przejechał tędy statek, zabrał was i zawiózł do domu. Ale w zamian za gościnność, której wam udzieliłem, żądam od was przysługi. Skoro powrócicie, idźcie do najdzielniejszego człowieka w całej Västgotlandii i dajcie mu ten pierścień. Pozdrówcie go ode mnie i powiedzcie mu, że jeśli wsadzi ten pierścień na palec, stanie się jeszcze dzielniejszy”.

Zaledwie marynarze przybyli do domu, udali się do najdzielniejszego człowieka w całej Västgotlandii i dali mu pierścień. Lecz człowiek ten był zbyt rozważny, aby go od razu wetknąć na palec. Natomiast powiesił go na dębczaku rosnącym na jego podwórzu. W tej samej chwili dąb podniósł się tak gwałtownie w górę, że widać było niemal, jak rośnie. Puszczając pędy i długie gałęzie, pień grubiał, kora twardniała, nowe liście wyrastały i opadały, pojawiały się kwiaty i owoce i w krótkim czasie drzewo stało się tak potężnym dębem, jakiego dotychczas nigdy nie widziano. Ale zaledwie wyrosło, zaczęło równie prędko więdnąć i schnąć: gałęzie odpadły, pień spróchniał, drzewo obumarło i wkrótce został zeń tylko szkielet.

Wówczas człowiek wziął pierścień i odrzucił go daleko od siebie.

„Ten dar olbrzyma posiada moc obdarzenia człowieka wielką siłą i czynienia go na krótko dzielniejszym od wszystkich innych ludzi — rzekł. — Ale jego właściciel przepracowałby się w krótkim czasie i rychło nie pozostałoby śladu po jego dzielności i szczęściu. Nie chcę tego daru i mam nadzieję,

że nikt nie znajdzie tego pierścienia, gdyż nie został on nam przysłany bynajmniej w dobrych zamiarach”.

A jednak prawdopodobnie pierścień ten został znaleziony. Gdyż ilekroć jakiś człowiek pracujący dla dobra ludzkości pracuje ponad siły, chciałoby się mimowolnie zapytać, czy nie znalazł on czasem owego pierścienia, czy to nie ten pierścień zmusza go do takiego wysiłku i do takiej pracy ponad siły i każe mu się przed czasem zużyć i zostawić dzieło swoje nie dokończone.

ŚPIEW

Nauczycielka opowiadając szła szybkim krokiem naprzód, a kiedy skończyła swe opowiadanie, była z dziećmi blisko celu. Widziała już wynurzające się zabudowania gospodarskie, które, jak wszystkie inne w tych dobrach, ocienione były wspaniałymi drzewami, a zanim do nich doszła, ujrzała i pałac przeświecający wśród drzew.

Do tej chwili była bardzo uszczęśliwiona ze swego projektu i nie powstała w niej ani jedna myśl wahania, lecz teraz na widok pałacu odwaga zaczęła ją opuszczać. Cóż, a gdyby to, co zamierzała uczynić, okazało się zupełnie niewłaściwe? Kto dba o jej wdzięczność? Może zostanie tylko wyśmiana, jeśli teraz tak późnym wieczorem zjawi się ze swymi uczniami? A przy tym oni wszyscy razem nie potrafią pewnie wcale tak pięknie śpiewać, aby tym śpiewem sprawić komukolwiek przyjemność.

Szła coraz wolniej, a kiedy zbliżyła się do schodów prowadzących na taras pałacowy, zboczyła z drogi i wstąpiła na nie. Wiedziała, że od śmierci starego pana pałac stoi pusty i udała się tam tylko po to, aby uzyskać czas do namysłu, czy ma zawrócić, czy iść dalej. Kiedy weszła na schody i ujrzała przed sobą pałac jaśniejący w blasku księżycowym, krzewy i klomby, balustradę i wazony, i wspaniałe schody — ogarnął ją jeszcze większy lęk. Ach, tutaj było wszystko takie dostojne i wspaniałe, nie, tutaj nie miała z pewnością nic do czynienia! „Nie zbliżaj się do mnie! — zdawał się wołać do niej biały pałac. — Nie wmawiasz sobie chyba, że ty i twoje dzieci ze szkoły mogą sprawić jakąkolwiek przyjemność człowiekowi, który mieszka w takim pałacu?!”

Aby rozproszyć tę niepewność, która ją stopniowo całą ogarniała, nauczycielka opowiedziała swym dzieciom historię o starym i młodym panu zupełnie tak, jak ją sama niegdyś słyszała jako uczennica w Nääs. I to podniosło ją znów nieco na duchu. Było przecież prawdą, że pałac i całe dobra zostały zapisane jako dar dla seminarium słoju! Tak jest — podarowane, aby nauczyciele i nauczycielki mogli przeżyć szczęśliwe chwile w tej pięknej miejscowości i potem oddać swą wiedzę i radość powierzonym sobie dzieciom! A skoro obaj panowie złożyli szkole taki dar, to dali tym dowód, jak wysoko cenili swych nauczycieli. Pokazali tym wyraźnie i jasno, że wychowanie dzieci szwedzkich stawiali wyżej od wszystkich innych spraw. „Nie, nie, właśnie tutaj nie powinnam się czuć upokorzona” — przekonywała nauczycielka samą siebie.

Te myśli pocieszyły ją nieco i chciała teraz wykonać swój plan. Aby dodać sobie odwagi, obrała drogę przez park ciągnący się od wzgórza pałacowego w dół ku morzu. Kiedy tak szła pod pięknymi drzewami rysującymi się tajemniczo i czarno w świetle księżyca, zbudziło się w jej sercu wiele wesołych wspomnień. Opowiadała dzieciom, jak to bywało w Nääs za jej czasów i jak bardzo szczęśliwą czuła się jako uczennica, kiedy to codziennie mogła spacerować po tym pięknym parku. Opowiadała o wesołych uroczystościach, o zabawie i pracy, ale przede wszystkim o wielkiej dobroci, która otworzyła bramy pięknej posiadłości pańskiej dla niej i dla tylu innych ludzi.

W ten sposób udało jej się podtrzymać odwagę. Przeszła przez park i przez stary kamienny most i dotarła nareszcie do łąk nad jeziorem, gdzie między zabudowaniami szkolnymi stała willa dyrektora.

Tuż przy moście był zielony plac zabaw. Kiedy przechodzili obok niego, nauczycielka opowiadała

dzieciom, jak pięknie bywało tu w wieczory letnie, gdy murawa roiła się od jasno ubranych ludzi, a śpiew i gry przeplatały się bezustannie. Pokazała dzieciom dom stowarzyszeń, w którym była sala zebrań, seminarium, gdzie odbywały się odczyty, budynki, gdzie mieściły się sale slojdu i sala gimnastyczna. Nauczycielka szła szybko i mówiła bezustannie, jak gdyby nie chciała zostawić sobie czasu dla opamiętania się. Lecz kiedy zaszli tak daleko, że mogli już zobaczyć willę dyrektora, zatrzymała się nagle.

— Słuchajcie, dzieci, zdaje mi się, że nie pójdziemy dalej — rzekła. — Nie przyszło mi poprzednio wcale na myśl, że dyrektor jest może tak ciężko chory, iż mu nasz śpiew tylko zaszkodzi, a byłoby to okropne, gdyby wskutek tego jeszcze ciężiej zachorował.

Mały Nils Holgerson szedł przez cały czas obok gromadki i słyszał wszystko, co nauczycielka mówiła. Wiedział więc, że wyruszyła ona w drogę, aby komuś, kto leżał chory w willi, zaśpiewać kilka pieśni. A teraz miało się to na niczym skończyć, gdyż mogłoby to chorego zaniepokoić lub wzruszyć!

„Jaka szkoda, że wróćą nie zaśpiewawszy — myślał malec. —

Mogliby się przecież łatwo dowiedzieć, czy chory może znieść śpiew. Dlaczego nauczycielka nie wejdzie do willi i nie zapyta o to?”

Ale nauczycielce nie przyszło to widocznie wcale na myśl, cofnęła się nawet i zaczęła powoli wracać ku domowi. Dzieci próbowały się opierać, ale przekonała je.

— Nie, nie — rzekła. — Był to głupi pomysł z mojej strony, żeby tak późnym wieczorem przywędrować tutaj z wami na śpiewy. Przeszkodziłibyśmy tylko.

Wtedy Nils Holgerson pomyślał sobie, że jeśli nikt inny tego nie chce uczynić, to on wejdzie i spróbuje się dowiedzieć, czy chory jest naprawdę zbyt słaby, aby wysłuchać pieśni. Szybko opuścił gromadkę i pobiegł w stronę domu. Przed willą zatrzymał się powóz, a obok koni stał stary woźnica. Chłopiec dopadł właśnie do wejścia, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich dziewczyna z tacą.

— Będziecie musieli jeszcze dość długo czekać na pana doktora, Larsonie — rzekła. — Pani przysłała wam gorący napój na rozgrzewkę.

— Jakże się pan miewa? — zapytał woźnica.

— Nie ma teraz bólów, ale wydaje się, jak gdyby serce przestało bić. Już od godziny leży zupełnie bezwładny. Trudno nawet powiedzieć, czy jeszcze żyje.

— Czy doktor nie robi nadziei?

— Nie wiadomo, czego się spodziewać. Chory wygląda tak, jak gdyby oczekiwał wciąż jakiegoś wezwania. Jeśli to wezwanie przyjdzie z góry, będzie musiał iść za nim.

Nils Holgerson pobiegł szybko z powrotem drogą, aby dogonić nauczycielkę z dziećmi; przypomniała mu się śmierć jego dziadka. Dziadek był marynarzem i przed samą śmiercią prosił, aby otworzono okno, chciał bowiem słyszeć jeszcze szum wiatru. Skoro więc ten chory przebywał z takim upodobaniem w otoczeniu młodzieży i tak chętnie słuchał ich pieśni i zabaw, to...

Nauczycielka wracała ociągając się. Teraz, kiedy odchodziła z Nääs, zdawało jej się znowu, że musi wrócić. Ach, wciąż jeszcze była tak samo bojaźliwa i niepewna!

Nie rozmawiała już z dziećmi, tylko szła drogą w milczeniu. Aleja była tak cienista, że nie można było nic rozpoznać, ale wydawało jej się, że słyszy wiele, wiele dźwięków wokoło siebie — ze wszystkich stron dochodziły do niej niezliczone, trwożliwe głosy. „Jesteśmy tak daleko, tak daleko stąd, wszyscy, wszyscy — mówiły głosy. — Ty jedna tylko jesteś blisko. Idź i wyśpiewaj mu to, co my wszyscy czujemy”.

I wspominała jednego po drugim swych kolegów, których dyrektor otaczał opieką i pomocą. Pracował nad siły, aby pomóc tym wszystkim, którzy tego potrzebowali.

„Idź i zaśpiewaj mu! — szeptały głosy wokoło nauczycielki. — Nie daj mu umrzeć bez ostatniego

pozdrawienia od jego szkoły! Nie myśl, że jesteś niepozorna i mało warta! Pomyśl o tej wielkiej gromadzie, która stoi za tobą! Daj mu do zrozumienia, zanim odejdzie od nas, jak serdecznie go kochamy!”

Nauczycielka szła coraz wolniej. Nagle usłyszała dźwięk, który nie miał nic wspólnego z głosami i ostrzegawczymi wołaniami w jej duszy, lecz przenikał do jej uszu ze świata zewnętrznego. Nie był to zwyczajny ludzki głos, brzmiał jak świegot ptaka albo jak ćwierkanie konika polnego. Nawoływał jednak wyraźnie do powrotu.

A tego tylko było trzeba, aby skromnej nauczycielce dodać odwagi.

Zaśpiewała z dziećmi kilka pieśni pod oknami dyrektora i nawet jej samej zdawało się, że śpiew brzmiał o tej wieczornej porze bardzo pięknie — było tak, jak gdyby mu wtórowały jakieś nieznane głosy. Całe sklepienie niebieskie zdawało się być napełnione tonami i dźwiękami. Wystarczyło tylko zaintonować pieśń, a oto budziły się wszystkie te głosy i śpiewały do wtóru.

Wtem otworzyły się nagle drzwi i ktoś wyszedł z nich z pośpiechem.

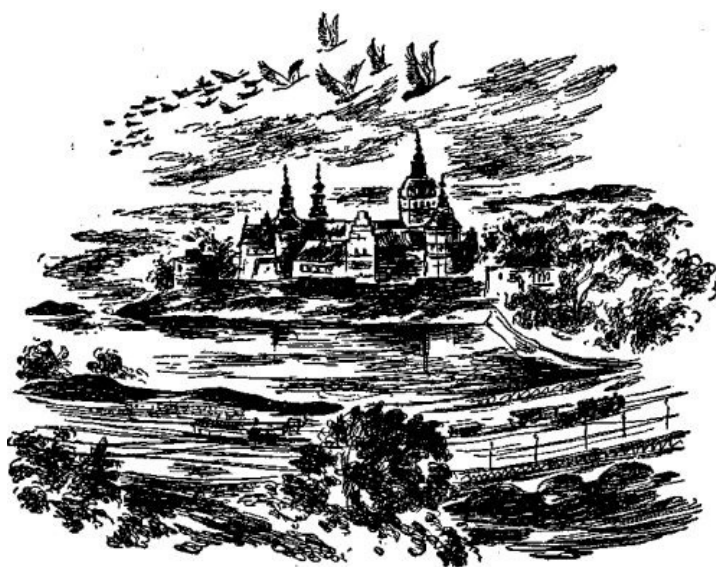
„Idą pewnie przerwać śpiew — pomyślała nauczycielka. — Oby mu tylko nie zaszkodził”.

Ale tak nie było. Proszono ją, aby weszła do willi odpocząć nieco i przygotować się do zaśpiewania jeszcze kilku pieśni.

Na schodach spotkał ją doktor.

— No, teraz niebezpieczeństwo minęło — rzekł. — Leżał w zupełnym odrętwieniu, a serce biło coraz wolniej. Ale kiedy dzieci zaczęły śpiewać, zdawało się, że dobiega do niego wołanie tych wszystkich, którzy go jeszcze potrzebują. Poczuł, że czas odpoczynku po pracy jeszcze dla niego nie nadszedł. Śpiewajcie jeszcze i niechże się pani raduje, bo zdaje mi się, że wasz śpiew przywołał go do życia. Będziemy go może jeszcze mieli wśród nas przez kilka lat.

PODRÓŻ DO VEMMENHÖG



Czwartek, 1 listopada

W początkach listopada dzikie gęsi leciały pewnego dnia ponad Hallandem ku Skanii. Zatrzymały się przez kilka tygodni na wielkich równinach przy Fallköping, a ponieważ siadło tam jeszcze kilka innych gromad dzikich gęsi, więc spędzano razem miłe chwile. Stare ptaki gawędziły ze sobą, a młode współzawodniczyły we wszystkich rodzajach ćwiczeń fizycznych.

Co się tyczy Nilsa Holgersona, to nie był on wcale zadowolony z długiego pobytu w Västgotlandii. Usiłował, o ile mógł, nie tracić otuchy, ale było mu bardzo ciężko pogodzić się z losem.

„Gdybym chociaż miał już Skanię za sobą i przeprawił się szczęśliwie za granicę! — myślał. — Wiedziałbym przynajmniej, że już nic mnie nie spotka, i uspokoiłbym się”.

Pewnego dnia bardzo wczesnym rankiem dzikie gęsi puściły się w drogę lecąc ku Hallandowi, Z początku chłopiec nie miał ochoty przyglądać się krajobrazowi, zdawało mu się, że nie zobaczy tam nic nowego. Wschodnią część okolicy stanowiła górzysta kraina z wielkimi stepami, przypominająca Småland, a dalej ku zachodowi wznosiły się okrągłe, nagie, zatokami oddzielone szczyty górskie, mniej więcej takie jak w Bohuslän.

Kiedy jednak dzikie gęsi leciały coraz dalej na południe nad wąskim pasem nadmorskim, chłopiec przechylił się przez grzbiet gąsiora i nie odrywał już oczu od ziemi. Widział, że góry stają się coraz rzadsze, a równina coraz szersza. I widział także, że wybrzeże było mniej poszarpane. Szkiery ukazywały się rzadziej i rzadziej, aż w końcu znikły zupełnie i dalekie otwarte morze sięgało aż do stałego lądu.

A potem skończył się las. Wyżej na północy chłopiec widywał już wiele pięknych równin, a wszystkie były otoczone borami. Bór rozrastał się wszędzie. Zdawało się, że cała ziemia należała tam tylko do drzew, a zabudowana okolica wyglądała jak wielkie, wykarczowane miejsce w borze. Na wszystkich równinach widać było grupy drzew i stosy ściętych kłód, jak gdyby na dowód, że las może każdej chwili wkroczyć i objąć znów ziemię w posiadanie.

Tutaj było zupełnie inaczej. Płaszczyzna przeważała. Ciągnęła się aż po horyzont. Były tam wprawdzie także wielkie zadrzewione przestrzenie, nie było jednak boru. I to właśnie, że okolica ta ciągnęła się taka otwarta, pokryta niwami następującymi jedna po drugiej, przypominało chłopcu Skanię. Zdawał się także

poznać rozległe wybrzeże z jego piaskami i stosami ramienicy. Uczyniło mu się radośnie, a zarazem trwożnie na duszy. „Teraz jestem już z pewnością niedaleko od mojej wsi rodzinnej” — pomyślał.

Krajobraz zmieniał się jednak wciąż. Wielkie strumienie przybiegały z Västgotlandii i Småland u i przerywały jednostajność równiny; jeziora, bagna, stopy i pola, pokryte lotnym piaskiem, zagradzały drogę niwom; te jednak ciągnęły się mimo to coraz dalej, aż na dół do wzgórz Hallandu, które ze swymi pięknymi przepaściami i dolinami wznosiły się na granicy Skanii. Już kilkakrotnie młode gęsi w stadzie pytały starych:

— Jak wygląda południe? Jak wygląda południe?

— Czekajcie tylko, czekajcie! Dowiedziecie się wkrótce — odpowiadały stare, które już wiele razy przelatywały tam i z powrotem nad krajem.

Kiedy młode gęsi spostrzegały w podróży długie, pokryte lasem grzbiety gór otaczające Värmland albo jeziora lśniące wśród skał Bohuslänu, albo piękne wzgórza Västgotlandii, pytały siebie ze zdumieniem:

— Czy tak wygląda cały świat? Czy tak wygląda cały świat?

— Czekajcie tylko, czekajcie tylko! Dowiedziecie się wkrótce, jak wygląda duża część świata — odpowiadały stare.

Kiedy dzikie gęsi przeleciały nad Hallandem i unosiły się już przez pewien czas nad Skanią, zawołała Akka:

— Patrzcie teraz na dół i oglądajcie się za siebie! Tak wygląda południe.

Leciały właśnie nad Söderbergiem. Cała długa wyżyna pokryta była lasami bukowymi, a wśród lasów wznosiły się dwory przyozdobione wieżami i gankami. Między drzewami pasły się sarny, a na polanach leśnych goniły się zające. Rogi myśliwskie brzmiały wśród lasów i donośne szczekanie psów dochodziło aż do przelatującego stada. Lasy przecięte były pięknymi, szerokimi drogami, którymi przejeżdżali ludzie w błyszczących pojazdach lub na wspaniałych wierzchowcach. Pasma gór rozdziela tam skalista przepaść, na jej dnie pluszcze się strumień, a ściany skalne zarośnięte są gęsto krzewami i drzewami.

— Czy tak wygląda południe? Czy tak wygląda południe? — pytały młode gęsi.

Akka powiodła dzikie gęsi dalej na południe, do Skanii, ponad wielką równinę. Ciągnęła się ona pod nimi w całej okazałości: przesuwają się rozległe pola i zagony warzywne, na których pracowali wieśniacy w długich szeregach; niskie wapnem pobielane domostwa stojące gęsto jedno przy drugim; niezliczone białe kościółki; brzydkie, szare cukrownie i place targowe o miejskim wyglądzie, otaczające dworce kolejowe. Widać było także liczne torfowiska z długimi szeregami pagórków i kopalnie węgla z czarnymi stosami węgla. Szosy ciągnęły się między dwoma szeregami strzyżonych wierzb, szyny kolejowe krzyżowały się i tworzyły gęstą siatkę na całej równinie. Małe jeziora, otoczone bukami, z pięknymi domostwami na brzegach, przeświecały tu i ówdzie.

— Patrzcie teraz na dół! Oglądajcie się uważnie poza siebie! — zawołała przodownica. — Tak wygląda południe od wybrzeży Bałtyku aż do wysokich gór, gdyż dalej nigdyśmy jeszcze nie zawędrowały.

Kiedy młode gęsi obejrzały równinę, stado poleciało na Öresund. Wielkie, bagniste łąki spadały łagodnie ku morzu i długie zwały czarniawych wodorostów ramienicy wznosiły się na brzegu, napęczniałe od wody morskiej. W niektórych miejscach widać było wysokie wały nadbrzeżne, w innych lotny piasek, który się piętrzył w wysokie wzgórza. Na brzegu ciągnęły się wsie rybackie — długi szereg jednakowo zbudowanych, jednakowej wielkości domków z cegły z małą latarnią morską i wielkimi trawnikami, na których suszyły się brunatne sieci.

— Tak samo wygląda wybrzeże za granicą. Patrzcie na dół! Oglądajcie się uważnie poza siebie! — wołała Akka.

Następnie przodownica przeleciała nad kilkoma wsiami i gęsi ujrzały mnóstwo kominów fabrycznych, nisko położone ulice otoczone wysokimi, poczerniałymi od dymu domami, wspaniałe, wielkie parki, przez które wiodły piękne aleje spacerowe, bezpieczne porty wypełnione statkami, stare warownie i zamki, i czcigodne, stare kościoły.

— Tak samo wyglądają miasta za granicą, tylko że tam są o Wiele większe! — wołała Akka. — Ale i te mogą jeszcze urosnąć, zupełnie jak wy, młode gęsi.

Po czym Akka siadła na bagnie w okręgu Vemmenhög. Chłopiec zaś nie mógł opędzić się myśli, że Akka tylko dlatego przelatywała nad Skanią, aby mu pokazać, że Szwecja posiada krainę, która się może równać z zagranicą. Ale to nie było wcale potrzebne. Chłopiec nie myślał o tym, czy jego kraj jest bogaty, czy ubogi. Od chwili kiedy ujrzał pierwsze zarośla wierzbowe i pierwsze niskie, murowane domy, serce jego przepełniło się bolesną tęsknotą.

U HOLGERA NILSONA



Czwartek, 8 Iistopoda

Był mglisty, pochmurny dzień. Dzikie gęsi pasły się na wielkich polach w pobliżu kościoła w Skurup i wypoczywały właśnie po obiedzie, kiedy Akka podeszła nagle do Nilsa Holgersona,

— Wygląda na to, że będziemy teraz mieli przez pewien czas pogodę — zaczęła. — Mam zamiar przeprowić się jutro przez Bałtyk.

— Ach tak — odparł chłopiec krótko, gdyż gardło miał ściśnięte i nie mógł wydobyć z niego ani słowa. Mimo wszystko wciąż nurtowała go myśl, że dopóki jest w Skanii, może zostać odczarowany.

— Jesteśmy teraz dość blisko od Vestvemmenhög — ciągnęła dalej Akka — i myślałam, że miałbyś może ochotę wybrać się w odwiedziny do domu. Wszak sporo czasu upłynie, zanim znowu zobaczysz kogoś z twoich.

— Byłoby z pewnością najlepiej, gdybym się tego wyrzekł — rzekł chłopiec, ale po jego głosie można było poznać, jak bardzo cieszy się z tej propozycji.

— Jeśli gąsior zostanie tutaj przy nas, nie może mu się przytrafić żadne nieszczęście — rzekła Akka. — Myślę, że powinienes się dowiedzieć dokładnie, co u was w domu słychać. Może jednakże mógłbyś w jakikolwiek sposób dopomóc rodzicom, nawet gdybyś miał pozostać karzełkiem.

— Tak, macie słuszność, matko Akko. O tym powinienem był pomyśleć! — zawołał chłopiec i zapalił się od razu do tej myśli.

Niebawem był już z Akką w drodze do Holgera Nilsona i po krótkiej chwili Akka siadła na murku kamiennym, otaczającym zagrodę.

— Jakie to jednak dziwne, że tutaj nic się nie zmieniło! — rzekł chłopiec. Wdrapał się szybko na murek i rozejrzał wokoło. — Zdaje mi się, że to wczoraj siedziałem na murku i przyglądałem się waszemu odlotowi.

— Czy twój ojciec też ma dubeltówkę? — spytała Akka nagle.

— Ma się rozumieć!. — zawołał chłopiec. — Z powodu tej dubeltówki przecież zostałem tamtej niedzieli w domu zamiast pójść do kościoła.

— Wobec tego nie odważę się czekać tutaj na ciebie — rzekła Akka — i będzie chyba najlepiej, jeśli

jutro rano wymkniesz się do nas z powrotem; w ten sposób będziesz mógł pozostać tu przez noc.

— Ach nie, matko Akko, nie odlatuj! — zawołał chłopiec i zeskoczył szybko z murka. Nie wiedział dlaczego, ale zdawało mu się, że albo jemu, albo dzikim gęsiom coś się przytrafi i że już się nie zobaczą. — Widzicie przecież, że jestem smutny, bo nie mogę odzyskać swej postaci ludzkiej, ale powiadam wam, iż nie żałuję ani trochę tego, że wówczas powędrowałem z wami, dzikimi gęsiami. Nie, nie, wołałbym raczej nie zostać nigdy na nowo człowiekiem niż nie odbyć z wami tej podróży.

Akka wciągnęła kilka razy powietrze dziobem, zanim odpowiedziała:

— Leży mi coś na sercu, coś, o czym już od dawna chciałam pomówić z tobą. Ponieważ jednak nie miałeś zamiaru wracać do swoich, nie uważałam tego za takie pilne. Ale nic nie szkodzi, jeśli ci to teraz powiem.

— Wiecie, że nie ma rzeczy, której bym dla was z chęcią nie zrobił — rzekł chłopiec.

— Jeśli nauczyłeś się czegokolwiek, Paluszk, to nie jesteś już może teraz tego zdania, że tylko ludzie jedni panować powinni na świecie — powiedziała przodownica uroczyście. — Zważ tylko, macie cały wielki kraj dla siebie, toteż moglibyście nam zostawić kilka szkier i kilka bagnistych jezior i mokradeł, jak również kilka nagich skal i odległych borów, gdziebyśmy, biedne zwierzęta, mogły spokojnie mieszkać. Przez całe moje życie wystawiona jestem na ciągły pościg i prześladowanie. Byłoby więc dobrodziejstwem, gdyby takie stworzenia jak my znalazły także gdziekolwiek bezpieczne schronienie.

— Jakżebym się cieszył, gdybym wam mógł pomóc w tej sprawie, matko Akko. Ale nigdy pewnie nie będę miał takiej władzy i uznania u ludzi — westchnął chłopiec.

— Ależ, Paluszk, стоимy tutaj i rozmawiamy, jak gdybyśmy się nigdy więcej nie mieli zobaczyć — rzekła nagle Akka. — A przecież spotkamy się znowu jutro rano. Teraz chcę wrócić do mego stada — i Akka rozwinęła skrzydła do lotu. Opuściła je jednak zaraz, otarła się kilkakrotnie dziobem o twarz Paluszka i wreszcie odleciała.

Był już jasny dzień, ale w zagrodzie nie było widać nikogo i chłopiec mógł wszędzie chodzić bez obawy. Najpierw pobiegł do obory, gdyż wiedział, że od krów dowie się o wszystkim. Na wiosnę były w oborze trzy wspaniałe krowy, teraz stała tam tylko jedna jedyna. Była to Krasula i łatwo można było poznać po niej, że tęskniła za swymi towarzyszkami. Głowę miała spuszczoną i skubała za ledwie po ździebełku z paszy, która leżała przed nią.

— Dzień dobry, Krasulo! — zawołał chłopiec i skoczył bez obawy za jej ogrodzenie. — Jak się mają moi rodzice? I co porabiają kury i gęsi, i kotka? I gdzie się podziały Czarnula i Łaciata?

Krasula, usłyszawszy głos chłopca, zerwała się i zdawało się, że ma ochotę ubość go rogami. Ale nie była już tak popędliwa jak dawniej i zanim go uderzyła, przyjrzała mu się uważnie. Był jeszcze tak samo mały jak wówczas, kiedy opuszczał dom i nosił jeszcze to samo ubranie, ale mimo to nie był wcale podobny do siebie:

Tamten Nils Holgerson, który wywędrował na wiosnę, miał ciężki, powolny chód, leniwy głos i zaspane oczy. Ten Nils Holgerson, który teraz powrócił, był zwinny i gibki, mówił prędko i miał błyszczące, jasne oczy. Miał też taką odważną postawę, że mimo woli trzeba było mieć dla niego szacunek. Mimo zniszczonego ubrania i mimo tego, że nie wydawał się wcale szczęśliwy, samym widokiem swym sprawiał przyjemność.

— Muuu! — zaryczała krowa. — Mówiono, żeś się zmienił, ale nie chciałam temu dać wiary. Szczęść Boże, Nilsie Holgersonie, szczęść Boże! To pierwsza przyjemność, jaka mnie od dłuższego czasu spotyka.

— Dziękuję ci, Krasulo — odrzekł chłopiec, bardzo przyjemnie zdziwiony tym przyjaznym powitaniem. — Opowiedz mi teraz, jak się mają moi rodzice.

— Odkąd ich opuściłeś, spotykają ich same nieszczęścia i zmartwienia — rzekła Krasula. —

Najgorsza jest jednak sprawa z kosztownym koniem, którego przez całe lato musieli karmić za darmo, gdyż nie nadawał się do żadnej roboty. Twój ojciec nie ma serca zastrzelić go, a sprzedać go także nie może. Z powodu tego konia musiano sprzedać Czarnulę i Łaciatą.

Chłopiec chciał się właściwie zapytać o co innego, ale nie śmiał wypowiedzieć tego wprost. Toteż zapytał tylko:

— Moja matka musiała się bardzo gniewać o to, że gąsior Marcin uciekł?

— Gdyby wiedziała, jak to wszystko się stało, nie martwiłaby się pewnie tak bardzo stratą gąsiora Marcina. Teraz jednak rozpacza dniami i nocami, że jej własny syn uciekł z domu i zabrał gąsiora.

— Jak to, więc ona myśli, że ukradłem gąsiora?! — zawołał chłopiec.

— A cóż innego może myśleć?

— Rodzice uważają pewnie, że wałęsałem się przez całe lato jak prawdziwy nicpoń.

— Myślą, że z tobą źle się dzieje — rzekła Krasula — i smucą się o ciebie tak, jak rozpacza człowiek, kiedy utraci kogoś najukochańszego.

Chłopiec, usłyszawszy to, opuścił szybko oborę i poszedł do konia. Stajnia była mała, ale ładna. Chłopiec widział, że ojciec zrobił, co mógł, aby przygotować dla konia jak najlepsze pomieszczenie. I w stajni stał naprawdę piękny koń, tryskający zdrowiem.

— Dzień dobry, dzień dobry! — zawołał chłopiec. — Jak słyszałem, ma tu być chory koń. Ale to chyba nie ty jesteś, wyglądasz przecie zupełnie zdrowo i rześko.

Koń odwrócił głowę i spoglądał zamyślony na chłopca.

— Czy ty jesteś synem gospodarza? — zapytał. — Słyszałem o tobie dużo. Ale wyglądasz na dobrego i gdybym nie wiedział, że zostałeś zamieniony w krasnoludka, nigdybym nie uwierzył, że to ty jesteś Nils Holgerson.

— Wiem dobrze, że zostawiłem po sobie złe wspomnienie — odparł chłopiec. — Moja matka myśli, że wykradłem się jak złodziej. Zresztą wszystko mi jedno, gdyż i tak nie zostanę tutaj długo. Zanim odejdę, chciałbym jednak wiedzieć, co ci właściwie dolega?

— Jaka szkoda, że nie zostajesz tutaj! — rzekł koń. — Jestem przekonany, iż stalibyśmy się bardzo dobrymi przyjaciółmi. Nic mi nie dolega, tylko wlaźło mi coś w nogę, odłamek noża czy coś podobnego. Siedzi tak głęboko, że doktor nie może na to natrafić, ale kłuje i kłuje i dlatego nie mogę stąpać na nogę. Gdybyś mógł powiedzieć Holgerowi Nilsonowi, co mi jest, pomógłby mi z pewnością. Chciałbym się przecież odpłacić pracą za to, że mnie karmią, i wstydę się naprawdę, że tylko żrę nic nie robiąc.

— Jak to dobrze, że nie jesteś chory! — zawołał chłopiec. — Muszę się postarać dopomóc ci. Nie będzie cię chyba bolało, jeśli cię trochę poskrobie nożem w kopyto?

Ledwie Nils Holgerson skończył swą robotę przy koniu, usłyszał głosy na podwórku. Rozsunął ostrożnie szparę w drzwiach stajni i wyjrzał — byli to jego rodzice, którzy wracali do domu. Ach tak, Nils Holgerson poznawał po nich, jak bardzo byli przygnębieni! Matka miała na twarzy więcej zmarszczek niż na wiosnę, a ojciec osiwiiał zupełnie. Matka próbowała właśnie przekonać ojca, aby pożyczył pieniędzy od brata.

— Nie, nie chcę już więcej pieniędzy pożyczać — odrzekł ojciec właśnie w chwili, kiedy oboje przechodzili obok stajni. — Długi to najgorsza rzecz, lepiej już sprzedać zagrodę.

— I ja nie miałabym może nic przeciwko sprzedaży, gdyby mi nie szło o chłopca — odrzekła matka. — Ale gdzie on się podzieje. jeśli, jak należy się spodziewać, powróci pewnego dnia ubogi i nędzny, a nas tu nie będzie?

— Masz słuszość — rzekł ojciec. — Musielibyśmy poprosić nowego właściciela, aby go przyjaźnie przyjął i powiedział mu, że go oczekujemy, I nie powiemy mu ani jednego złego słowa, cokolwiek by zaszło, prawda, matko?

— Ach, nie, nie! Gdybym go tylko miała znów przy sobie i wiedziała, że nie włączy się już po drogach o głodzie i chłodzie, nic by mnie więcej nie obchodziło.

Po tych słowach weszli oboje do domu i chłopiec nie słyszał już ich rozmowy. Słowa rodziców uszczęśliwiły go i wzruszyły; dały mu do poznania, jak bardzo go rodzice kochają, pomimo iż sądzą, że zmarnował się zupełnie. Miał ogromną ochotę pobiec za nimi. „Lecz, ach, gdyby mnie zobaczyli takim, jakim teraz jestem, zasmuciliby się pewnie jeszcze bardziej!” — pomyślał.

W chwili kiedy zastanawia! się nad tym, co ma uczynić, nadjechał powóz i zatrzymał się przed samymi wrotami. Chłopiec nieomal nie krzyknął głośno ze zdumienia, gdyż podróżni, którzy wysiedli i weszli do zagrody, byli to ni mniej, ni więcej tylko gęsiarka Aza ze swym ojcem. Szli ręka w rękę ku domostwu; kroczyli spokojnie i poważnie naprzód, ale z oczu ich tryskał piękny blask szczęścia. Kiedy tak doszli do połowy dziedzińca, Aza zatrzymała ojca i rzekła:

— Nie zapomnij, ojcze, że nie wolno ci wspomnieć ani słowem o drewnianym sandałku, ani o małym człowieczku, który był tak podobny do Nilsa Holgersona, że musiał być albo Nilsem, albo kimś mającym z nim bliski związek.

— Nie, nie, z pewnością nic o tym nie wspomnę — odrzekł Jon Assarson. — Powiem tylko, że ich syn wyświadczył ci kilka razy wielką przysługę, i dlatego przychodzimy zapytać ich, czy nie moglibyśmy im okazać czymkolwiek naszej wdzięczności. Odkąd odkryłem kopalnię, stałem się przecież zamożnym człowiekiem i mam więcej, niż mi potrzeba.

— Tak, wiem, że umiesz się dobrze wypowiedzieć — rzekła Aza — ale zależało mi na tym, abyś o tym jednym zamilczał.

Weszli do domu i chłopiec miał ogromną ochotę pójść za nimi, aby usłyszeć, o czym będą mówili. Nie śmiał jednak przejść przez dziedziniec. Ale już po pewnym czasie wracali oboje, a rodzice odprowadzali ich do płotu.

Kiedy goście odjechali, rodzice stanęli przy płocie i patrzyli za nimi.

— Nie będę się już tak martwiła — rzekła matka — teraz, kiedy usłyszałam tyle dobrego o Nilsie.

— Właściwie przecież wcale tak dużo nam o nim nie opowiedzieli — odezwał się ojciec zamyślony.

— Jak to, czyż nie dość, iż przyjechali tutaj ofiarować nam swoją pomoc jedynie dlatego, że Nils oddał im tak wielkie przysługi? Zdaje mi się zresztą, że powinienes być przyjać ich pomoc, ojcze.

— Nie, matko, nie chcę od nikogo przyjmować pieniędzy ani jako daru, ani jako pożyczki. Przede wszystkim chcę się pozbyć swoich długów, a potem postaramy się wydzwignąć. Przy świetle nie jesteśmy przecież wcale tacy starzy, co, matko?! — zawołał ojciec i powiedziawszy to roześmiał się serdecznie.

— Zdaje mi się, że naprawdę uważasz za zabawkę sprzedanie zagrody, w którą włożyłeś tyle pracy i trudu! — rzekła matka.

— Ach, wiesz dobrze, dlaczego się śmieję, matko! Myśl, że mój chłopiec stał się nicponiem, przygnębiała mnie tak bardzo, że nie miałem już ochoty ani sił do niczego. Teraz, kiedy wiem, że pokierował się dobrze, zobaczysz: Holger Nilson jeszcze pokaże, co znaczy!

Matka poszła do domu, a Nils Holgerson ukrył się szybko w kąciek stajni, gdy wszedł tam ojciec, aby zajrzeć do konia. Wszedł za ogrodzenie i podniósł, jak zwykle, chorą nogę konia do góry, aby zobaczyć, czy nie odkryje czegoś, co w niej tkwi.

— A to co takiego?! — zawołał ojciec.

Na podkowie wyrytych było kilka wyrazów.

— „Zdejm podkowę!” — przeczytał i obejrzał się zdziwiony zdumiony na wszystkie strony. W końcu pomacał i obejrzał dolną część podkowy bardzo uważnie. — Zdaje mi się naprawdę, że tutaj tkwi coś ostrego — szepnął.

W czasie kiedy ojciec zajęty był koniem, a chłopiec siedział ukryty w kącie, do zagrody przybyli nowi goście. A z tymi sprawa była następująca. Gąsior Marcin, poczuwszy się tak blisko swoich starych kątów, nie mógł oprzeć się chęci przedstawienia swej żony dzieci dawnym towarzyszom w zagrodzie. Zabrał więc po prostu z sobą Lekkopuszką i młode gęsi i przyleciał z nimi.

Kiedy gąsior przybył do zagrody, nie było w niej widać nikogo; spuścił się więc spokojnie i, pokazał Lekkopuszce, jak wygodnie mieszkają gęsi domowe. Po obejrzeniu podwórka zauważył, że drzwi od obory są otwarte.

— Wejdźcie tu ze mną na chwilę — rzekł. — Potem zobaczycie, gdzie mieszkałem dawniej. To nie to, co stawy i bagna, na których teraz przebywamy.

Gąsior stanął na progu i rzucił spojrzenie do obory.

— Nie ma nikogo — rzekł. — Chodź, Lekkopuszko, pokażę ci kurnik, gdzie my, gęsi, mieszkaliśmy. Nie lękaj się, nie grozi ci najmniejsze niebezpieczeństwo.

I weszli wszyscy do kurnika — gąsior, Lekkopuszką i sześcioro młodych, aby się przekonać, w jakich wygodach i rozkoszy żył biały gąsior, zanim się przyłączył do stada dzikich gęsi.

— Tak, widzicie, takeśmy mieszkali. Tutaj było moje miejsce, a tam stało koryto z jadłem, zawsze napełnione owsem i wodą — rzekł gąsior. — Ej, do licha, i teraz jest coś w nimi — I rzucił się na koryto, pożerając owies.

Lecz Lekkopuszką czuła niepokój.

— Wracajmy już — nalegała.

— Jeszcze tylko kilka ziarenek — odrzekł gąsior.

W tej samej chwili jednak wydał krzyk i rzucił się ku wyjściu. Ale było za późno. Drzwi zatrzęsnęły się, żona Holgera Nilsona stała za nimi i zasuwiała zasuwkę — byli zamknięci.

Holger Nilson wyciągał spiczasty kawał żelaza z nogi konia i głaskał właśnie z radością zwierzę, kiedy żona weszła z pośpiechem do stajni.

— Chodź, ojcze! — zawołała. — Zobaczysz, co złapałam!

— Nie, poczekaj chwilę, matko, i spojrzysz najpierw tutaj — rzekł Holger Nilson. — Znalazłem to, co dolegało koniowi.

— Zdaje mi się, że szczęście się odwróciło i znowu nas nawiedza! — zawołała kobieta. — Wyobraź sobie, biały gąsior, który znikł na wiosnę, musiał odlecieć z dzikimi gęśmi. Wrócił teraz, a z nim siedem dzikich gęsi. Weszły do kurnika i zamknęłam je tam wszystkie razem.

— To dziwne — rzekł Holger Nilson. — Ale wiesz, matko, co jest najlepszego w tej całej sprawie? Nie będziemy już podejrzewali naszego chłopca, że to on zabrał nam gąsiora.

— Tak, masz słuszość, ojcze. Ale myślę, że należałoby zarznąć gęsi dziś wieczorem. Za kilka dni będzie dzień świętego Marcina jeśli chcemy przed tym dniem zawieźć gęsi do miasta, musimy się pośpieszyć.

— Zdaje mi się, że to będzie krzywda, jeśli zarzniemy gąsiora, skoro wrócił do nas w tak licznym towarzystwie — rzekł Holger Nilson.

— Gdyby czasy były lepsze, zostawiłabym go chętnie przy życiu, ale jeśli mamy porzucić zagrodę, nie możemy przecież hodować gęsi — odparła kobieta.

— Tak, rzeczywiście.

— Chodź i pomóż mi zanieść je do domu — rzekła matka.

Wyszli z dziedzińca i po chwili chłopiec ujrzał ojca w towarzystwie matki idącego z Lekkopuszką pod jednym ramieniem, a z gąsiorem — pod drugim.

— Paluszku! Na pomoc! — krzyczał gąsior, jak zwykle, kiedy mu groziło niebezpieczeństwo, jakkolwiek nie mógł wiedzieć, że chłopiec był w pobliżu.

Nils Holgerson słyszał jego wołanie, a jednak nie ruszał się ze stajni, nie dlatego, iż wiedział, że dla niego samego byłoby dobrze, gdyby gąsior nie został zarżnięty — o tym nawet nie pomyślał w tej chwili — tylko dlatego, że gdyby chciał ratować gąsiora, musiałby się pokazać rodzicom, a na to nie mógł się odważyć,

„Jest im i tak dość ciężko — myślał. — Czyż miałbym być rzeczywiście skazany na to, aby sprawić im jeszcze i to zmartwienie?”

Ale skoro się tylko drzwi zamknęły za gąsiorem, chłopiec ocknął się nagle. Szybko, jak błyskawica, przebiegł przez dziedziniec, skoczył na dębowy próg przed drzwiami, a stamtąd — do sieni. Z dawnego przyzwyczajenia zdjął drewniane sandały i zbliżył się do drzwi izby. Czuł jeszcze wciąż najwyższą niechęć do tego, aby się pokazać swym rodzicom, i nie miał siły podnieść ręki i zastukać,

— Chodzi tu o życie gąsiora Marcina — mówił do siebie. — Od chwili kiedy opuściłem zagrodę, on był zawsze najlepszym moim przyjacielem.

Błyskawicznie Nils Holgerson przeżył w myśli wszystko to, czego doświadczyli razem z gąsiorem na zamarzniętych jeziorach i burz liwych morzach, uciekając od groźnych zwierząt drapieżnych. Serce jego przepełniło się wdzięcznością i miłością — przemógł się i zastukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytał ojciec otwierając drzwi.

— Matko, nie wolno ci zrobić nic złego gąsiorowi! — zawołał chłopiec,

A w tej chwili gąsior Marcin i Lekkopuszką wydały okrzyk radości. Leżały związane na ławie i krzyk ich zdradzał, że żyją,

Ale prócz nich jeszcze ktoś wydał okrzyk radości. Była to matka, która wołała uszczęśliwiona:

— Och, jakżeś ty wyrósł i wypiękniał!

Chłopiec nie wszedł, lecz stanął na progu, niepewny, jakie przyjęcie go spotka.

— Chwała Bogu żeś wrócił! — zawołała matka. — Chodź bliżej! Chodź bliżej!

— Tak, chwała Bogu! — powtórzył ojciec. Nic więcej nie mógł wydobyć z siebie.

Ale chłopiec wahał się jeszcze ciągle, stojąc na progu. Czy to możliwe, że rodzice cieszą się tak bardzo na widok krasnoludka?

Wtedy matka podeszła, objęła go ramionami i wciągnęła do izby. Teraz chłopiec spostrzegł, co się z nim stało.

— Ojczy! Matko! Jestem znowu duży! Jestem znowu człowiekiem! — zawołał radośnie.

POŻEGNANIE Z DZIKIMI GĘŚMI



Piątek, 9 listopada

Następnego ranka Nils Holgerson zerwał się przed świtem i poszedł nad morze. Zanim się rozjaśniło dostatecznie, zatrzymał się na wybrzeżu w niewielkiej odległości od wioski rybackiej Smyge. Był zupełnie sam. Przed odejściem wstąpił do kurnika i próbował obudzić gąsiora Marcina. Ale biały gąsior nie ruszył się z miejsca. Nie wydając dźwięku wsadził znów głowę pod skrzydło i spał dalej.

Dzień zapowiadał się prześliczny, prawie tak piękny jak ów dzień wiosenny, kiedy dzikie gęsi przybyły do Skanii. Morze roztaczało się spokojne i nieruchome. Nie czuło się najmniejszego powiewu wietrzyka i chłopiec myślał o tym, jaką piękną podróż przez morze mieć będą dzikie gęsi. On sam chodził jeszcze wciąż jak we śnie.

To czuł się krasnoludkiem, to znów człowiekiem. Przechodząc obok murka przy drodze nie śmiał iść dalej, zanim się nie przekonał, że żadne zwierzę drapieżne nie czatuje na niego. A niebawem śmiał się sam z siebie i cieszył, że jest już duży i silny i nie potrzebuje się niczego obawiać.

Kiedy doszedł do wybrzeża, stanął w całej swojej okazałości nad morzem, aby go dzikie gęsi mogły dobrze widzieć.

Niebawem nadleciały i dzikie gęsi, jedno wielkie stado za drugim.

„Oby to tylko nie były moje gęsi i nie odleciały tak bez pożegnania ze mną!” Chciałby przecież tak bardzo opowiedzieć im, jak to się wszystko stało i pokazać się w ludzkiej postaci.

Wtem nadleciało stado, które unosiło się wyżej i wydawało okrzyki głośniejsze od innych. Nilsowi szeptało coś w duszy, że to jego stado, nie był jednak tego tak pewny jak poprzedniego dnia.

Stado zwolniło lotu i unosiło się nad morzem tam i z powrotem. chłopiec spostrzegł, że przecucie go nie zawiodło. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego dzikie gęsi nie siadały obok niego. Musiały go przecież widzieć.

Chciał wydać okrzyk wabiący, aby je przywołać. Ale język odmawiał mu posłuszeństwa. Nie mógł wydobyć z siebie ani jednego odpowiedniego dźwięku. Teraz usłyszał głos Akki, ale nie rozumiał tego, co mówiła.

„Co to? Czyżby dzikie gęsi zmieniły swą mowę?” — myślał.

Powiewał ku nim czapką, biegał po wybrzeżu i wołał:

— Jestem tu! A gdzie ty?

Ale zdawało się, że straszy tylko dzikie gęsi. Uniosły się bowiem w górę i odleciały dalej nad morze.

Wówczas chłopiec zrozumiał: gęsi nie poznały go, nie wiedziały, że stał się znowu człowiekiem.

A on nie był w stanie ich przywołać do siebie, gdyż człowiek nie włada mową ptaków ani nie rozumie ich okrzyków.

Chociaż Nils Holgerson był uszczęśliwiony ze swego wyzwolenia się z zaczarowanej postaci, to jednak rozstanie się na zawsze ze swymi pocziwymi towarzyszami sprawiało mu ból. Położył się na piasku i ukrył twarz w dłoniach. Po co patrzeć na odlot stada?

Nagle usłyszał szum skrzydeł. Starej Akce trudno było odlecieć bez pożegnania z Paluszkiem, zawróciła więc jeszcze raz i teraz, kiedy chłopiec siedział spokojnie, odważyła się przybliżyć do niego.

Nagle jak gdyby otworzyły jej się oczy, poznała leżącego i siadła obok niego na piasku.

Chłopiec wydał okrzyk radości i objął Akkę ramionami. Inne dzikie gęsi tłoczyły się wokoło niego i ocierały dziobami o jego twarz. Gęgały głośno i życzyły mu szczęścia. A Nils odpowiadał im dziękował za wspaniałą podróż, którą odbył w ich towarzystwie. Wtem dzikie gęsi ucichły dziwnie, jak gdyby chciały powiedzieć: „Ach, on jest przecież człowiekiem! On nas nie rozumie, a my nie rozumiemy jego”.

Wówczas chłopiec wstał i podszedł blisko do Akki. Pieścił ją i głaskał. To samo czynił z Yksi i Kaksi, z Kolme i Nelie, z Visi i Kusi — z tymi wszystkimi istotami, które towarzyszyły mu od początku podróży.

Potem odszedł ku lądowi. Wiedział, że cierpienie zwierząt nie trwa nigdy długo. Toteż sam wołał rozstać się z nimi, by prędzej przestały cierpieć nad jego utratą.

Kiedy doszedł do końca wybrzeża, odwrócił się jeszcze raz i spojrzał na gromady ptaków lecące ponad morzem. Wszystkie wydawały wabiące okrzyki, tylko jedno stado dzikich gęsi leciało w milczeniu.

Stado to unosiło się nad morzem we wzorowym porządku, z silnym i potężnym rozmachem skrzydeł.

Wówczas ogarnęła chłopca bolesna tęsknota za odlatującymi gęśmi i prawie żal, iż przestał być Paluszkiem i nie może lecieć ze stadem dzikich gęsi poprzez morza i lądy.

KONIEC